

Nowe Zagłębie

Czasopismo
społeczno-kulturalne

nr indeksu
252352

nr **4** (4/22) lipiec – sierpień 2012 cena **7** zł zawiera 8% VAT

Setna rocznica zgonu Bolesława Prusa
Włodzimierz Wójcik

Powstanie Warszawskie – prawdy i fikcje
Eugeniusz Januła

Zagłębiowskie rzemiosło i rękodzieło
Dobrawa Skonieczna-Gawlik

Oczekiwania kierowane pod adresem edukacji XXI wieku
Jolanta Dąbrowska-Macha

Cyberwojna – czy polskie strony są bezpieczne?
Victor Orwellsky

FELIETONY

**Jadwiga Gierczycka, Jerzy Suchanek,
Andrzej Wasik, Michał Kręcis**

PLASTYKA

Anna Maria Rybka

Rok 1914 w Grodźcu
Dariusz Majchrzak

PITAVAL

Henryk Kocot



LATO PEŁNE WRAŻEŃ

Wydarzenia w Zagłębiu Dąbrowskim tegorocz-
nego lata giną w kontekście wydarzeń międzynaro-
dowych i krajowych. Mistrzostwa Europy w piłce
nożnej EURO 2012, których gospodarzem wspól-
nie z Ukrainą była Polska – nie przyniosły sukce-
su sportowego, choć jak nas zapewniają władze
państwowe, były osiągnięciem organizacyjnym.
Zazdrościmy teraz gospodarzom najważniejszej
imprezy sportowej świata XXX Igrzysk Olimpij-
skich w Londynie – Anglikom przede wszystkim
sukcesu sportowego. Porównując tegoroczny bilans
Brytyjczyków z poprzednimi olimpiadami widać wyraźnie pięcie się sportow-
ców Wielkiej Brytanii do elity sportowego świata. Polska na igrzyskach w kla-
syfikacji medalowej zajęła dopiero 30. miejsce, ex aequo z Azerbejdżanem.

Przypomnijmy, że pierwszy pomysł odnowienia starożytniej rywalizacji
sportowej z udziałem zawodników z całego świata zgłosił w 1888 r. Francuz
Pascal Grousset, czego orędownikiem i organizatorem stał się francuski baron
Pierre de Coubertin. Pierwsze Letnie Igrzyska Olimpijskie odbyły się w 1896 r.
w Atenach w Grecji, udział w nich był zarezerwowany wyłącznie dla mężczyzn.
W proteście wobec dyskryminacji kobiet Greczynka Stamatia Rovithi z Rodos
przebiegła oficjalną trasę maratonu, uniemożliwiono jej jednak przekroczenie
linii mety. Od samego początku nowożytnych igrzysk problemy sportu zderza-
ły się z problemami politycznymi (dwie wojny światowe) oraz gospodarczymi,
a także etycznymi. Coraz trudniej we współczesnych olimpiadach, w których
pieniądz przesądza o sukcesie sportowym, znaleźć pierwotne wartości olimpi-
zmu. O olimpiadzie, a przede wszystkim o olimpijskich sukcesach z udziałem
sportowców z Zagłębia Dąbrowskiego pisze w felietonie Andrzej Wasik.

Wakacyjny relaks przerywały doniesienia o bankructwie kolejnych polskich
biur turystycznych i działaniach samorządów województw polegających na or-
ganizowaniu pomocy w sprowadzeniu do kraju klientów upadłych podmiotów.
Ale szlagierem medialnym w połowie wakacji stała się sprawa Amber Gold Sp.
z o.o., firmy inwestującej w złoto i inne kruszce, która proponowała klientom
wysokie oprocentowanie inwestycji – przekraczające nawet 10 proc. w skali
roku – znacznie przewyższające ono oprocentowanie lokat bankowych. Działal-
ność spółki wzbudziła wątpliwości Komisji Nadzoru Finansowego, która wpi-
sała ją na „czarną listę” ostrzeżeń. Głośno o Amber Gold zrobiło się kilka tygo-
dni temu, kiedy problemy finansowe zgłosiły tanie linie lotnicze OLT Express,
których spółka była głównym udziałowcem. W ramach śledztwa dotyczącego
Amber Gold prokuratura sprawdza też podejrzenie „prania brudnych pienię-
dzy” przez spółkę. Pikanterii tej bulwersującej sprawie dodaje wątek syna pre-
miera Donalda Tuska dotyczący współpracy syna premiera z szefem Amber
Gold i OLT Express. Politycy z Platformy Obywatelskiej z premierem na czele
bagatelizują ten wątek sprawy; tak jak Dariusz Rosati, przewodniczący sejm-
owej komisji finansów publicznych nie dostrzegają winy instytucji państwowych.

Serdecznie zapraszam do lektury czwartego tegorocznego numeru „Nowe-
go Zagłębia”.

Marek Barański

Nowe Zagłębie – czasopismo społeczno-kulturalne • Redaguje kolegium w składzie: Marek Barański – re-
daktor naczelny, Paweł Sarna – sekretarz redakcji, Maja Barańska, Ewa M. Walewska, Tomasz Kowalski –
redakcja techniczna • Adres redakcji: 41-200 Sosnowiec, ul. Będzińska 65, tel./fax: + 48 32 788 33 62 do 63,
+ 48 512 175 814 • e-mail: redakcja@nowezaglebie.pl, www.nowezaglebie.pl • Wydawca: Związek Zagłę-
biowski • Foto na okładce: R. Garstka • Współpracownicy: Zbigniew Adamczyk, Paweł Barański, Prze-
mysław Dudzik, Robert Garstka, Henryk Kocot, Tomasz Kostro, Jarosław Krajniewski, Krzysztof M. Macha,
Dobrawa Skonieczna-Gawlik, Piotr Smereka, Jerzy Suchanek • Druk: Progress Sp. z o.o. Sosnowiec • Na-
kład: 1000 egzemplarzy • Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo
ingerencji w teksty zamówione. Reklamę można zamawiać w redakcji; za treści publikowane w reklamach
redakcja nie ponosi odpowiedzialności • Zasady prenumeraty „Nowego Zagłębia”: Prenumeratę krajową
lub zagraniczną można zamawiać bezpośrednio w redakcji lub e-mailem • Cena prenumeraty półrocz-
nej (przesyłanej pocztą zwykłą) – 3 wydania – 20 złotych, rocznej – 40 złotych • Prenumerata zagranicz-
na przesyłana pocztą zwykłą – 3 wydania – 60 złotych, roczna – 120 złotych • Wpłaty na prenumeratę na-
leży dokonywać na konto: Związek Zagłębiowski, GETIN BANK SA, 70 1560 1010 0000 9010 0006 2987
Informujemy, iż Redakcja czasopisma „Nowe Zagłębie” nie bierze odpowiedzialności za poglądy Au-
torów piszących na naszych łamach. Jesteśmy otwarci na wszystkie opinie i przekonania oraz staramy
się, aby były one reprezentatywne dla szerokiej grupy odbiorców naszego periodyku.

Spis treści

„Serce Zagłębia”	2
Zagłębiowskie lato pełne wrażeń	4
Kobiety, którym urosły skrzydła	6
Zagłębiowskie rzemiosło i rękodzieło	10
Cyberwojna – czy polskie strony są bezpieczne?	12
Frankenstein	13
Na dawnej małopolskiej wsi cz. 1	15
Uniwersytet XXI wieku	17
Oczekiwania kierowane pod adresem edukacji XXI wieku	21
POEZJA	23
Autor Lalki – pisarz „bezustannie współczesny”	25
Kawalerowie Orderu Świętego Stanisława w Zagłębiu Dąbrowskim	30
Uskrzydłony Zagłębiem	31
30 lat zespołu Universe	32
Wakacyjna wycieczka Droga Królewska	33
TEATR	35
PLASTYKA	36
Młot na czarownice	38
In memoriam	40
FELIETON	42
RECENZJE	47
Powstanie Warszawskie – prawdy i fikcje	50
Nieobecni mają głos	56
Rok 1914 w Grodźcu	56
REGION	59



Druk i upowszechnianie czasopisma „Nowe Zagłębie”
są współfinansowane przez
Samorząd Województwa Śląskiego, gminę Sosnowiec i gminę Zawiercie



Śląskie. Pozytywna energia

„Serce Zagłębia”

Z Krzysztofem Malczewskim, starostą będzińskim rozmawia Michał Kubara

Na początek chciałbym zapytać, czy Pan Starosta czuje się Zagłębiakiem? Co sądzi Pan o naszej wspólnej tożsamości?

Przyszedłem na świat w Sławkowie, wychowałem się w Sosnowcu, mieszkam w Czeladzi – najstarszym zagłębiowskim mieście. Pracuję w powiecie będzińskim, nazywanym Sercem Zagłębia. Zagłębiakiem jest się nie tylko poprzez fakt urodzenia się na tej ziemi, ale też przez poczucie przynależności do bogatej kultury, historii i tradycji tego regionu i ludzi, którzy tu mieszkają. Zdecydowanie jestem Zagłębiakiem i jestem z tego faktu niezwykle dumny.

Powiat będziński jest jednym z większych powiatów Zagłębia Dąbrowskiego. Z pewnością duży powiat to także duże problemy, przed którymi staje starostwo. Co uważa Pan za największą bolączkę powiatu będzińskiego?

Oczywiście dziś najpoważniejszymi problemami, z jakimi zmagają się samorządy w Polsce, jest sytuacja oświaty i służby zdrowia. Nie inaczej jest w Zagłębiu. Na szczęście w naszym powiecie udało się zminimalizować negatywne skutki niżu demograficznego w szkołach i dokonać restrukturyzacji placówek oświatowych, która zdecydowanie podniesie jakość kształcenia i wzbogaci ofertę edukacyjną. Udało się nam połączyć dwie duże szkoły, stworzyliśmy także silną placówkę szkolenia praktycznego.

Wspomniał Pan o sytuacji służby zdrowia. Wiemy, jak trudna jest sytuacja szpitali w Będzinie i Czeladzi. Chciałbym zapytać, jakie podjęto działania w celu ratowania tych placówek i kiedy rozpocznie się wdrażanie przyjętego planu ratunkowego?

Jeśli chodzi o powiatowe szpitale, to jesteśmy aktualnie po jednej z najważniejszych sesji Rady Powiatu, podczas której podjęte zostały pierwsze decyzje dotyczące kierunków przekształceń. Długo analizowaliśmy sytuację powiatowej służby zdrowia, korzystaliśmy tu również z analiz niezależnych, zewnętrznych ekspertów. Musimy przede wszystkim zminimalizować zadłużenie szpitala i poprawić komfort leczenia naszych mieszkańców. Mamy dwa szpitale, które wchodzą w skład Powiatowego Zespołu Zakładów Opieki Zdrowotnej – w Będzinie i Czeladzi. Dług PZZOZ wynosi obecnie około 20 mln zł i narastał przez wiele lat. Działło się tak, ponieważ nigdy wysokość kontraktu nie pokrywała zapotrzebowania naszych mieszkańców. Zadłużenie szpitali w całym kraju to rezultat nieefektywnego działania



Krzysztof Malczewski, starosta będziński. Fot. Starostwo Będzin

państwa. Opracowany i wdrażany przez nas plan naprawczy ma na celu wyjście z pętli zadłużenia. Pomysłem dla będzińskiego szpitala jest zmiana formy zarządzania tą placówką i utworzenie NZOZ-u. Placówka czeladzka pozostanie w dotychczasowej formie zarządzania, jednak i tu konieczne do przeprowadzenia są głębokie zmiany. Jedno jest pewne – służba zdrowia pozostanie bezpłatna i dostępna dla wszystkich – to fundamentalna zasada dokonywanych przez nas przekształceń. O wszystkich pomysłach na bieżąco rozmawiamy ze związkami zawodowymi, działającymi w szpitalach.

A jak w kontekście sytuacji szpitali wygląda współpraca z samorządami Będzina i Czeladzi?

Nie da się osiągnąć sukcesu w ratowaniu szpitali bez współpracy z samorządami wszystkich gmin powiatu, w szczególności miast, na terenie których są one zlokalizowane. Bardzo na taką współpracę liczę. Jeśli chodzi o Będzin, to prezydent miasta takie współdziałanie już zadeklarował. Zależy mu na tym, by powstały tu nowe poradnie czy oddziały. Jednym z dobrych pomysłów może być uruchomienie tu w przyszłości tak potrzebnego oddziału onkologicznego czy kardiologicznego. Mam nadzieję, że gdy władze Czeladzi zapo-

znają się z naszym programem naprawczym, to również zechcą z nami współpracować. Mamy zresztą pozytywne przykłady wspólnych działań z poprzednich lat, kiedy to miasto zakupiło dla szpitala bardzo dużo sprzętu, do tej pory dobrze służącego pacjentom.

Chciałbym teraz zapytać o kolejny, równie palący problem: problem bezrobocia. Czy podejmowane działania są według Pana zadowalające, czy też można w tej kwestii zrobić jeszcze więcej? Z pewnością zależy to od dostępnych środków...

Oczywiście tak, wszystko w zasadzie zależy od posiadanych na te cele środków. Nie ukrywam, że w latach poprzednich budżet Powiatowego Urzędu Pracy był dużo większy. Niestety wdrażanie przez nas programów aktywizujących rynek pracy jest uzależnione od wysokości funduszy przekazywanych przez państwo. Teraz mamy aż kilka milionów złotych mniej niż w roku poprzednim. Dobrą informacją może być ta, że być może jeszcze w tym roku Powiatowe Urzędy Pracy otrzymają dodatkowe 500 mln zł w skali kraju na realizację swoich zadań. Liczymy na to, że z tej puli kilka milionów złotych spłynie do naszego powiatu. Byłby to zastrzyk środków pozwalający na uruchomienie nowych form wspierania osób pozostających bez pracy i aktywizacji lokalnego rynku. Warto przy tym zauważyć, że wskaźnik bezrobocia w powiecie będzińskim, mimo iż kilkunastoprocentowy, nie jest najwyższym w Zagłębiu. To efekt naszych wieloletnich działań. Chcemy jednak dążyć do tego, by bez pracy pozostawało tu mniej niż 10% zdolnych do zatrudnienia mieszkańców. Będą temu sprzyjać programy umożliwiające tworzenie nowych miejsc pracy, zakładanie własnych firm oraz organizacja staży i prac interwencyjnych.

Żywo zainteresował mnie pomysł nowego połączenia kolejowego, łączącego Tarnowskie Góry, Katowice i Zawiercie. Czy podjęto już jakieś kroki w tej sprawie? Co Pan osobiście sądzi o tym pomysle?

W tej kwestii od kilku lat widać poważny problem. Mówiąc wprost – ktoś w Warszawie uparł się, by stworzyć połączenie Katowic z lotniskiem w Pyrzowicach po całkiem nowym śladzie, co kosztować będzie zapewne kilka miliardów złotych. Ale mieszkańcy gmin wchodzących w skład naszego powiatu oraz gminy Ożarówice w powiecie tarnogórskim nie chcą na swoim terenie nowej linii kolejowej. Widać wyraźnie, jakie skutki dla gminy Bobrowniki niesie jej podział na dwie części przez autostradę. Dodatkowe szlaki komunikacyjne poszatkują ją, co będzie miało bardzo negatywny wpływ na jej funkcjono-

wanie. Zastanawia mnie przy tym, dlaczego nie bierze się w takich przypadkach pod uwagę rozwiązań, które sprawdzą się dobrze na zachodzie Europy. Tam buduje się specjalne korytarze transportowe, w których przebiega obok siebie autostrada i linia kolejowa. U nas tymczasem projektuje się w jednym miejscu autostrady, w innym – kolej. Wcześniej mówiło się dodatkowo o kolei szybkich prędkości, która miała biec w... jeszcze innym miejscu. Spotkałem się niedawno z radnymi i mieszkańcami gminy Bobrowniki, którzy są przeciwni planowanej budowie linii. Naszym zdaniem, zamiast tworzyć nową infrastrukturę, należy lepiej wykorzystać już istniejącą. Takie rozumowanie popierają też władze powiatu tarnogórskiego i Ożarówic. Podobnego zdania są przedstawiciele gmin wchodzących w skład powiatu będzińskiego. Trzeba wykorzystać istniejącą, w tej chwili nieużywaną linię kolejową z Tarnowskich Gór do Zawiercia oraz bardzo naturalne połączenie na trasie Warszawa – Katowice. Nie potrzebujemy tu kolei dużych prędkości, która wymagałaby budowania nowego torowiska. Zawiązaliśmy więc swoistą koalicję dla realizacji tego pomysłu, do którego – mam nadzieję – przyłączy się także powiat zawierciański oraz Sosnowiec i Dąbrowa Górnicza. Co więcej – takie połączenie byłoby dużą szansą na ożywienie gospodarcze Zagłębia. Niezależnie od tego zamierzamy poinformować Komisję Europejską oraz naszych parlamentarzystów w Brukseli o braku zgody na forsowane wbrew woli naszych samorządów rozwiązanie, które miałyby być wsparte środkami unijnymi. Największym problemem jest tu brak konsultacji społecznych, które przecież są w Unii Europejskiej jednym z podstawowych instrumentów zapewniających współudział lokalnych społeczności w podejmowaniu najważniejszych decyzji. Przedstawimy więc własny projekt, w mojej ocenie lepszy, bo uwzględniający lokalne uwarunkowania. Zobaczymy, jakie to przyniesie efekty.

Logistycznie rzecz biorąc, mieszkańcom dużej części Zagłębia takie rozwiązanie bardzo ułatwiłoby drogę do Pyrzowic. Mogliby omijać Katowice i nawet o połowę skrócić swój dojazd na lotnisko.

Bo to bardzo logiczny i oczywisty pomysł. Tym bardziej, że pozwoliłoby to na uniknięcie problemów wywłaszczeniowych. A mamy w tej sprawie przecież wsparcie nie tylko zainteresowanych powiatów, ale i radnych Sejmiku Województwa Śląskiego. Z uwagi na żywotny charakter tego problemu, jesteśmy zdecydowani wykorzystać wszystkie dostępne instrumenty.

Ostatnio miało miejsce spotkanie władz oświatowych powiatu będzińskiego z przedstawicielami lokalnych władz oświatowych tureckiego miasta Bartin. Spotkanie odbyło się w ramach projektu „Polsko-turecka współpraca dla tworzenia społeczno-wychowawczych szkół” programu Comenius Partnerskie Projekty Regionu. Jakie korzyści osiągnie będzińska oświata z kontaktów z tureckimi partnerami?

Najważniejsze są korzyści płynące z wymiany doświadczeń i wzajemnego podpatrywania rozwiązań stosowanych w krajach partnerskich. Mieliśmy na przykład okazję do poznania bardzo dobrej organizacji tureckich szkół zawodowych – gastronomicznych i hotelarskich. Turcy doskonale wykorzystują też walory turystycznej atrakcyjności miasta Bartin, położonego blisko Morza Czarnego. Przy szkołach funkcjonują hotele i pensjonaty, gdzie ucząca się młodzież zdobywa umiejętności praktyczne. W Polsce takiego systemu praktyk brakuje.

Wspomniał Pan Starosta o turystyce. Chciałbym na koniec zapytać o turystykę w powiecie będzińskim. Jak ocenia Pan wykorzystanie turystycznych walorów powiatu? Czy nie wymagają one także lepszej promocji?

Powiat będziński to miejsce o wyjątkowych walorach przyrodniczych i turystycznych. Od dłuższego czasu pracujemy nad wykorzystaniem tych walorów w całościowej promocji powiatu jako „Serca Zagłębia”. Mamy pięknie położone gospodarstwa agroturystyczne, Zalew Przeczycko-Siewierski i Zalew w Rogoźniku, zamki, pałace, zielone i zdrowe lasy... Tym wszystkim trzeba się chwalić daleko poza granicami Zagłębia. Chcemy pokazać, że do tych miejsc nie trzeba dojeżdżać samochodem, że można do nich dotrzeć łatwo rowerem czy nawet pieszo. Widać tu ciągle jeszcze wyraźnie brak ścieżek rowerowych, choć w tej dziedzinie dużo już zostało zrobione. Docelowo chcemy doprowadzić do stworzenia systemu, który oplecie cały powiat, tworząc równocześnie zintegrowaną z resztą Zagłębia sieć. Turystyka rowerowa jest dla nas kluczowa. Ważne przy tym, by ścieżki przebiegały w pobliżu miejsc noclegowych i punktów gastronomicznych, co umożliwi kilkudniowe, rodzinne eskapady rowerowe. Zarówno powiat, jak i poszczególne gminy stale inwestują w modernizację infrastruktury turystycznej. Władze Będzina na przykład w ostatnim czasie prowadzą intensywne prace remontowe w podziemiach na Wzgórzu Zamkowym, które będą niebawem jedną z najciekawszych atrakcji turystycznych regionu. Podsumowując – mamy się czym chwalić i co promować.

Dziękuję za rozmowę.

Zagłębiowskie lato pełne wrażeń

Paulina Budna

Sezon wakacyjny powoli dobiega końca. Spóźnieni urlopowicze wracają do domu z zagranicznych i krajowych wiojaży. Są jednak tacy, którzy nigdzie nie wyjeżdżali, a czekały na nich równie ciekawe atrakcje.

Zagłębie Dąbrowskie nigdy nie było miejscem tłumnie odwiedzanym przez turystów, co sprawiało, że mieszkańcy niezbyt entuzjastycznie witali lato w swoich miastach. Jednak w ciągu kilku ostatnich lat sytuacja w Zagłębiu naprawdę się poprawiła. Mnóstwo atrakcji zapewnia się przede wszystkim dzieciom i młodzieży, ale dorośli też nie mają na co narzekać. W tym roku Zagłębie stanęło na wysokości zadania.

Odkąd Dąbrowa Górnicza zdecydowała się na budowę Centrum Sportów Letnich i Rekreacji, tereny wokół Pogorii nabrały jakby innego kształ-

tu. Sporty wodne, wcześniej uprawiane trochę po cichu, nabrały rozpędu. Wszyscy zainteresowani mogli zgłosić się na szkolenia teoretyczne i praktyczne w zakresie żeglarstwa, a dzieci mogły spróbować swoich sił w windsurfingu. Coraz więcej fanów zdobywał też skimboarding, sport podobny do surfingu, jednak uprawiany bliżej brzegu. Jezioro Pogoria III okazało się do tego wprost wymarzone miejsce. Jeśli pozostajemy w kręgach wodnych, nie można zapomnieć o Pogorii IV, na której w tym roku pojawiły się żaglówki. Miejsce z pewnością spokojniejsze niż Pogoria III, może stać się prawdziwą atrakcją w następnym sezonie. W te wakacje amatorzy sportów rowerowych i rolkowych mogli skorzystać w pełni z uroków, jakie dostarcza im jezioro. Jednak sporty wodne nad Po-

gorią to nie wszystko, co miasto przygotowało dla mieszkańców. Na plaży w każdy weekend odbywały się zajęcia fitness, a wokół jeziora można było wspólnie pobiegać lub uprawiać nordic walking. Park „Zielona” zaproponował mieszkańcom ścianki wspinaczkowe, akademię siatkówki plażowej, czy Extreme City Camp – obóz z zakresu skateboardingu. Dla najmłodszych nieco mniej zainteresowanych sportem zorganizowano półkolonie – trwające 2 tygodnie codzienne spotkania obfitujące w wycieczki w ciekawe miejsca w regionie oraz zajęcia praktyczne, np. sztuka robienia make-up'u. Co tydzień odbywały się także spotkania w osiedlowych klubach, które zapewniały młodzieży takie atrakcje jak BodyArt czy pokazy mody. Dąbrowa postawiła na sport i aktywny

Zalew w Przeczycach. Fot. R. Garstka





Ruiny zamku w Ogrodzieńcu. Fot. R. Garstka

wypoczynek. Podobnie zrobił Sosnowiec, w którym najmłodszy mogli skorzystać z kortów tenisowych, a także wziąć udział w zawodach z tej dyscypliny. Pływalnie były otwarte praktycznie cały dzień i zachęcały dzieci do skorzystania z zajęć nauki pływania. Czymś oryginalnym okazały się szkolenia na deskach mountainboardowych dla dzieci i młodzieży.

Jeśli ktoś okazał się amatorem sportu tylko w teorii, a zapal do jeżdżenia na rowerze szybko opadł, mógł skorzystać z innych atrakcji, jakie zaoferowało mu Zagłębie. Już po raz kolejny zorganizowano w kilku miastach Kino pod Chmurką. Filmy zaprezentowane podczas seansów były różne – poczynając od klasyków jak „Bonnie i Clyde” na polskiej „Róży” kończąc. W Dąbrowie seanse odbywały się w Parku Hallera, w Sosnowcu natomiast przed Halą Expo. Natomiast bajki dla dzieci wyświetlał Ośrodek Kultury w Będzinie. Dla najmłodszych Będzin zorganizował również

festyny w poszczególnych dzielnicach miasta zapewniając dzieciom kilkugodzinną rozrywkę z konkursami włącznie. Dla nieco starszych fanów muzycznych atrakcji Będzin przygotował prawdziwą gratkę. Już po raz X na terenie Zamku w Będzinie odbył się Festiwal Muzyki Celtyckiej. Gwiazdą tegorocznego festiwalu był pochodzący z Wielkiej Brytanii zespół Flook. Na fanów kultury celtyckiej czekały warsztaty taneczne. Nie wszyscy jednak przepadają za tego typu muzyką. Sympatycy muzyki klubowej też znaleźli coś dla siebie. Kolejna edycja imprezy Beach House Night odbyła się w Parku „Zielona” i zagrali na niej najlepsi Dj-e. Impreza trwała całą noc i przyciągnęła wielu amatorów housowych dźwięków. Kolejną, drugą już edycję zaliczył w sierpniu Eskalator – impreza współorganizowana przez radio Eska, na której wystąpili znani i lubiani, czyli Ewa Farna, zespół Enej, duet East Clubbers oraz rodowity będziński, Patryk.

Gdybyśmy oddalili się nieco od serca Zagłębia, znajdziemy miejsca, które emanują spokojem i zachęcają pięknem przyrody. Sławą obrósł już Zamek w Ogrodzieńcu, który oprócz pokazów rycerskich ma w swoim zanadrzu też inne atrakcje, jak zwiedzanie nocą oraz uwielbiany przez dzieci Park Miniatur, w którym możemy obejrzeć makiety warowni wybudowanych na Szlaku Orlich Gniazd. Ogrodzieniec to nie tylko atmosfera średniowiecza, ale też współczesności. W sierpniu po raz kolejny na zamku wystąpili najlepsi kabareciarze w Polsce na imprezie „Strasznie Śmieszny Zamek”.

I właściwie można by tak wymieniać i wymieniać bez końca miejsca, które można odwiedzić podczas wakacji w Zagłębiu. Bo lato w mieście wcale nie musi być nudne, wręcz przeciwnie – może okazać się o wiele ciekawsze niż leżenie na plaży w egzotycznych krajach.

Kobiety, którym urosły skrzydła

Anna Sala-Wojnowska, Monika Sobańska



Pod koniec czerwca wróciliśmy w doborowym, rozbawionym i roztańczonym gronie 15 kobiet z czerwcowej wyprawy Arte Maroko 2012. Była to już druga wyprawa afrykańska organizowana przez Stowarzyszenie Aktywne Kobiety. W podróży spędziliśmy 11 dni – nasz szlak zaczynał się w Marrakeszu, wiódł przez Dolinę Ourica, Atlas Wysoki, by zakończyć się w pięknym portowym mieście o niepowtarzalnym klimacie – Essaouirze.

Ta wyprawa była dla każdej z nas wyzwaniem, dobrą zabawą, ucztą dla zmysłów i okazją do przyjrzenia się co najmniej kilku stereotypom. Wędrowaliśmy, smakowaliśmy, zaprzyjaźnialiśmy się na szlaku ze sobą i z pełnym kontrastów Marokiem, jego gościnnymi mieszkańcami i każdego dnia tańczyłyśmy. Tak zapamiętamy tę podróż: roztańczo, roześmianą i arcysmaczną.

Czas w Marrakeszu pozwolił nam się zapoznać i przełamać lody, szczególnie w lokalnym hammam dla kobiet, gdzie nagie Marokanki zdziera-

ły z nas skórę podczas tradycyjnego zabiegu gommage. Ponieważ zdecydowałyśmy się zamieszkać w bajkowym riadzie El Az, każda z nas mogła poczuć się jak księżniczka z *Baśni*

tysiąca i jednej nocy. W trakcie nauki tańca brzucha na farmie oliwnej zaprzyjaźnionej Polki, naszej przewodniczki Moniki Baroudi miałyśmy okazję nauczyć się gracji i arcykobiecych ruchów biodrami, uruchamiając mięśnie, o których istnieniu nawet nie wiedziałyśmy. Był też czas na kosztowanie lokalnych przysmaków jak mózdzki, serca i baranie jądra oraz nurkowanie w górach egzotycznych przypraw, olejków i herbat podczas wędrówek przez marokański tradycyjny targ – souk. Tam też poznawałyśmy tajniki trudnej sztuki negocjacji, często spędzając długie chwile na walce o dobrą cenę i... przetrwanie. Zachwycone życiem nocnym Marrakeszu, spędziłyśmy noc w jednym z najlepszych klubów miasta – Jad Mahal, gdzie powabne tancerki brzucha oplatały nas swymi ciałami w tańcu.

Droga na najwyższy szczyt Afryki Północnej Dżabal Toubkal (4167 m n.p.m) okazała się dla niejednej z nas okazją do zaakceptowania i przełamania swoich ograniczeń. Doceni-





łyśmy siłę, jaką posiada grupa kobiet dająca sobie wsparcie w trudnej drodze na szczyt. Warto było pokonać tę drogę – dla siebie, dla intencji, które niosłyśmy ze sobą i dla widoku na 4 strony świata, który obezwładnił nas i wzruszył do łez.

Dwie noce spędzone w schronisku Refuge de Toubkal na wysokości 3200 m n.p.m. pozwoliły nam poznać podróżników z całego świata

oraz przespać się pod kołdrą z miliona gwiazd – nigdzie bowiem do tej pory nie widziałyśmy takiego nieba, jak w górach Atlasu. Spotkania z tradycyjną ludnością berberyjską, a zwłaszcza z kobietami, których życie różni się niezwykle od życia Europejki utwierdziły nas w przekonaniu, że bycie kobietą może mieć zupełnie inny wymiar, w zależności od kultury, jaka nas ukształtowała.

Niektóre z nas otrzymały także propozycję nie do odrzucenia. – Zostań czwartą żoną mego brata – kusił górski przewodnik Mohammed.

Wyjątkowym i niezapomnianym doświadczeniem był nasz udział w corocznym festiwalu muzyki Gnaoua, na który zjechali do Essaouiry muzycy z całej niemalże Afryki, w tym piękna Oumou Sangare – królowa muzyki malijskiej. Roztańczone, wśród dźwięku wielu egzotycznych instrumentów bawiłyśmy się do białego rana, ciesząc się nieskrępowaną wolnością. Było to jedno z wielu spotkań na naszej drodze rozwoju kreatywności. Podobnie jak twórcze spotkanie w górach Atlasu Wysokiego prowadzone przez Annę Salę-Wojnowską, pomysłodawczynię wyprawy, która zachęciła nas do budowania barwnych skrzydeł i latania na nich. To przeżycie, które na pewno zostanie w nas na długo.

Poznałyśmy Maroko bardzo zaможne i bardzo biedne, czyli takie jakim jest na co dzień. Z pewnością wróciliśmy bogatsze o wspomnienie tej podróży, wielu obrazów, które zmieniały się nieustannie, smaków, zapachów, spotkań i radości ze spotkań ze sobą. Jesteśmy pewne, że utrzymamy kontakt i nie raz będziemy dla siebie wsparciem tak, jak by-





łyśmy w drodze na najwyższy szczyt Afryki Północnej. Kolejna wyprawa do Maroka już w drugiej połowie września 2012 (17–28.09). Trudno było nam odmówić kobietom, które nie pojechały z nami w czerwcu. Stąd już wkrótce znowu będziemy w drodze na czterotysięcznik. W planach także wyprawy do Nepalu, na Bali, na Bornholm oraz do Rosji.

Naszą intencją jest tworzenie dla różnych kobiet sposobności do spotykania się na różnych szlakach rozsianych po świecie, poznawania, zaprzyjaźniania i wspierania zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym. Arte Wyprawy mają z założenia budzić w kobietach kreatywność i pozwalać się nią cieszyć każdego dnia, nie tylko w podróży. Mamy nadzieję, że nawiązane znajomości i przyjaźnie będą rozkwitały po wyprawach i jeszcze nie raz kobiety przekonają się, że mogą liczyć na swoją obecność, uśmiech oraz ocean dobrych pomysłów i rozwiązań, który każda nosi w sobie. Wyprawy mają nas inspirować do odkrywania góry skarbów w sobie, a spotkania z kobietami wychowanymi w innych kulturach, realiach wzbogacać nasze doświadczenie i zwracać uwagę na naszą realną sytuację. Organizując wyprawy nawiązujemy znajomości i współpracujemy z kobietami, które są na nią otwarte i które dzięki możliwości zarobkowania mogą stawać się bardziej niezależne, lepiej wyedukowane i bardziej zadowolone ze swojego życia. Na każdym kroku, gdzie tylko jest to możliwe staramy się włączać w nasz projekt kobiety, nie negocjujemy twardo cen i dajemy im duże napiwki. Uczymy się od nich, a one od nas. I o to chodzi w naszych Arte Wyprawach, o twórczą wymianę między kobietami.

Więcej informacji na temat kobiecych wypraw do Afryki znajdziecie na stronie www.artemaroko.wordpress.com oraz w siedzibie Stowarzyszenia Aktywne Kobiety, w Sosnowcu, ul. 3 Maja 11, Tel. (32) 266-16-72.

Informacja o kolejnej edycji projektu „Kobiety wędrujące po górach”

17–19 sierpnia zapraszamy na kolejny trekking górski po Beskidach

Powędruj górskimi szlakami z fajnymi babkami!!! Pierwsza górską wyprawą już za nami!

Na początku lipca odbył się pierwszy z górskich trekkingów, które w ramach projektu „Kobiety wędrujące po górach” realizuje Stowarzyszenie Aktywne Kobiety z Sosnowca. Przedsięwzięcie współfinansowane jest ze środków Gminy Sosnowiec. Cieszyło się ono dużym zainteresowaniem wśród pań. 17 sierpnia odbędzie się jego druga odsłona, na którą organizatorzy serdecznie zapraszają wszystkie kobiety z województwa śląskiego bez względu na wiek i kondycję fizyczną.

Wyprawy w nasze piękne, polskie góry łączą w sobie nie tylko przyjemność wędrowania, ale też możliwość podróżowania w głąb siebie – dzięki przygotowanym podczas wypraw specjalnym warsztatom, prowadzonym pod okiem doświadczonych psychologów i trenerów.

Spędziłyśmy trzy wyjątkowe dni w Suchej Beskidzkiej – relacjonuje pierwszą, lipcową wyprawę, Dorota Gut, która w Stowarzyszeniu zajmuje się realizacją projektu. – Zaczęłyśmy od wizyty w legendarnej Karczmi Rzym, na szczęście obyło się bez spotkania z Mefistofelem. Wieczór zamknęłyśmy warsztatem rozwojowym, podczas którego panie pracowały z własnymi emocjami. Takie warsztaty pozwalają na dotarcie do wewnętrznej siły oraz usunięcie tkwiących w nas wewnętrznych blokad i ograniczeń. Sobota upłynęła nam na wędrowce po górskim szlaku; dotarliśmy do Przysłopiu,

Beskidzkiego Raju, wróciliśmy czarnym szlakiem przez Magurkę. Plan atrakcji dopełniłyśmy niedzielną wizytą na Zamku Suskim oraz spacerem pod Kaplicę Konfederatów Barskich na Jasieniu. Było też wspólne ognisko, pieczenie kielbasek i długie, babskie rozmowy. Wróciliśmy wypoczęte i odmienione, dzięki warsztatom rozwojowym mamy mnóstwo energii, by zdobywać życiowe szczyty – do 17 sierpnia – wtedy znów ruszamy na szlak.

Na wszystkie kobiety ciekawe świata, pragnące poznać siebie, otwarte na rozwój i dobrą zabawę czekają jeszcze wolne miejsca na dwie kolejne wyprawy. To niepowtarzalna okazja, aby w kobiecym gronie spędzić trzy wyjątkowe dni na łonie natury, zapomnieć o codziennych troskach i oddać się wakacyjnemu relaksowi. Najbliższy trekking, trwający od 17 do 19 sierpnia wiedzie trasami wokół Szczyrku, grupa kobiet przejdzie przez Klimczok, Magurkę, Równię, Kozią Górę, a także zdobędzie Skrzyczne. Nocleg zaplanowany jest w Chacie Wujka Toma. Górskim wędrownikom towarzyszyć będzie warsztat rozwoju osobistego poprowadzony przez psycholożkę Grażynę Zębałą, dzięki któremu uczestniczki dowiedzą się jak rozwinąć własne skrzydła, poczuć wewnętrzną pełnię i wolność – dodaje Dorota Gut. Ostatnia edycja wyprawy odbędzie się 21–23 września.

Zgłoszenia: tel. 32 266 16 72, email: biuro.akt@gmail.com. Szczegóły: www.aktywnekobiety.org.pl, <http://www.facebook.com/events/304731916289313/>.

Pałac w Suchej. Fot. arch.



Zagłębiowskie rzemiosło i rękodzieło: kołodziejstwo, bednarstwo, ciesielstwo i stolarstwo

Dobrawa Skonieczna-Gawlik

Kołodziej, bednarz oraz cieśla to postacie dziś kojarzące się nam niemal jedynie z bohaterami legend, opowieści biblijnych czy bajek opowydanych przez babcie. A jednak niegdyś kołodziejstwo czy ciesielstwo były rzemiosłami ważnymi dla codziennego funkcjonowania wsi: bez kołodzieja nie powstał żaden wóz, bez cieśli żaden dom, a bez bednarza beczka



Koła do wozu. Fot. B. Gawlik

Wspominałam już w poprzednich artykułach cyklu, że niegdyś gospodarka wiejska była samowystarczalna, co za tym idzie, większość przedmiotów znajdujących się w obrębie domostwa wykonywana była przez samych gospodarzy lub też mieszkańców okolicznych wsi. Jednakże, gdy do wykonania jakiegoś przedmiotu potrzebne były specjalne umiejętności lub specjalistyczne narzędzia, często kupowano potrzebne rzeczy u rzemieślnika albo też zatrudniano go do wykonania danej pracy. Oczywiście rzemiosło nie było zarezerwowane tylko i jedynie dla obszarów wiejskich, ale również, i to w dużej mierze, rozwijało się w miastach, zazwyczaj

tam, gdzie było zapotrzebowanie na dany towar bądź usługę.

Zarówno kołodziej, jak i bednarz, ale również cieśla i stolarz zajmując się wytwarzaniem przedmiotów bądź elementów z drewna takich jak sprzęty domowe, narzędzia rolnicze, naczynia, meble, elementy konstrukcyjne budynków byli osobami niezbędnymi w zagłębiowskich wsiach i miasteczkach. Podczas produkcji swoich wyrobów używali takich samych narzędzi, do których należały topory, siekiery, strugi, piły, a także cyrkle, świdry o różnych zakończeniach oraz dłuta. Ponadto, w zakładzie stolarskim znajdował się warsztat z imadłami, u bednarza –



Pobijak ciesielski. Fot. B. Gawlik

ława do strugania klepek, a u kołodzieja kobylnica, czyli stojak do obróbki piasty.

Kołodziejstwo na przełomie XIX i XX wieku, a nawet jeszcze po II wojnie światowej było zajęciem często spotykanym, bowiem żaden gospodarz nie mógł obejść się bez wozu. Kołodziej trudnił się głównie wyrobem kół do tzw. wozów żelaznych, ale posiadał najczęściej wiedzę i umiejętności pozwalające na wykonanie całego wozu, a także bryczki, sani konnych, taczki czy sanek. Do produkcji elementów wozu, takich jak dzwona, śnice, piasty, szprychy, dyszle, wykorzystywano kilka gatunków drewna: bukowe, dębowe, akacjowe, brzoźowe, grabowe oraz w mniejszym stopniu sosnowe, jesionowe i topolowe.

Bednarstwo to druga specjalność rzemieślnicza zajmująca się produkcją przedmiotów z drewna, a dokładniej – klepkowych naczyń mających szerokie zastosowanie w gospodarstwie: beczek o różnej wielkości służących do kiszenia kapusty, wiader na wodę, masielnic, miarek, dziezek i bali. Naczynie powstawało z dobrze dopasowanych do siebie dębowych lub świerkowych klepek spinanych na zewnątrz obręczami. Pierwsze obręcze były drewniane, z biegiem czasu zastąpiono je obręczami żelaznymi, a następnie obręczami z grubej ocynkowanej blachy. Zgodnie z posiadanymi przeze mnie informacjami ostatnimi bednarzami są rzemieślnicy siewierscy zajmujący się jedynie dorywczo wyrobem klepkowych naczyń w ramach pokazów i warsztatów. Siewierskiego bednarza Adama Małotę można czasem spotkać na imprezach w Górnośląskim Parku Etnograficznym w Chorzowie, gdzie tłumaczy zawiloci bednarskiego fachu, a siewierskie masielnice i skopki – na będzińskim targu.

Cieśle, którzy byli w pewnym stopniu architektami i konstruktorami, znajdowali się najczęściej na usługach kilku wsi bądź miejscowości. Wędrując z miejsca na miejsce, trudnili się budową domów, budynków gospodarczych i inwentarskich, wznosili młyny, wiatraki, a nawet kapliczki i krzy-

że, łącząc elementy drewnianej konstrukcji bez użycia gwoździ. Do wznoszenia budowli wykorzystywano głównie drewno sosnowe, rzadziej świerkowe, jodłowe bądź modrzewiowe. Czasem wykorzystywano również inne gatunki drewna, jak np. dębinę, z której oprócz podwaliny wyjątkowo wznoszono całe ściany. Przykład takiego domu z terenu Zagłębia znajdziemy w chorzowskim skansenie, gdzie obejrzyć można chałupę ze Strzemieszyc Wielkich pochodzącą z końca XIX w.

Rzemiosłem najbardziej nam znanym, a związanym z obróbką drewna jest stolarstwo. Stolarz zajmował się wyrobem stołów, ław, stołków, skrzyń, półek, ale także stolnic, niecek, łyżników oraz narzędzi rolniczych, takich jak cepy, grabie, przetaki. Wraz z nastaniem mody i zmianami we wnętrzach

Masielnica. Fot. B. Gawlik



Strug. Fot. B. Gawlik

mieszkalnych stolarze na zamówienie zaczęli wykonywać również szafy, kredensy, komody oraz krzesła. W wyrobach meblarskich ważny był uzyskany efekt estetyczny związany z układem i rysunkiem słoï, dlatego też w stolarstwie wykorzystywano różne gatunki drewna iglastego, liściastego oraz drzew owocowych. Jednakże już w latach 70. XX w. rzadko można było spotkać stolarza wyrabiającego sprzęty, a głównym zajęciem małych zakładów stolarskich stała się produkcja elementów potrzebnych w budownictwie i gospodarstwie jak odrzwia i drzwi, okna, podłogi. Wielu stolarzy przeszło także do pracy w przemyśle, głównie w kopalniach, zamykając swoje dotychczasowe warsztaty stolarskie.

Postępująca urbanizacja zagłębiowskich wsi, miast i miasteczek oraz napływ towarów produkowanych przemysłowo dość szybko przyczyniły się do zaniku wszelkich wyrobów drewnianych, a tym samym nieopłacalności związanych z nimi rzemiosł. Na skutek wprowadzenia na rynek kół gumowych: tańszych i bardziej funkcjonalnych, rozwoju motoryzacji zastępującej transport konny, zanikły warsztaty kołodziejskie w miastach przemysłowych i ich okolicach. Budownictwo murowane przyczyniło się do zredukowania pracy cieśli do postawienia drewnianej więźby, natomiast napływ tańszych, produkowanych na skalę przemysłową przedmiotów używanych w gospodarstwie, naczyń ka-

mionkowych i żelaznych zmniejszył zapotrzebowanie na naczynia klepkowe wyrabiane przez bednarza. Z biegiem lat kołodziej i bednarz znaleźli się na liście „ginących zawodów”, stolarz ograniczył



Topór ciesielski. Fot. B. Gawlik

zakres wykonywanych prac do przygotowywania stolarki budowlanej, a tylko cieśla, w związku z modą na budownictwo drewniane (domy mieszkalne, rekreacyjne, budynki gastronomiczno-usługowe) i niezmienną konstrukcją więźby dachowej znajduje się dziś w gronie poszukiwanych fachowców.

Bibliografia

D. Adamczak, *Rzemiosło i rękodzieło*, w: *Ludowe tradycje. Dziedzictwo kulturowe ludności rodzimej w granicach województwa śląskiego*, red. B. Bazieli, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Muzeum Śląskie, Wrocław-Katowice 2009.

H. Łoś, *Wytwórczość*, w: *Zabytki ludowej kultury na Śląsku i w Częstochowskim*, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze – Oddział Śląski, Bytom 1975.

Cyberwojna – czy polskie strony są bezpieczne?

Victor Orwellsky

Jedną z metod wyrażenia sprzeciwu wobec poparcia przez rząd polski międzynarodowego porozumienia ACTA stały się obok fali ogólnopolskich protestów także ataki hackerские tzw. „hacktywistów”, których inicjatorem i głównym członem stał się międzynarodowy kolektyw Anonymous. Obnażyli oni ogromne braki w infrastrukturze sieciowej polskich stron rządowych (z domeną .gov.pl) podając przy tym do wiadomości publicznej wiele z niejawnych danych. **Zabezpieczenia jak sito**

W pierwszej kolejności Anonymous i ich zwolennicy opierali się przede wszystkim na atakach typu odmowa usług (Distributed Denial of Service – DDoS) polegających na wielokrotnym wywoływaniu serwerów zawierających strony i tym samym doprowadzaniu do ich wyłączenia. Do powyższej formy ataków hacktywiści wykorzystywali dostępne w sieci aplikacje generujące zapytania takie jak Low Orbit Ion Cannon (LOIC) i High Orbit Ion Cannon (HOIC). W wyniku podobnych działań z sieci na kilka godzin zniknęły witryny wielu państwowych instytucji i ministerstw.

Wbrew pozorom jednak nie był to najpoważniejszy z ataków. Obok ataków DDoS wykorzystywano również luki znalezione na rządowych serwerach kradnąc z nich dane i hasła, które następnie publikowali na swoich kontach na portalach Twitter i Facebook. Były wśród nich adresy email, loginy i hasła do kont wielu pracowników administracji publicznej. W sieci zaczęto żartować sobie z haseł używanych przez urzędników (np. Admin1).

Chociaż wkrótce po tym incydencie Centrum Informacyjne Rządu podało w oficjalnym komunikacie do wiadomości, że opublikowane informacje są fałszywe, a minister Radosław Sikorski twierdził, że sytuacja jest pod kontrolą, to jednak na kontach Anonymous na Twitterze co jakiś czas pojawiały się doniesienia o kolejnych atakach, wśród których znalazła się między in-

nymi oficjalna strona ministra.

Czy polskie władze wyciągnęły z tych ataków jakiegokolwiek wnioski? Wiele z wydarzeń, które miały miejsce później wydaje się wskazywać, że nie, wystarczy przytoczyć fakt, że już po zakończeniu protestów w marcu 2012 roku ataki przeprowadzono po raz kolejny między innymi na prokuraturę, Krajową Radę Sądownictwa oraz sądy rejonowe w wielu polskich miastach, przekierowując adresy ich witryn na zewnętrzne strony, a także publikując w sieci dane pracowników wraz z hasłami dostępu do kont.

O stanie polskiej infrastruktury in-



formatycznej świadczyć może choćby raport opublikowany w maju przez Rządowy Zespół Reagowania na Incydenty Komputerowe (CERT). Spośród zbadanych stron okazało się, że wiele z nich zawiera błędy stanowiące bardzo wysokie zagrożenie dla bezpieczeństwa rządowych serwerów, a zdaniem autorów raportu zaledwie „7% portali w domenie gov.pl ma akceptowalny, profesjonalny poziom bezpieczeństwa”, zabezpieczenia pozostałych 18% znajdują się na poziomie nie do zaakceptowania.

Dodajmy przy tym, że jakimikolwiek procedurami awaryjnymi w ra-

zie ataku dysponuje zaledwie 20% wszystkich badanych instytucji rządowych. W sytuacji gdy w stosunku do roku poprzedniego liczba zarejestrowanych incydentów wyraźnie wzrosła (dopiero za kilka miesięcy będziemy wiedzieć, czy jest to związane jedynie z protestami przeciwko ACTA), taki brak przygotowania może okazać się zgubny.

Nie tylko rząd

Polski internet wcale nie wygląda lepiej od systemów rządowych. W przytoczonym w raporcie rankingu ATLAS (Active Threat Level Analysis System – System Analizy Zagrożeń Internetowych obejmujący cały światowy Internet) prowadzonym przez firmę ARBOR Networks, Polska jeszcze kilka miesięcy temu zajmowała szóstą pozycję, co świadczyć miało o wysokiej liczbie zainfekowanych komputerów oraz dużej ilości stron wyludniających informacje o użytkownikach. Wszystko to wiąże się ze słabymi zabezpieczeniami polskich serwerów, które tym samym narażają się na ataki.

Ataki hacktywistów przy okazji protestów przeciwko podpisaniu i ratyfikacji ACTA pokazały, jak bardzo niedoskonałe są systemy informatyczne polskiego rządu. W przypadku Anonymous okazało się ostatecznie, że głównym celem ataków było przede wszystkim wywołanie efektu propagandowego, a wykradzione informacje (przynajmniej te, o których nam powiedziano...) nie są aż tak istotne.

Czy jednak wiedza o słabości polskich systemów nie może zostać wykorzystana przez inne, o wiele bardziej zdeterminowane grupy? Coraz częściej słyszymy o kolejnych atakach przeprowadzanych przez tajemniczych hackerów z jednego państwa na serwery innego, ile jednak jest ataków, o których media się nawet nie zająknęły? Być może doświadczenie ostatnich miesięcy podziała na polskich polityków jak kubek zimnej wody i wkrótce dojdzie do poprawy sytuacji.

Wiele spraw kryminalnych, które tygodniami nie znikają z czołówek gazet, już po kilku latach odchodzi w niepamięć. Mordercy i ich ofiary z wolną blakną i zamazują się w pamięci ludzkiej. Tylko niektóre przestępstwa, nawet po wielu latach, wciąż budzą zaciekawienie. Taka jest właśnie sprawa Frankensteina z Piekar Śląskich.

Frankenstein

Henryk Kocot

Krótko po północy 3 listopada 1974 roku 21-letnia Maria B. wracała z zabawy w studenckim klubie „Pyrlik” w Bytomiu przy al. Jagiellońskiej. Na klatce schodowej usłyszała, że ktoś za nią idzie. Był to młody mężczyzna. Kilka sekund później poczuła silny cios w głowę. Mimo uderzenia dziewczyna nie straciła przytomności i podniosła alarm, który spłoszył napastnika.

Schemat powtarzał wielokrotnie, tyle że nie czekał teraz, aż kobieta nawiąże z nim kontakt, lecz sam ją wybierał i najpierw długo obserwował, zanim zdecydował się na atak. Kilkakrotnie wybierał ofiary w tramwaju linii „6”. Przez długi czas był to jedyne trop, a grupę zajmującą się sprawą nazy-

wano „szóstką”. I zawsze identyczny sposób działania: ciosy siekierą, obnażone zwłoki. Tak zginęły 32-letnia Mirosława S., studentka podyplomowej Akademii Medycznej, 26-letnia Teresa R., Helena R. Następną ofiarą miała być Barbara R. Ona przeżyła napad. Później Knychała tak to wytłumaczył: „Uderzyłem ją tak delikatnie, gdyż nie chciałem, żeby krew od razu zalała twarz. Spodobała mi się i chciałem trochę na nią popatrzeć”.

Barbara R. zdążyła przed napadem przyrzec się Knychale. Później, w notatkach prowadzonych w areszcie śledczym tak opisał swój pierwszy napad: „Niepowodzenie muszę przypisać narzędziu i czapce, którą miała na głowie dziewczyna. Młotek okazał się za

lekki, a czapka osłabiła uderzenie. Dlatego od tego dnia zawsze chodziłem z siekierką. (...) Po tym pierwszym niepowodzeniu coraz częściej wychodziłem z domu i wałęsałem się po okolicy, szukając następnej ofiary”.

W taki sposób zadebiutował „Frankenstein”. Pseudonim nadała mu specjalna grupa operacyjna powołana do schwytania seryjnego mordercy kobiet. Joachima Knychałę, wzorowego męża i ojca, cenionego górnika i wyjątkowo przebiegłego zabójcę, aresztowano dopiero 15 maja 1982 roku. Przez osiem lat udawało mu się napadać, zabijać i tak starannie zacierać za sobą ślady, że pomimo zmobilizowania olbrzymich sił, milicja nie mogła wpaść na jego trop.

Joachim Knychała, zdjęcie milicyjne. Fot. arch. aut.





Wizja lokalna. Fot. arch. aut.

Pierwszy raz zamordował 19 września 1975 roku. Właśnie wracał do domu z drużby zmiany w kopalni „Radzionków”. Przy sobie miał ciesielską siekierkę. Wetknął ją za pazuchę. Kiedy przechodził koło piwiarni przy ul. Bytomskiej w Piekarach, podeszła do niego młoda kobieta. Była nią 23-letnia Stefania M. Kobieta była bosa i płakała. Prosiła, by Joachim Knychala odprowadził ją do domu w pobliżu kolonii fińskich domków, gdzie mieszkali jej rodzice. Idąc, rozmawiali. Stefania M. zwierzyła mu się, że mieszka u niejakiego Jana A. i właśnie ucieka od niego po kłótni. Frankenstein idąc u boku młodej kobiety sprawdzał, czy ktoś ich nie obserwuje.

Kiedy weszli na ul. Pod Kasztanami – zaatakował. Po pierwszym ciosie zadany obuchem siekiery, Stefania M. upadła na beton. Wówczas zadał jej kilka kolejnych ciosów. Gdy ciało znieruchomiało, przeciągnął je na drugą stronę ulicy w pobliżu krzaki i tam obnażył. Później uciekł.

Okazało się, że dopisało mu szczęście. Milicja nie zwróciła uwagi na sadystyczne i seksualne tło napadu. O zbrodnię oskarżono konkubenta Stefani M., Jana A., który tuż przed zabójstwem pokłócił się z nią, milicja miała więc motyw. Nikt nie powoływał jeszcze specjalnej grupy operacyjnej, nie szukał „Frankensteina”, nie próbował przy pomocy specjalistów kreślić sylwetki psychologicznej zbrodniarza. „Śmiałem się, że organa bezpieczeństwa tak łatwo dały wyprowadzić się w pole i to mnie

jeszcze bardziej rozzuchwaliło” – zanotował Knychala.

Kobieta, której zeznania uzyskała milicja, miała znakomitą pamięć wzrokową. Dzięki jej zeznaniom stworzono po raz pierwszy portret „Frankensteina”. Ekspert z KW MO w Katowicach wykonał manekin, który – jak się później okazało – był jota w jotę podobny do oryginału. Portrety pamięciowe otrzymali wszyscy funkcjonariusze, manekina obwożono po komendach i posterunkach. Wydawało się, że schwytanie przestępcy jest już tylko kwestią czasu. Knychala jednak doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że milicja już wie, jak on wygląda. Na dłuższy czas zaprzestał działalności, skupił się na odgrywaniu roli wzorowego męża i ojca. „Cały swój wolny czas poświęcam domowi i żonie. Gram rolę wzorowego męża i górnik. W moim otoczeniu nikt nie domyśla się prawdy o mnie. W listopadzie na świat przychodzi moja córka, której poświęcam wszystkie moje wolne chwile, cieszę się nią i kocham” – pisał w swoim pamiętniku.

Sprawca podczas wizji lokalnej bez najmniejszych zahamowań pokazywał dokładnie jak dokonywał kolejnych morderstw.

Kolejnego napadu dokonał w lutym 1978 roku. Ofiarą była 48-letnia Maria S., dozorkini. W lipcu 1978 próbował zabić w Chorzowie dwie dziewczynki, 15-letnią Barbarę K. i jej rówieśnicę Joannę E. Nastolatki zachowały się jednak przytomnie, rozbiegły się, zaczęły krzyczeć, w efekcie zwyrod-

nialec nie zdążył dokończyć swego planu. Po wielotygodniowym leczeniu dziewczynki wróciły do zdrowia.

W czerwcu 1979 roku znów zaatakował dziewczynki, tym razem 10-letnią Helenę S. i 11-letnią Katarzynę W. Zbierały w lesie jagody. Choć sposób działania był typowy dla Frankensteina – ciosy siekierą i obnażone zwłoki – milicja początkowo nie łączyła tej sprawy z poprzednimi. Trudno było uwierzyć, że zboczeniec seksualny zainteresował się dziećmi. Dopiero zeznania jednej z dziewczyn, którą dzięki wysiłkom lekarzy udało się odratować, pokazały, że chodzi o tę samą osobę.

Knychala przerwał działalność na półtora roku. 8 maja 1982 r. lekarz pogotowia ratunkowego w Piekarach zawiadomił milicję o nieszczęśliwym wypadku. Joachim Knychala siedł w towarzystwie swojej 17-letniej szwagierki Bogusławy L. do ogródka działkowego, aby nakarmić kury i króliki. Niósł kilof, niezbędny do pracy na działkach. Pośliznęli się, upadli, a kilof trafił dziewczynę w głowę. Po złożeniu wyjaśnień na milicji Knychala został puszczony do domu. Wkrótce jednak odbyło się zebranie funkcjonariuszy pracujących nad sprawą „Frankensteina”. Wszyscy byli zgodni, że wersja przedstawiona przez Knychalę była fałszywa. Stwierdzono też, że zwłoki najpierw zostały obnażone, później znów ubrane. 15 maja Knychalę aresztowano. Prędko przyznał się do zabójstwa szwagierki. Kiedy przedstawiono mu dowody, przyznał się też do kolejnych zabójstw, także do napadu na dziewczynki zbierające w lesie jagody.

Dlaczego zabijał? W areszcie Joachim Knychala zaczął spisywać swoje przeżycia. Nie pisał zresztą tylko o swoim życiu i zabójstwach, starał się także zajmować polityką, w ogóle był przekonany, że tworzy wartościowe dzieło literackie. W tych notatkach tak odpowiedział na postawione pytanie: „Dlaczego wszystkimi moimi ofiarami były kobiety? Dlaczego je pozbawiałem życia? Myślę, że na te pytania i wiele innych odpowiedzi mogą lekarze, ja jedynie mogę im pomóc. Nigdy nie atakowałem moich ofiar z chęci zysku, tylko napaści te miały podłoże seksualne. Nienawidziłem kobiet i chciałem pokazać całemu światu, że kobieta, jej ciało, to nic szczególnego, że można tę godność kobiecą zgnoić, zhańbić”.

Biegli psychiatrzy uznali, że Knychala jest w pełni poczytalny. Skazany został na śmierć. Wyrok wykonano.

Wszystko to co się składa na subregionalną tożsamość zagłębiowską, czyli tożsamość zbiorową i kulturową opartą na tradycji i regułach społecznych, po części było i jest współkreowane przez zwyczaje, wartości, przekonania mieszkańców okalających zagłębiowskie miasta wsi. Wśród nich znajdują się też zbiorowości lokalne wywodzące się z mikroregionu ziemi siewierskiej z położoną tu gminą Mierzęcice. Wyodrębnianie się tożsamości subregionalnej na tym przez wiele wieków pogranicznym obszarze między Śląskiem a Małopolską trwa nadal, stąd też wymaga eksploracji i opisu.

Na dawnej małopolskiej wsi CZ. 1

Jacek Malikowski

Najdawniejsze dzieje

Życie mieszkańca wsi na krańcach zachodnich Małopolski aż do połowy XIX w. toczyło się w obrębie tylko trzech grup społecznych: rodziny, sąsiedztwa i społeczności wioskowej. Zbiorowe życie w święta i niedziele koncentrowało się na placu przed kościołem, potem chłopci gromadzili się w karczmie. Wstępowali do niej zarówno kumowie, jadący od chrztu, wesele jadące od ślubu, uczestnicy styp pogrzebowych. W karczmach zaczęto też grać w karty w XIX w. Życie pełne było wierzeń o świecie ponadmysłowym, wypełnionym demonami i bóstwami. U podstaw kultu znajdował się animizm, który – używając określeń Wojciecha Burszty z dzieła *Kultura wsi średniowiecznej* – personifikował i diwinizował (z łac. *divinus* – boski) siły przyrody. Pokładano wiarę w życie pozagrobowe duszy. Próbuąc wyjaśnić tajemnice otaczającego świata zapelniano demonami i upiorami. Miejscem zbiorowego kultu były święte gaje, które uważano za siedziby bóstw. Stawiano w nich często drewniane posągi. W Toporowicach jest miejsce zwane do dziś Gajem. Tam kapłan-ofiarnik (żerzec) odprowadzał zbiorowe modlitwy, czynił wróżby i składał bogom ofiary – obiaty. Najczęściej w postaci cielęcia, pierwszego snopa zboża. Czyniono przy tym różne wróżby.

W późniejszym okresie, tj. XIV-XVI w. po stabilizacji osadnictwa, wzroście zamożności i rozwoju rzemiosła zagrody chłopskie nabrały solidniejszego wyglądu. Palenisko zostało zastąpione piecem, który zazwyczaj znajdował się w izbie i służył do gotowania oraz ogrzewania, zbudowany był z gliny lub kamieni na glinie. Izby o wymiarach 6x6 m i sien 3x6 m zamiatano, a ściany były często bielone wapnem. Chlew początkowo mieścił wszystkie zwierzęta domowe, dopiero w XVII w. zaczęto stawiać osobne pomieszczenia dla koni, bydła i drobiu.

W chwilach wolnych od pracy na polu

i w lesie rodziny chłopskie prowadziły zajęcia związane z obróbką surowców gospodarczych oraz wytwórczością żywności czy niezbędnych narzędzi i naczyń. Mielono w żarnach mąkę, tłuczono w stępie kaszę, czyszczono wełnę owczą, przędzono nici i tkano płótno, pleciono koszyki, strugano klepki z sosnowego drewna, składając z nich wiadra, konwie, skopki.

W karczmie położonej nieopodal kościoła targoszyckiego oraz w karczmie przeczyciej i toporowickiej, od XV/XVI w. małorolni chłopci (zagrodnicy) trudnili się szewstwem, krawiectwem, tkactwem, wypiekiem chleba. W kuźni mierzęcickiej i przeczyciej kowale wykuwali podkowy dla koni, lemiesz do pługów, okucia do rydli itd. Natomiast w młynie boguchwałowickim i przeczycim młynarze, a zarazem rolnicy-kmiecie melli biskupie zboże na mąkę.

Zabudowa wsi pańszczyźnianych – jak można znaleźć w dokumentach powizyta-

cyjnych Kapituły Krakowskiej – uległa pogorszeniu po niszczącym XVII-wiecznym potopie szwedzkim. W zabudowaniach gospodarczych przeważały dyle, słupy, chrust i cięta słoma z użyciem gliny. Wcześniejsze konstrukcje zrębowe stosowano tylko do chat, choć u biedniejszych chłopów bywały one z chrustu, a pod jednym dachem łączono część mieszkalną z gospodarczą. Nierzadkie było mieszkanie w półziemiankach. W niemal każdej okolicznej wsi XVII w. istniały opuszczone gospodarstwa chłopskie (Mierzęcice, Boguchwałowice, Przeczycze, Sadowie), których właściciele zbiegli. Areal wsi chłopskiej został ścieśniony wskutek przestrzennego rozwoju osiedla folwarcznego, złożonego z dwojaków i czworaków oraz dworu.

Pod zaborem rosyjskim

Znaczne zubożenie ludności chłopskiej zmuszało ją do samowystarczalnej gospodarki, także w zakresie wytwarzania odzieży. Stąd też aż po XIX w. utrzymały się samodziałowe sukmany, siermięgi, kożuchy, kaftany, czapki, kapelusze itd. Izby mieszkalne były najczęściej kurne. Okna w nich były małe, zabite cienkimi deszczułkami czy błonami. Budynki nie posiadały podpiwniczenia. We wnętrzu z powodu ich nieotwierania było zawsze mroczno. Od XIX w. zaczęto wstawiać w okna szyby, które rzadko otwierano, więc powstającego zaduchu pozbywano się przy pomocy dymu jałowcowego. W izbie chłopskiej mieszkała zazwyczaj cała rodzi-

Wnętrze chaty chłopskiej, z piecem i zapiekiem. Mal. J. Szudak



na, trzymano zapasy żywności i prowadzono wszelkie prace domowe. Jej podłogę w większości chat stanowiło nadal gliniane klepisko. Podłogi drewniane mieli tylko bogatsi chłopci. W większej izbie stawiano gliniany piec, nad paleniskiem umieszczano zapieczkę służącą za legowisko dla dzieci. Sufitem była powała z desek wsparta na belkach, nazywanych stragarzami. Zazwyczaj w środkowej belce wycinano krzyż, litery IHS oraz rok budowy domu. Strych był miejscem przechowania niepotrzebnych przedmiotów. Na wewnętrznych ścianach pojawiał się często tynk wapienny. Do sprzętów domowych należał – jak można znaleźć w spisie ruchomości pozostawionych przez zmarłego w 1895 r. 24-morgowego gospodarza z Zendka – stół z zydłami, ława, szafa, łóżko, kufer na odzież, kilka skrzyń, czasem komoda.

Domy z przełomu XIX/XX w. w większości były budowane z drewnianych bali, ciosanych toporami. Powstałe szpary zatykano mchem lub warkoczami ze słomy. Ze ściółki leśnej szykowano gaconkę na drewnianych tyczkach od ziemi po dach. Na środku izby stał żelazny piecyk, zwany morcinkiem. Za ścianą w oborze trzymano bydło i trzodę, z drugiego szczytu w stodole z oddzielnymi małymi wrotami trzymano siasiek i ladę do cięcia słomy na sieczkę dla hodowanych krów. Piwnice w formie ziemianek – jak zapamiętał Emilian Kocot opisując w książce *Brudzowice 1357 i Dziewki 1425 w historii i opowieści* – były miejscem składowania ziemniaków, buraków, marchwi i kapusty. W ścianie zsympowej pozostawiano mały otwór oraz wstawiano do niej małe drzwiczki.

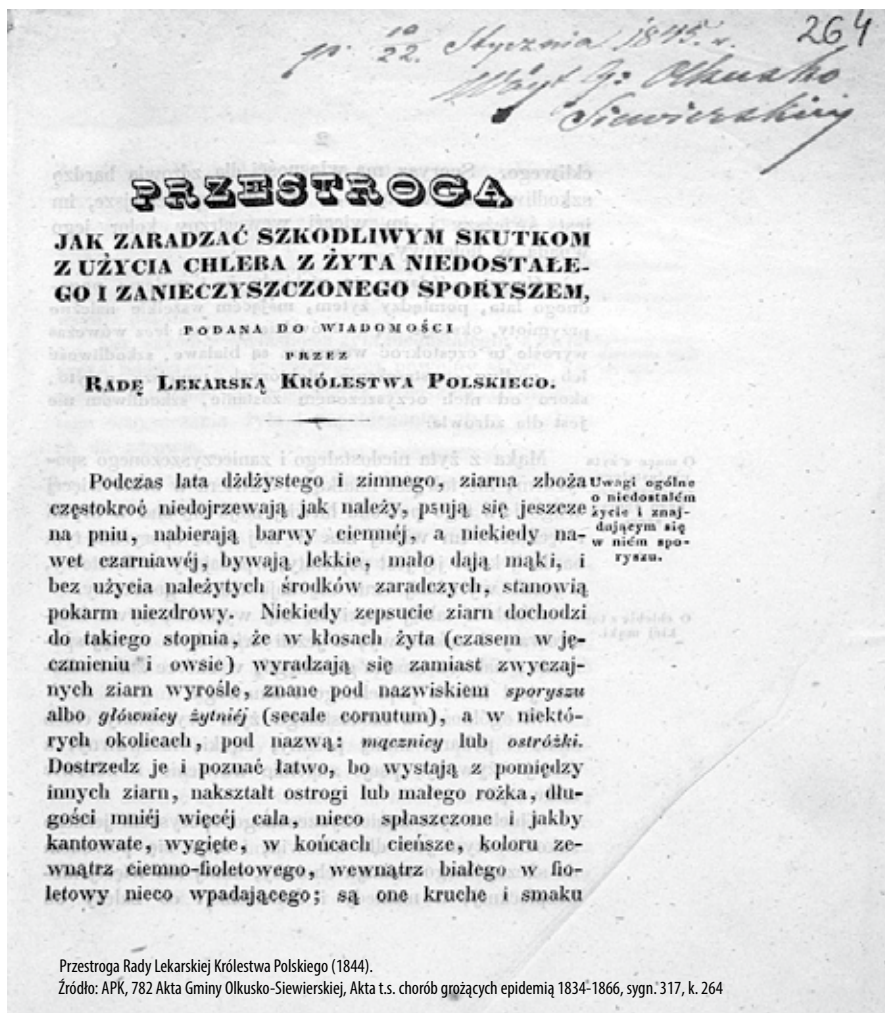
Stopniowo dachy kryte strzechą zastępowano pokryciem tekturowo-smółkowym. Po wybudowaniu przez inż. Łempickiego fabryki dachówki w Siewierzu (1900), na niektórych w okolicy pojawiać zaczęła się dachówka.

Łóżko wykonane z drewnianych desek przykryte było siennikiem, wypchanym słomą, zmienianą przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą. Pościel stanowił zwykły barłóg ze słomy, na którym spano przykrywając się wierzchnią odzieżą noszoną na co dzień. W porze letniej sypano na sianie w stodole. Tylko bogaci karczmarze, młynarze i sołtysi mieli pościelową bieliznę i pierzyny. Myto się, nabierając wody w usta i przyskajac na ręce, którymi pocierano twarz. Grzebień był

rzadko w użyciu, stąd też powszechnie na głowach występował kołtun. Niski stan higieny osobistej pociągał szerzenie się chorób skórnych i wewnętrznych. Co pewien czas wybuchały zarazy ospy, duru plamistego i dżumy.

Podstawą pożywienia były różne kasze i polewki oraz kapusta. Spożywano posiłki, sięgając łyżką do jednej miski. Zupy zawierające skwarki, słoninę czy smalec były szykowane w bogatszych rodzinach. Chleb pieczony z żyta, owsa, jęczmienia, gryki w sabatnioku był twardy, gorzki i niestrawny. Na przednówku często go brakowało. Pospolitym napojem była woda czerpana ze źródeł, potoków, rzek i studni, żur oraz źle wywarzone piwo. Od czasu wprowadzenia przymusu propinacyjnego pito coraz więcej gorzałki, uważanej za lekarstwo. Przeciętna długość życia ludności wiejskiej w XVIII w. – jak pisze Stefan Inglot w *Historii chłopów polskich* – wynosiła 27–28 lat. Przeciętny wzrost mężczyzny wynosił 164 cm, a kobiet 153 cm.

Podczas dżdżystych i chłodnych lat w XIX w. niedojrzałe ziarna żyta nabierały barwy ciemnej, dawały mało mąki. Często ich zepsucie wywoływało wyrażanie się sporyszu zwanego też głównicą żytnią (*secale cornutum*), przybierającego kształt ostrogi lub małego rożka. Chleb wypiekany z mąki zanieczyszczonej sporyszem powodował zatrucia i chorobę zwaną Raphania. Zjawisko było tak częste, że Rada Lekarska Królestwa Polskiego opublikowała w październiku 1844 r. broszurkę w formie przestrogi *Jak zaradzić szkodliwym skutkom z użycia chleba z żyta niedostatełego i zanieczyszczonego sporyszem*. W niej zalecała częste wietrzenie szop ze zgromadzonym ziarnem, osiewanie sporyszu na przetaku, staranne suszenie zboża przed zmieleniem itd. Broszurkę tę rozprowadzały między innymi parafie, często także księża zapoznawali z niektórymi zawartymi w niej zaleceniami, przytaczając fragmenty w wygłoszanych kazaniach.



Przestroga Rady Lekarskiej Królestwa Polskiego (1844).

Źródło: APK, 782 Akta Gminy Olkusz-Siewierskiej, Akta t.s. chorób groźących epidemią 1834-1866, sygn. 317, k. 264

Uniwersytet XXI wieku

Z Jego Magnificencją Rektorem Uniwersytetu Śląskiego, prof. dr hab. Wiesławem Banysiem rozmawiają Paweł Sarna i Michał Kubara.

Paweł Sarna: Niż demograficzny daje się we znaki wszystkim polskim uczelniom, prócz tego studenci bardziej pragmatycznie podchodzą do wyboru kierunku. Liczy się to, by mieć konkretne umiejętności zawodowe. To, w jakiś sposób zmienia system kształcenia, ale i ogranicza uczelnię. Czy Pan Rektor się z tym zgadza?

bardzo wyraźnie spadek liczby kandydatów na studia. Można zatem powiedzieć, że, generalnie, uczelniom publicznym nie grozi jakaś niezwykła zapaść. Oczywiście, liczba kandydatów na studia w poszczególnych uczelniach jest zróżnicowana i niektóre uczelnie publiczne mają ich więcej,



Jego Magnificencja Rektor Uniwersytetu Śląskiego, prof. dr hab. Wiesław Banys. Fot. UŚ

Jego Magnificencja Rektor: To wszystko jest niezwykle złożone. Prognozy mówią, że w roku 2020 będziemy mieć tyłu maturzystów, ile bezpłatnych miejsc w uczelniach publicznych. To znaczy, że pojawia się olbrzymi problem dla uczelni niepublicznych, których podstawowym źródłem funkcjonowania jest chesne i wpłaty studentów. Zjawisko to można zaobserwować już w skali wszystkich uczelni w naszym kraju. Kandydaci na studia, przy zmniejszającej się ich liczbie, mając do dyspozycji mniej więcej stałą liczbę miejsc bezpłatnych w uczelniach publicznych, wybierają racjonalnie studia niepłatne w tych uczelniach właśnie. Na studiach niestacjonarnych (zaocznych), we wszystkich uczelniach publicznych widać również w konsekwencji

na przykład Uniwersytet Warszawski czy Uniwersytet Jagielloński, inne mniej. Jeśli chodzi o Uniwersytet Śląski, poziom liczby kandydatów na studia stacjonarne jest ustabilizowany, chociaż widać, zgodnie z tą generalną tendencją, o której mówiliśmy przed chwilą, zmniejszenie liczby kandydatów na studia zaoczne.

P.S. Co w tej sytuacji uczelnie powinny robić?

Nie będę mówił tutaj o uczelniach niepublicznych, chociaż to jest też bardzo ważna kwestia. Jeśli chodzi o uczelnie publiczne, to muszą one przede wszystkim proponować programy studiów, które będą atrakcyjne i interesujące dla kandydatów na studia, a więc dywersyfikować ofertę dydaktyczną, treści dydaktyczne i ciągle podnosić jakość kształcenia. W naszym Uniwersytecie mamy

w tym względzie przeróżne nowe inicjatywy. Takim bardzo poszukiwanym przez kandydatów na studia i z wielkim sukcesem uruchomionym programem studiów są gry komputerowe. Ma on oficjalną nazwę „rozrywka interaktywna” i składa się, mówiąc hasłowo, z trzech części: informacyjnej, pisania scenariuszy i z oprawy graficznej. Realizowane są one w trzech miejscach naszego Uniwersytetu i rzeczywiście, liczba kandydatów na ten program studiów jest olbrzymia.

Trzeba także zdecydowanie spowodować, żeby studia miały więcej elementów praktycznych, a więc m.in. sprawić, żeby miejsce praktyk, staży w programach studiów było zdecydowanie ważniejsze, niż w tej chwili i aby praktyki były autentycznymi praktykami. W tej chwili, w skali kraju, rektorzy zrzeszeni w Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich rozmawiają z pracodawcami i przedsiębiorcami, z którymi będziemy podpisywać ramowe porozumienia w tej kwestii, tak z największymi konfederacjami pracodawców, jak również z indywidualnymi pracodawcami. Każda uczelnia stara się jakoś to robić, my natomiast chcielibyśmy, aby takie ramowe porozumienia każdej uczelni i każdemu pracodawcy dały odpowiednią platformę współpracy w tej materii. W tym kontekście warto przypomnieć, iż, pod koniec września w Katowicach, przy okazji II Europejskiego Kongresu Małych i Średnich Przedsiębiorstw na terenie Uniwersytetu Śląskiego będziemy także dyskutować z pracodawcami z całej Polski i przedsiębiorcami, w tym z Forum Młodych Regionalnej Izby Gospodarczej, co zrobić, by praktyki miały rzeczywiście większe znaczenie i znalazły odpowiednie miejsce w programach studiów. Do tego dochodzą jeszcze kwestie pojawiające się na styku absolwent – rynek pracy, a więc jeszcze większe zdynamizowanie funkcjonowania uczelnianych biur karier. Trzeba także doprowadzić do tego, by przedmioty związane z szeroko rozumianą przedsiębiorczością były jednym z elementów programów studiów. To zresztą może być realizowane także przy pomocy włączenia w realizację tych zadań inkubatorów akademickich, które zostały założone w wielu uczelniach naszego kraju, w tym w naszym Uniwersytecie, i dobrze funkcjonują. Wszystko to, by przedsiębiorczość nie była wyłącznie przedstawiana w sposób teoretyczny, ale żeby była również realizowana

w praktyce na przykład poprzez założenie firmy czy też praktyczne zorientowanie się, jak uruchamiać biznes w ogóle (pracodawcy bardzo często w swoich opiniach na temat umiejętności absolwentów uczelni wyższych podkreślają zasadniczo niewielką, albo wręcz żadną, wiedzę na ten temat). Chcemy także położyć zdecydowanie większy nacisk na naukę języków obcych, głównie języka angielskiego. Wreszcie, kiedy mówimy o tak zwanym uprządkowaniu studiów wyższych, musimy mieć w pamięci fakt, że mamy zróżnicowany system szkolnictwa wyższego. Stanowią go tak uczelnie, które kształcą przede wszystkim na potrzeby rynku pracy – inżynierów, lekarzy, ekonomistów, a więc np. politechniki, uczelnie medyczne, rolnicze i ekonomiczne, jak i uniwersytety, te w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, których misja jest inna. Niekoniecznie muszą one we wszystkich dyscyplinach, które są w nich uprawiane i nauczane, przygotowywać do natychmiastowego praktycznego zastosowania zdobytej wiedzy na potrzeby aktualnego rynku pracy, powinny natomiast przygotowywać absolwentów do jak najlepszego odnajdywania się w każdej sytuacji, poprzez m.in. kształtowanie i rozwijanie kreatywnego myślenia, umiejętności łamania schematów, rozwiązywania problemów, uczenia uczenia się, otwartości, pracy w grupie, umiejętnego łączenia tych umiejętności i wiedzy nabytej w celu tworzenia nowej wiedzy oraz nowych wartości, w tym także tworzenia nowych potrzeb nowego rynku pracy.

P.S. No właśnie, Panie Rektorze, tutaj chciałbym zapytać: co w takim razie z humanistyką? Bo jeśli się odwołać do tradycji uniwersyteckich to przecież zawsze była bardzo ważna. Czy obecna sytuacja nie będzie zmuszała humanistyki do pewnego odwrotu?

J.M. Byłoby fatalnie, gdyby sytuacja, w jakiej się znajdujemy, dużego braku wykwalifikowanych specjalistów w wielu praktycznych dziedzinach naszego życia, zmusiła humanistykę do odwrotu, a dokładniej gdyby kandydaci na studia i przyszli uczeni zaniechali badań i studiowania humanistyki. Tak, jak mówiliśmy o tym przed chwilą, uczelnie o profilu bardziej zawodowym powinny zdecydowanie przygotowywać absolwentów do rynku pracy, zaś uniwersytety, w tym tradycyjnym rozumieniu tego słowa (bo teraz jak wiemy wystarczy mieć odpowiednią liczbę uprawnień w określo-

nach dyscyplinach do nadawania stopnia doktora, żeby stać się np. uniwersytechem medycznym, ekonomicznym etc.) powinny, zwłaszcza w tej części humanistyczno-społecznej, przygotowywać swoich absolwentów w szczególności do tworzenia nowej wiedzy i nowych wartości. W konsekwencji, to nie jest bardzo często bezpośrednio przygotowanie do aktualnego rynku pracy, ale raczej przygotowywanie do twórczego życia w społeczeństwie. Uczelnie o różnej misji różnie powinny rozkładać akcenty w tym względzie w swojej edukacji przygotowującej absolwenta do przyszłego życia w społeczeństwie, bo też i taka właśnie jest ich zróżnicowana misja. Czasem mylimy radzenie sobie w życiu społecznym, dobre funkcjonowanie w społeczeństwie, z rynkiem pracy. A powinniśmy odróżniać te dwie kwestie: przygotowanie do rynku pracy, rozumiane jako możliwość znalezienia pracy bezpośrednio po studiach w jakimś biznesie czy przedsiębiorstwie w specjalności, którą się studiowało, od dobrego funkcjonowania w życiu społecznym. To pierwsze wymaga bardziej wiedzy specjalistycznej, drugie wymaga bardziej przygotowania ogólnohumanistycznego. Przypomnijmy przy tej okazji, że dane statystyczne wskazują, iż posiadanie wyższego wykształcenia zdecydowanie zwiększa szanse na znalezienie pracy i odsetek osób zatrudnionych w tej grupie wynosi w Polsce ponad 82% (przy najwyższym wskaźniku – 88% w Szwecji), przy porównywalnych systemach szkolnictwa wyższego), a w przypadku osób posiadających tylko wykształcenie średnie 63% (dla porównania w Szwecji: prawie 81%). Zauważmy także, iż problem niezatrudnialności absolwentów szkół wyższych dotyczy przede wszystkim tych absolwentów, którzy dopiero co ukończyli studia wyższe. W wieku 15 – 25 lat, bez pracy w Polsce pozostaje prawie 26% młodzieży (w Szwecji, dla porównania, 23% a w Hiszpanii 46,5%!). Przypomnijmy, że najwyższy odsetek młodzieży pozostającej bez pracy w Polsce był w 2002 r., gdy „boom edukacyjny” był w rozkwicie, bo sięgał aż 42%! Wniosek z tego wydaje się oczywisty, przy pełnej świadomości wielkiej złożoności i wielorakości czynników wpływających na tę sytuację, iż proste korelowanie niezatrudnialności absolwentów ze „złym systemem szkolnictwa wyższego w Polsce” jest zdecydowanie nieuzasadnione. Znaczy to najwyraźniej, że problemy

ze znalezieniem pracy po studiach wyższych nie leżą wyłącznie po stronie „złego systemu szkolnictwa wyższego w Polsce” i „jego niedostosowania do potrzeb rynku pracy”. W tej ostatniej kwestii można bowiem także powiedzieć – jak to widać ze statystyk – że to także właśnie aktualny rynek pracy, gospodarka i biznes nie są do końca przygotowane do „wchłonięcia” aktualnych absolwentów szkół wyższych i że oba te sektory muszą jeszcze bardziej się rozwijać i współpracować na rzecz lepszego rozwoju naszego kraju, bo i tu i tam mamy wiele rzeczy do poprawienia. Humanistyka zatem w żaden sposób nie powinna być w odwrocie w sytuacji, w jakiej jesteśmy, bez wątpienia natomiast musimy dbać o jakość badań i edukacji humanistycznej, ich interdyscyplinarność, szerokie i otwarte spojrzenie na świat, analizę holistyczną, a nie wycinkową zjawisk, kształtowanie postaw humanistycznych wobec życia etc. Z drugiej strony, uprządkowanie edukacji humanistycznej, pokazywanie możliwych jej zastosowań jest rzeczą ze wszech miar potrzebną. Na przykład coaching filozoficzny, który jest proponowany na niektórych uczelniach, jest specjalnością, która pozwala pokazać, jak filozof może dobrze funkcjonować w życiu jako doradca. Zatem, jeśli już mówimy o przygotowaniu do życia społecznego, musimy wziąć pod uwagę to, że bardzo często o sukcesie decydują wymagania inne niż tylko wiedza specjalistyczna i bardziej potrzebne są tak zwane umiejętności „miękkie”. Na te umiejętności kładziemy zresztą nacisk w edukacji we wszystkich uczelniach: na rozwiązywanie problemów, na umiejętność pracy w grupie, analizy i syntezy, a więc na takie umiejętności, które, zdarza się, iż w nacisku na wiedzę specjalistyczną – bezpośrednio użyteczną, gdzieś zanikają. Innymi słowy, w uniwersytetach, które są uczelniami szczególnego typu, powinniśmy szukać odpowiedniego balansu między wiedzą specjalistyczną a wiedzą ogólną i umiejętnościami „miękkimi” oraz kompetencjami społecznymi. We wszystkich analizach dotyczących nowego zorientowania na studenta w programach studiów, wprowadzanych w uczelniach polskich pod nazwą Krajowych Ram Kwalifikacji, owo nastawienie na kompetencje ogólne, umiejętności „miękkie”, jest bardzo duże. Chodzi o to, by nie tylko wiedza specjalistyczna była prezentowana, ale także i umiejętności

negocjacyjne, prezentacyjne, w tym auto-prezentacyjne, rozwiązywania problemów etc. Tym bardziej że powinniśmy zdecydowanie przygotować naszych absolwentów do ciągłego uczenia się, uczenia się przez całe życie, stąd nacisk, jaki wszyscy kładziemy, na kształcenie ustawiczne. Wiedza specjalistyczna, która teraz jest aktualna, stanie się za kilka lat często w dużym stopniu zdezaktualizowana. Chcielibyśmy zatem, aby przy tej całej dyskusji na temat rynku pracy nie wylać przysłowiowego dziecka z kąpielą w przypadku nauk humanistycznych: by nagle nie wydawało się, że humaniści są niepotrzebni. Humanisci są bardzo potrzebni. To przecież oni bardzo często z dobrym skutkiem kierują urzędami, w tym tymi najwyższymi, są świetnymi ekspertami, liderami i przywódcami i to oni przecież, wraz z artystami, dodają to „coś” do naszego codziennego życia.

P.S. Jednak jest też problem z tym, jak wyjaśnić przyszłym studentom, że na przykład polonistyka to nie jest znów taki najgorszy wybór. Mówię tutaj o marzeniach, które studenci czasem porzucają ze strachu przed późniejszym brakiem zatrudnienia. Słyszą, że są kierunki zamawiane, że powinni wybierać takie, a nie inne studia i jednak czasem rezygnują z marzeń.

J.M. Problem generalnie polega na tym, że patrząc na rozwój kraju i potrzeby rynku pracy obserwowaliśmy w Polsce wyraźny przechyl związany z liczbą studentów kierunków humanistycznych, a zdecydowanie mniejszy, jeśli chodzi o studentów studiów inżynierskich. W konsekwencji, kierunki zamawiane są absolutnie niezbędnym elementem równoważenia aktualnego popytu i podaży. Ponieważ mamy za mało inżynierów bądź też specjalistów w innych dziedzinach uznanych za aktualnie wymagające większej ich liczby, trzeba postarać się o dofinansowanie tego typu studiów poprzez m.in. dodatkowe stypendia dla studentów tych kierunków. W konsekwencji to, że tak wielu ludzi idzie na kierunki humanistyczne jest związane z wieloma czynnikami, z punktu widzenia natomiast ministerstwa mającego na względzie aktualne potrzeby gospodarki, działania dotyczące kierunków zamawianych są absolutnie niezbędne. Liczba absolwentów kierunków matematyczno-przyrodniczych jest zdecydowanie za niska, jak na potrzeby naszego kraju. To jest zatem wciąż poszukiwanie rozsądnego balansu. A najważniejsze w tym wszystkim jest zapewnienie od-

powiedniej jakości edukacji i dyplomów, tak by tylko ci, którzy spełniają wymagania stawiane absolwentom uczelni wyższych, dostawali dyplom ich ukończenia. Mówię o tym w kontekście wymagań, jakie stawiane są uczelniom, które wygrały konkursy na prowadzenie kierunków zamawianych, by osiągnęły, bardzo często niezwykle wyśrubowane, wskaźniki co do liczby ich absolwentów. W żaden sposób nie powinniśmy zapominać, że to nie dyplom zapewni dobrą jakość pracy absolwentów, ale ich rzeczywiste umiejętności. Proste poszukiwanie przede wszystkim osiągania wskaźników ilościowych, a nie jakościowych, może stać się naszym wielkim problemem i krachem dobrej idei. Jeśli natomiast chodzi o odpowiedź na pytanie: co można byłoby zaoferować także przyszłym polonistom, odpowiedziałbym dokładnie to, co przed chwilą: poloniści, podobnie jak i filologowie generalnie, nie tylko neofilologowie, ale także filologowie klasyczni czy kulturoznawcy mają fantastyczne możliwości rozwijania się w życiu społecznym. To nasi m.in. poloniści bardzo często są ekspertami w różnego typu ciałach przedstawicielskich, takich jak: Urząd Marszałkowski czy Sejm. Trzeba mieć, jak już mówiliśmy, poza wiedzą specjalistyczną umiejętności miękkie i stąd moja prośba do kandydatów na studia: nie rezygnujcie ze swojej pasji, bo student, który studiuje bez pasji, bez ognia w oczach i sercu, będzie także wykonywał swoją pracę bez pasji, bez ognia i zaangażowania.

M.K. Chciałem zapytać też o kwestię istnienia dwóch modeli: modelu bardziej praktycznego – nazwijmy go modelem amerykańskim – nakierowanego bardziej na konkretne umiejętności i drugiego modelu, według koncepcji którego uniwersytet ma być placówką naukowo-badawczą, skupioną na teorii. Ze słów Pana Rektora wnoszę, że da się te dwa modele pogodzić. Zapytałbym jednak, jakie, w obliczu tych możliwości, które Pan Rektor nam przedstawił, jest miejsce i funkcja Uniwersytetu Śląskiego na Śląsku i Zagłębiu czy w ogóle w naszym województwie. Co może zrobić UŚ w kierunku poprawy naszej sytuacji?

J.M. Chciałbym jeszcze wrócić na sekundę do punktu pierwszego, dotyczącego dwóch modeli: amerykańskiego i europejskiego. Tych modeli jest zresztą więcej. Powiedziałbym tak: dawno minęły czasy, kiedy uczelnie wyższe, zwłaszcza uniwersytety były traktowane jako wieże z kości słoniowej. W strategii rozwoju Uniwersytetu Ślą-

skiego do roku 2020, jednym z elementów, na który kładziemy olbrzymi nacisk, jest nowa społeczna odpowiedzialność uniwersytetu, m.in. współpraca z szeroko rozumianym otoczeniem, w tym otoczeniem biznesowym i gospodarczym, a więc transfer technologii i komercjalizacja naszych wyników badań, praktyki i staże studenckie, a także wspólne programy studiów, które będziemy prowadzić z pracodawcami na ich potrzeby i przy ich udziale. W konsekwencji, uniwersytety współczesne i te, które mają przetrwać jeszcze całe wieki, muszą zmieniać odpowiednio swoje oblicze, szukając odpowiedniego balansu między tradycją a nowoczesnością. My to robimy, a tak zwany model amerykański uniwersytetu praktycznego nie wyklucza wcale badań humanistycznych: znamy przecież wielu fantastycznych uczonych amerykańskich w zakresie humanistyki. Z kolei w Europie mamy też genialnych uczonych, którzy zajmują się dziedzinami bardziej praktycznymi. To wciąż jest szukanie owego balansu między tradycją a nowoczesnością, naukami podstawowymi a naukami stosowanymi etc. Natomiast to, co jest bez wątpienia nowe, to nacisk na uświadomienie sobie przez nas wszystkich, że ta nowa społeczna odpowiedzialność uczelni wyższych jest jednym z zasadniczych trzech elementów, obok nauki i edukacji, funkcjonowania nowoczesnego uniwersytetu. Co Uniwersytet Śląski może zaoferować regionowi, naszemu województwu? Przede wszystkim, swoją myśl. Uniwersytet zatrudnia ponad trzy i pół tysiąca pracowników, z czego ponad dwa tysiące uczonych, jesteśmy swoją drogą jednym z największych pracodawców w naszym regionie. Mamy świetnych ludzi, którzy pracują zarówno w zakresie nauk podstawowych, jak i nauk stosowanych, mamy prawie dwieście programów studiów. Świadomie mówię „programów studiów”, a nie „kierunków” i „specjalności”, bo dla kandydatów na studia nie jest ważne jak w nomenklaturze fachowej kwalifikowany jest dany program studiów, który ich interesuje. Mamy olbrzymią współpracę międzynarodową: to prawie dwieście umów o współpracy bilateralnej z różnymi ośrodkami w całym świecie. Mamy ponad czterysta umów pozwalających naszym studentom wyjeżdżać za granicę w ramach programów typu Erasmus oraz oczywiście przyjmować u nas zagranicznych studentów. Jednocześnie bardzo intensywnie pra-

cujemy nad tym, by przygotowywać kadre i dla naszego regionu, i całej Polski. Dobrym tego przykładem jest np. fizyka medyczna, gdzie przygotowujemy kadry dla różnych instytucji medycznych, które wymagają znajomości supernowoczesnego sprzętu, takiego jak: nowoczesne tomografy czy też inne specjalistyczne urządzenia medyczne.

M.K. Wiemy, że Pan Rektor jest przewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Chciałbym zapytać, jak Pan Rektor widzi naszą uczelnię na tle innych polskich uczelni. Jaka jest w ogóle promocja Uniwersytetu Śląskiego: czy uważa pan, iż jest ona zadowalająca? Jak Pan Rektor ocenia promocję naszej uczelni w Polsce i w Europie? Czy w tej kwestii możemy coś jeszcze zmienić?

J.M. Zasada pierwsza jest taka, że nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej i nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej. Wybór rektora Uniwersytetu Śląskiego na przewodniczącego Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP) jest jednym z przejawów zaufania do Uniwersytetu Śląskiego, a przypomnijmy, że KRASP zrzesza rektorów wszystkich uczelni publicznych w naszym kraju, czyli prawie setkę, do tego dochodzi jedenastu rektorów zrzeszonych w Konferencji Rektorów Uczelni Niepublicznych, oraz rektorów skupionych w stowarzyszonej z KRASP Konferencji Rektorów Publicznych Szkół Zawodowych – w sumie prawie 150 rektorów. KRASP jest konferencją umocowaną ustawowo i ma na celu nakreślanie kierunków rozwoju szkolnictwa wyższego, edukacji i nauki w naszym kraju. Jest to zatem najbardziej reprezentatywne ciało rektorów polskich. Można sądzić, że fakt, iż mam zaszczyt i jednocześnie wielki obowiązek przewodniczenia tej Konferencji oznacza, że pozycja Uniwersytetu Śląskiego jest bardzo dobra, a zdanie to podzielają także inni rektorzy oraz wszyscy nasi przyjaciele i sympatycy. Natomiast, gdyby spojrzeć na rankingi, np. te pokazujące widoczność Uniwersytetu Śląskiego we wszystkich mediach w naszym kraju byliśmy na drugiej pozycji razem z Uniwersytetem Jagiellońskim, a za Uniwersytetem Warszawskim, pod względem liczby wzmianek o naszej uczelni we wszystkich mediach i było to, o ile dobrze pamiętam, około 20 tysięcy wzmianek na rok. To pokazuje, ile spraw interesujących dla mediów dzieje się w naszym uniwersytecie. Warto też wspomnieć inny ranking, Webometrics, który pokazu-

je widzialność uczelni w Internecie, a która jest w tej chwili niezwykle ważnym elementem funkcjonowania uczelni wyższych. Ranking ten, realizowany przez kolegów z Hiszpanii, pokazuje jak bardzo poszczególne uczelnie wykorzystują w edukacji i nauce nowe technologie, a zwłaszcza informacje przekazywane w sieci. Nasz uniwersytet jest tam w tej chwili pod koniec pierwszej pięćsetki, na wszystkie analizowane 22 tys. uczelni na całym świecie, co może nie byłoby wielkim osiągnięciem, gdyby nie to, że w ciągu ostatniego roku UŚ awansował w tym rankingu o 361 miejsc. Jesteśmy pierwszą uczelnią w Polsce, która ma swój kanał na YouTube.edu. Zdecydowanie kładziemy też nacisk na kształcenie e-learningowe i elektroniczne repozytoria materiałów dydaktycznych. Jesteśmy też chyba pierwszą uczelnią, która doprowadziła do tego, że wszystkie nasze wydawnictwa – a mamy ich sporo – są wydawane w postaci elektronicznej i widoczne w sieci. To wszystko powoduje, że jesteśmy uczelnią bardzo rozpoznawalną.

M.K. Wiemy, iż Pan Rektor pochodzi z Olkusza, a my jako Związek Zagłębiowski stawiamy sobie za cel przypominanie mieszkańcom Zagłębia o ich tożsamości. Chciałem zapytać, jak ocenia Pan kwestię tożsamości zagłębiowskiej i jej zakorzenienia w naszym regionie. Czy czuje się Pan Rektor związany z Zagłębiem?

J.M. Olkusz to już Małopolska...

M.K. Według definicji Zagłębia, przedstawionej choćby przez Mariana Kantora-Mirskiego, który był pierwszym badaczem naszego regionu, Zagłębie jest właściwie zachodnią Małopolską...

J.M. Tak. Przyjechałem do Sosnowca w 1974 roku, po skończeniu studiów w Uniwersytecie Jagiellońskim i od tego czasu mieszkam w Sosnowcu na osiedlu Piastów, na obrzeżach zachodnich miasta Sosnowiec. Muszę powiedzieć, że przez ten czas wrosłem w Zagłębie w sposób oczywisty, jakkolwiek w każdej sytuacji pracownicy uniwersytetu mają przede wszystkim na celu budowanie tożsamości uczonych, tożsamości naukowej, w konsekwencji przekraczając granice tożsamości poszczególnych regionów czy ich części. To, co jest najważniejsze, to budowanie wspólnej pracy, wspólnej działalności i wiemy, że w tej chwili Europa jest nie tyle Europą państw, ile bardziej Europą regionów, a przynajmniej do tego zmierza. Bez wątpienia wspólne łączenie się regionów, tak jak u nas połączone w jednym województwie Zagłębie i Śląsk, powinno sprzyjać współpra-

cy przy wspólnej wizji rozwoju całego województwa, która powinna obie części regionu uwzględniać. Natomiast miasto Sosnowiec jest w tej chwili moim miastem.

P.S. Wyczuwam jakiś sentyment związany z Zagłębiem...

J.M. Oczywiście, on jest, jakkolwiek muszę powiedzieć, że nie mam za bardzo czasu nawet wychodzić na miasto, moja droga bowiem jest krótka: Katowice – rektorat, Grota-Roweckiego, Instytut i właściwie dawno nie miałem czasu, by po prostu przejść się po Sosnowcu. Widzę jednak, jak wielkie są zmiany w centrum miasta. Władze samorządowe Sosnowca bardzo dużo zrobiły, aby wizerunek miasta się odmienił. Sama decyzja np. o współbudowaniu razem z Uniwersytetem przy bardzo dużym udziale finansowym miasta nowej siedziby Instytutów Neofilologicznych Wydziału Filologicznego spowodowała, że przy ulicy Grota-Roweckiego, u wylotu „Ślimaka”, jest rzeczywiście fantastyczny budynek, jeden z najnowocześniejszych budynków neofilologii w całej Polsce. Tak więc myślę, że tutaj w Sosnowcu mamy się czym szczycić. To jest wizytówka Zagłębia właśnie, już pomijając to, że mamy w Sosnowcu trzy wydziały Uniwersytetu Śląskiego. I nie jest to filia, jak czasami czytam na portalach internetowych. Po prostu Uniwersytet Śląski z Wydziałem Nauk o Ziemi, Wydziałem Informatyki i Nauk o Materiałach oraz częścią neofilologiczną Wydziału Filologicznego. Nasze trzy wydziały umiejscowione w Sosnowcu tworzą bez wątpienia świetny fundament nauki i kultury. Z tego punktu widzenia chcemy, aby oba te regiony naszego województwa rozwijały się jak najlepiej. Wspomagamy wszystkich w ich działaniach zmierzających w tym kierunku.

P.S. Na koniec, krótkie pytanie. Studenci mają wakacje, a czy Pan Rektor także się gdzieś wybiera, czy też już jest po wakacyjnym wypoczynku?

J.M. Jeszcze wakacji nie miałem, mam nadzieję, że w tę niedzielę najbliższą uda mi się wyjechać na jakieś dwa tygodnie, pojadę w Polskę, pewnie gdzieś tutaj na południu – jeszcze nie miałem czasu, by się zastanowić gdzie...

P.S. W takim razie, od Redakcji życzymy Panu Rektorowi i studentom Uniwersytetu Śląskiego udanego wypoczynku...

J.M. Dziękuję bardzo, wszystkiego najlepszego !

Oczekiwania kierowane pod adresem edukacji XXI wieku

Jolanta Dąbrowska-Macha

Polskie szkolnictwo wyższe ma długą i zaszczytną historię, która rozpoczyna się wraz z założeniem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie w 1364 r. Współczesność ostatnich dziesięcioleci – tak w Polsce, jak i Europie – powoduje jednak, że zasięg i charakter szkolnictwa wyższego ulega znaczącym zmianom.

Jeszcze niedawno na stosunkowo niewielu uniwersytetach kształciło się około 5% młodych ludzi należących do odpowiedniej grupy wiekowej, obecnie w Polsce istnieje ponad 450 uczelni wyższych, zarejestrowanych w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Kształci się na nich około 50% osób stosownej grupy wiekowej, przy czym ogromna większość studentów kończy studia, a liczba studentów niekończących to mniej niż 10%. Sektor uczelni wyższych to dziś bardzo zróżnicowane instytucje, zarówno publiczne (zwykle większe, 131 uczelni), jak i niepubliczne (zwykle o mniejszym zasięgu, 325 uczelni). Różnice pomiędzy uczelniami wyższymi dotyczą ich charakteru, ale także struktur organizacyjnych, misji, kluczowych celów, zapewniania niezbędnych środków i materiałów oraz zatrudniania pracowników. W niektórych instytucjach rektorat pełni całkowitą kontrolę nad uczelnią, aktywnie koordynując uczelnię jako całość, podczas gdy w innych pewne wydziały (czasami większe od niektórych instytucji) są praktycznie niezależne pod względem krótkoterminowego planowania.

Obecnie trudno określić, czy polskie szkolnictwo wyższe zmienia się we właściwym kierunku. Zdaniem rządzących zmiany (ustawowe i rynkowe) prowadzą polskie uczelnie ku górze europejskich rankingów, a zdaniem opozycji i pokaźnej liczby autorytetów jest na odwrót. Na przykład Pracodawcy RP – największa polska organizacja zrzeszająca przedsiębiorców – ocenia jakość polskiego szkolnictwa wyższego na „trzy z plusem”. Jak wynika z debaty „Jak kształcić liderów rynku pracy – oczekiwania pracodawców wobec szkół wyższych” (która odbyła się w siedzibie firmy doradczej Deloitte w 2011 r.) stworzenie nowoczesnych programów kształcących pracowników o najbardziej oczekiwanych umiejętnościach wciąż leży w sferze marzeń.

Jednym z podstawowych problemów jest zbyt mała wielkość kadr. Liczba nauczycieli akademickich nie rośnie, w ciągu ostatnich 20 lat wręcz spadła. Według założeń do nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym z 2011 r. na uczelniach pracuje ok. 100 tys. nauczycieli akademickich. Badanie szczegółowe z 2010 roku wykazało jednak, że owe 100 tys. etatów zajmuje tylko 58 tys. osób, co należy uznać za prawdziwą liczbę nauczycieli akademickich. Natomiast 20 lat temu było ich 64 tys. W 1990 r. istniało około 100 wyższych uczelni – dzisiaj jest ich prawie 460. Przybyło 1,5 mln studentów.

Te dane świadczą o tym, że wieloletowość stała się zjawiskiem powszechnym i nie dotyczy tylko szkół niepublicznych (!). Dziś na jednego nauczyciela akademickiego przypada prawie 33 studentów. W 1991 r. – niespełna siedmiu. W dobrych uczelniach ten wskaźnik nie przekracza kilkunastu. Na przykład na Uniwersytecie Karola w czeskiej Pradze wynosi 13, w Princeton poniżej 7, w University of Chicago – 7,5. Wydaje się, iż głównym problemem w tym obszarze jest fakt, iż polscy nauczyciele akademicy zarabiają za mało. Równocześnie nie sposób ustalić, ile naprawdę zarabia profesor w Polsce, choć nauczyciele zatrudnieni w uczelniach państwowych są utrzymywani z publicznych pieniędzy. Padają kwoty tak rozbieżne, że trudno je porównywać.

Równocześnie od lat pokutuje półprawda, iż uczelnie publiczne są lepsze od niepublicznych. „Są dobre i złe uczelnie wśród publicznych i wśród prywatnych” – przyznała

w 2010 r. minister Barbara Kudrycka, która jednak nie potrafiła doprowadzić do przyjęcia jednorodnych zasad funkcjonowania obu sektorów. Najlepsze uczelnie prywatne (jest ich najwyżej kilkanaście) to te, których założyciele odeszli od publicznej uczelni matki, a przez lata wytrwale pracowali na sukces. Uczelnie takie wyrobiły sobie markę, mają pomysły, w jaki sposób – mimo niżu – przyciągnąć studentów. One najmniej obawiają się zmian demograficznych, które już w tym roku dotkną mocno szkolnictwo wyższe. Nie jest też prawdą, że dzięki bezpłatnym uczelniom uboga młodzież może studiować. Na bezpłatne studia dostają się bowiem ci, którzy najlepiej zdali maturę. Czyli młodzież z dużych miast, najbardziej obyta, taka, której rodziców stać na dodatkowe zajęcia i korepetycje. Na przykład absolwenci sosnowieckiego liceum im. Staszica tylko wyjątkowo trafiają na płatne studia.

Gdyby wszystkie szkoły, niezależnie od sektora, mogły na jednakowych prawach uzyskiwać dostęp do publicznych pieniędzy – czy to konkurując programami, czy jakością kadry, czy warunkami kształcenia – być może obudziłyby je to do pracy. W obu istniejących strategiach rozwoju szkolnictwa wyższego z 2009 r. – eksperckiej (kategoryzacja szkół), i rektorskiej (konwergencja sektorów) znajdują się wytyczne do promowania uczelni najlepszych. Ale ten zapis jest często martwy. Jest oczywiste, że wiele uczelni publicznych dawno przestałoby istnieć, gdyby nie publiczne finansowe „kroplówki”.

Dr. Michała Kaczmarczyka, prorektora Wyższej Szkoły Humanitas w Sosnowcu pytamy o ofertę edukacyjną w nowym roku akademickim:

W tym roku w ofercie Wyższej Szkoły Humanitas pojawił się nowy, prestiżowy kierunek – prawo. Studia na tym kierunku w trybie niestacjonarnym trwają 3,5 roku (w innych uczelniach kształcenie obejmuje 5 lat). Oferta WSH wynika z nowatorskiej organizacji roku akademickiego, który podzielony został na 3, a nie na 2 semestry. Dzięki temu, kosztem dwóch miesięcy wakacji, studenci niestacjonarni mogą zrealizować w ciągu roku program z 3 semestrów studiów. Pozwala to na skrócenie nauki do 3,5 roku, bez wpływu na jakość kształ-



cenia oraz poziom i zakres przekazywanej wiedzy merytorycznej. Kierunek prawo jest także prowadzony w trybie stacjonarnym – w tym przypadku student realizuje pro-

gram w sposób standardowy, przez pięć lat. Nowością w ofercie naszej uczelni jest także prowadzony od ubiegłego roku kierunek bezpieczeństwo narodowe, adresowany do osób, które chciałyby w przyszłości pracować w służbach mundurowych.

Na rynku międzynarodowym wartość polskich uczelni określają coroczne rankingi z których według E&Y trzy najważniejsze w Europie to niemiecki CHE Ranking, hiszpański Webometrics oraz francuski Professional Ranking of World Universities. I choć posługują się one różnymi kryteriami, polskie szkoły wyższe wypadają w nich źle albo bardzo źle. A najczęściej po prostu w ogóle ich nie ma – np. w chińskim AWRU TOP 500 z 2009 r. nie ma ani jednej polskiej uczelni wyższej. Ani jedna polska uczelnia nie znajduje się w pierwszej dwusetce najlepszych uczelni na świecie. W 2009 r. nie było polskiej uczelni w TOP 50 rankingów dziedzinowych według zestawienia Ernst&Young. Wielką wagę szkolnictwa wyższego we współczesnym społeczeństwie – społeczeństwie wiedzy – podkreśla się na szczeblu organów UE, ale i jej państw członkowskich. Od sektora oczekuje się znacznego wkładu w realizację celów lizbońskich: rozwoju gospodarczego, dobrobytu i spójności społecznej. Szeroko opisuje się te oczekiwania w programie „Edukacja i szkolenia 2010”, gdzie podkreślono znaczenie modernizacji uczelni i ich reform opartych o ramy Procesu Bolońskiego, który prezentuje wizję Europejskiego Obszaru Szkolnictwa Wyższego. Już do tej pory Proces Boloński doprowadził do wielu rozległych i radykalnych zmian w szkolnictwie wyższym zarówno w Europie, jak i w Polsce. Mimo iż różne kraje znajdują się na różnych etapach jego wdrażania, to wpływ Procesu Bolońskiego uwidocznił się szczególnie we wprowadzeniu nowych form programów studiów, a formalnie np. we wprowadzeniu trzech stopni studiów, które niezależnie od różnic geograficznych są względnie porównywalne czy to dyscyplinami, czy kierunkami studiów.

Istotnym elementem w ocenie jakości szkolnictwa wyższego są w Europie – „Europejskie standardy i wytyczne w zakresie zapewniania jakości dla szkolnictwa wyższego”. Określają one zasady, które reprezentanci społeczności akademickich Europy zgodnie uznają za kluczowe dla jakości kształcenia wyższego. Do zasad tych należą wymogi: wewnętrznego zapewniania jakości przez uczelnie wyższe, zapewniania jakości uczelni wyższych jako stanowiącego zadanie wewnętrznych organów i konieczność zapewniania jakości tych zewnętrznych organów, które odpowiadają za zapewnianie jakości uczelni wyższych. Dokumentem realizacji

tych standardów są i mogą być świadectwa jakości wyższych uczelni. Niestety stosowanie takich świadectw nie jest przyjęte w polskim szkolnictwie wyższym i z trudem kieruje sobie drogę ku bytowi na rynku oceny wyższych uczelni w Polsce.

Jednym z ciekawszych istniejących dokumentów na temat rozwoju wyższych uczelni w Polsce jest raport „Strategia rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce do 2020 roku” firmy Ernst&Young. W dokumencie przedstawiono alternatywny pogląd na spodziewane i oczekiwane kierunki rozwoju polskich wyższych uczelni. Analitycy E&Y proponują kategoryzację instytucji szkolnictwa wyższego w Polsce, co byłoby zgodne z szeregiem inicjatyw europejskich i odzwierciedlało wzrastające w polskim społeczeństwie oczekiwania wobec szkolnictwa wyższego. Najistotniejszą dla tej propozycji jest kwestia uzyskania przejrzystości (transparentności) usług edukacji świadczonych przez daną organizację, ale i także w samej organizacji. W raporcie Ernst&Young precyzyjnie omówiono też zagadnienia dotyczące zapewnienia jakości procesu kształcenia.

W przeciwieństwie do innych raportów w tej sprawie (przede wszystkim KRASP pt. „Strategia rozwoju szkolnictwa wyższego: 2010 – 2020”, który omawia wkład szkolnictwa wyższego w zaspokajanie potrzeb społecznych i skupia się na rozwoju wewnętrznej kultury jakości na uczelniach), raport Ernst&Young w większym stopniu kładzie nacisk się na oczekiwania wobec szkolnictwa wyższego w zakresie zapewniania i wspierania rozwoju gospodarczego jako kluczowego czynnika postępu społecznego. Te tezy dobrze też dokumentują działania organizacji polskich pracodawców. 42% pracodawców (badanie Pentor RI) zgłasza bowiem problemy

ze znalezieniem absolwentów mających odpowiednie kwalifikacje. Kierunkami o strategicznym znaczeniu dla pracodawców są przede wszystkim kierunki techniczne i informatyczne (62%), a dopiero w dalszej kolejności ekonomiczne (57%), prawnicze i administracyjne (25%), podczas gdy studenci wybierają najczęściej kierunki ekonomiczne i administracyjne (23%) oraz społeczne (14%). Tylko 19% studentów studiuje na kierunkach technicznych i informatycznych. „Pracodawcy chcieliby, aby uczelnie zwiększyły przede wszystkim liczbę godzin praktycznych kosztem zajęć teoretycznych, zacieśniły współpracę między światem nauki i biznesu, unowocześniły metody kształcenia oraz podniosły poziom kadry akademickiej. Zależy im również na zwiększeniu liczby godzin nauki języków obcych” – wylicza Anna Kowalewska z Deloitte.

Jedną z najtrafniejszych ocen oczekiwań wobec współczesnego szkolnictwa wyższego może być przegląd komentarzy uczestników badania „Oczekiwania przedsiębiorców wobec uczelni wyższych” przeprowadzonego przez Instytut Badań nad Demokracją i Przedsiębiorstwem Prywatnym w marcu 2010 r. W badaniu respondenci mieli możliwość komentarzy oraz rekomendacji zmian i oczekiwań. Po jego zakończeniu przedstawiciele przedsiębiorców potwierdzili lub dodali do niego swoje uwagi, które następnie zebrano w formie dziesięciu postulatów. Brzmiały one następująco:

1. Jednostki szkolnictwa wyższego powinny uczyć wykorzystania wiedzy merytorycznej w praktyce.

2. Należy zwiększyć liczbę godzin praktyk studenckich, tak by studenci mogli w szerszym zakresie współpracować z przyszłymi pracodawcami. Dobrym sposobem na

Wyższa Szkoła Planowania Strategicznego w Dąbrowie Górniczej jest pierwszą niepubliczną uczelnią na południu Polski, która pomimo dość krótkiego okresu swojej działalności w 2011 roku uzyskała akredytację na prowadzenie studiów II stopnia (magisterskich) na kierunku pielęgniarstwo. Mury WSPS opuściło już ponad 1400 pielęgniarek, setki zadowolonych fizjoterapeutów, ratowników medycznych oraz logistyków. Z informacji podawanych w mediach wynika, iż z roku na rok liczba studentów na kierunkach medycznych i inżynierskich nieustannie wzrasta. Podobną sytu-

ację można zaobserwować również na naszej Uczelni, gdzie tendencja wzrostowa utrzymuje się, a kierunki medyczne cieszą się coraz większym zainteresowaniem nie tylko wśród maturzystów, ale również wśród osób, którym obecnie posiadane wykształcenie nie wystarcza do realizacji zamierzonych celów zarówno tych zawodowych, jak i osobistych.

Angelika Grudzińska
Specjalista ds. marketingu
i promocji WSPS

pierwszy kontakt z przyszłymi pracodawcami oraz na weryfikację zdobytej wiedzy mogłyby być programy pierwszej pracy dla najlepszych studentów.

3. Należy wprowadzić jako zasadę umiejętność wykorzystywania zdefiniowanego cyklu ciągłego doskonalenia „Plan-Do-Check-Act” („Zaplanuj-Zrób to-Sprawdź jak działa-Wprowadź do stosowania”).

4. Jednostki szkolnictwa wyższego powinny prowadzić zajęcia wzmacniające cechy osobowościowe, postawy studentów, nastawienie na sukces, trafne definiowanie celów, realizacja celów. Uczelnie powinny przygotować absolwenta do pracy z poczuciem odpowiedzialności i pokory. Większą wagę należy przykładać do przygotowania do pracy zespołowej.

5. Jednostki szkolnictwa wyższego powinny zweryfikować swoje programy w oparciu o potrzeby przedsiębiorców. Uczelnie powinny koncentrować się na potrzebach przedsiębiorstw stosujących zaawansowane technologie oraz na potrzebach społeczeństwa.

6. Każda jednostka powinna określić minimum umiejętności, jakie nabędzie jej absolwent oraz na koniec procesu edukacji zweryfikować nabyte umiejętności testem kompetencyjnym (test jednolity dla danej kierunku studiów).

7. Należy wprowadzić zagraniczny system nauczania oparty na analizie sytuacji biznesowych. Studenci powinni być stawiani przed wyzwaniem biznesowymi, a nie opierać się tylko na teorii. Zagadnienia merytoryczne powinny być prowadzone w formie warsztatowej – case studies (zespołowe rozwiązywanie pozyskanych z branży zadań) w celu uzyskania wzorcowego rozwiązania. Programy nauczania powinny w większym stopniu umożliwiać symulację efektów zaproponowanych przez studentów rozwiązań do różnych sytuacji problemowych przedsiębiorstw branżowych.

8. Należy uruchomić programy mentorskie, gdzie student czerpałby wiedzę od konkretnej osoby zajmującej odpowiedzialne stanowisko w uznanej firmie.

9. Należy zwiększyć powiązania między uczelniami a środowiskiem biznesowym oraz sektorami przemysłu, np. poprzez prowadzenie wspólnych badań, wymianę personelu, wymianę patentów.

10. Należy wprowadzić dodatkowe szkolenia językowe.

Piąta edycja wojewódzkiego konkursu poetyckiego w Będzinie

Uroczysty finał tegorocznej edycji konkursu poetyckiego ogłoszonego przez grupę „Rymozaurów” Fanklubu Poetyckiego Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej odbył się w ramach Dni Będzina 15 czerwca w klubie „Pod Sową” będińskiej księgarni. Konkurs, inspirowany wierszem „Jarmark cudów” Wisławy Szymborskiej, miał charakter otwarty. Adresowany był do wszystkich miłośników słowa poetyckiego, zarówno twórców nieprofesjonalnych, jak i zrzeszonych w związkach twórczych. Wśród uczestniczących w konkursie poetów byli autorzy z Będzina, Sosnowca, Czeladzi, Mysłowic, Dąbrowy Górniczej i Siewierza. Nadesłane zestawy wierszy oceniono w dwóch kategoriach wiekowych pod względem oryginalności, wartości artystycznej i językowej. Zaproszenie do jury przyjęli poeta, krytyk literacki i dziennikarz dr Paweł Sarna (przewodniczący jury) oraz Hanna Dikta, poetka, filolog, autorka debiutanckiego tomiku „Stop – Klatka”. Organizatorów konkursu w pracach jury reprezentowała dyrektor będińskiej biblioteki Bożena Staszewska, oraz poeta Andrzej Noga.

W tegorocznej edycji konkursu jury przyznało 6 wyróżnień i 3 nagrody, w tym nagrodę główną w postaci dofinansowania w wysokości 1 000 zł do wydania tomiku poetyckiego.

Laureatami konkursu zostali (w kategorii II powyżej 18 lat):

Jolanta Wychowaniec (Sosnowiec) – nagroda główna

Grzegorz Kazibudzi (Będzin) – II miejsce

Cezary Granicki (Strzyżowice) – III miejsce

Wyróżnienia otrzymali:

Anna Rywacka-Szafran (Sosnowiec)

Zdzisław Moczyński (Będzin)

Mirosław Kowalski (Mysłowice)

Miłosz Barcicki (Gródków)

Renata Giers (Dąbrowa Górnicza)

oraz w kategorii I do 18 lat

Oliwia Zrobek (Będzin)

Nagrody i wyróżnienia laureatom konkursu wręczyła (reprezentująca Prezydenta Miasta Będzina Łukasza Komoniewskiego) Barbara Stelmach z Wydziału Kultury i Sportu UM w Będzinie. Finałisti wysłuchali nagrodzonych wierszy w interpretacji Michała Kusztala, aktora Teatru Dzieci Zagłębia oraz koncertu utalentowanej pianistki i kompozytorki awangardowej Dahlii von Meck.

Celem organizowanego od pięciu lat konkursu jest integracja środowiska literackiego, promocja utalentowanych poetów oraz kształtowanie postaw twórczych i form aktywności, które służą bogactwu i pielęgnacji języka polskiego. To także możliwość prezentacji najnowszej twórczości poetów cieszących się w regionie zasłużonym uznaniem oraz stworzenie szansy startu młodym literatom.

Fot. Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Będzinie



Cud wiatru

Dzika grusza,
pochylona wiatrem,
głaszcze ziemię.
Odrosty wilgotnej trawy,
spragnione pieszczoty,
najeżyły ździebełka. Kopiec trawy z wrażenia
się rozpląszczył,
jeszcze bardziej pachnie sianem.
Wiatr buja owocami.
Grusza z lubością
poddaje się wiatrowi,
unosi zdziczałe ramiona,
nabiera wiatru coraz więcej i więcej...
Wiatr nasycony powoli ustaje.
Grusza opuszcza rozwiane gałęzie.
Owoce leżą w miękkiej trawie.

Fot. T. Kowalski

Cud snu

Na wyspie konwaliowej
dzieci ciepłe, różowe
śpią pod paprociami.
Oddechem wiatru
mleczce rozkołysane,
słońcem wyżółcone,
rozczochrane,
uszcześliwione.
Czas się nie spieszy donikąd,
nie liczy się wcale.
Jak w karnawale żyje tańcem,
kolorem, radością.
Miłością w oczy świeci tak,
że oczy spuszczać trzeba.
Płatkami róż, jaśminu
mchy usłane.
Tak blisko ziemi...tak blisko nieba...
Sen nad ranem
ze śpiewem słowiczym odpływa,
jak chwila ulotna,
cicha, szczęśliwa.

Cud melodii

Nuta poezji tonie
w martwym morzu
smutnych oczu.
Na podkowach rzęs
kryształki soli.
Gardło w gorsecie
ciasno zasznurowane.
Pędzel usycha z tęsknoty
za kolorem, rozmachem,
zanurzeniem.
Nad ranem cienie przedwiośnia
na twarzy rozmokłej.
Spokój święty za oknem.
Melodią słów nadzieja
do serca spływa.
Chwila ugłaskana, cikliwa
głowę podnosi,
usta rozchyła,
nabiera powietrza,
uśmiechem do życia wraca.



Setna rocznica zgonu Bolesława Prusa

Autor *Lalki* – pisarz „bezustannie współczesny”

Włodzimierz Wójcik

Ilekoć pochylam się nad utworami Bolesława Prusa, czuję się jakbym odbył cudowną kąpiel w rwącej rzece z kryształyczną, przejrzystą wodą. Krzepiącą, niosącą ładunek sił vitalnych. W prozie tego pisarza nie ma form leksykalnych wychodzących poza granice dobrego smaku. Nie ma udiwnień stylistycznych i manieryzmów. Budowane przez niego zdanie cechuje przejrzystość i naturalna uroda. Te walory jego pisarstwa ze szczególnym przekonaniem podnosimy na progu XXI stulecia. Jesteśmy bowiem przerażeni stanem współczesnej polszczyzny w mowie i w piśmie. Pragniemy także w 2012 roku uczcić dwa jubileusze autora *Lalki*. 19 maja bieżącego roku minęło sto lat od jego śmierci, a 20 sierpnia 165 lat od daty urodzin.

Przyszedł na świat w Hrubieszowie jako Aleksander Głowacki w szlacheckiej rodzinie herbu Prus. Los obszedł się z nim dość łaskawie, gdyż – dzięki uzdolnieniom i chęciom kształcenia się – stał się wybitnym pisarzem, prozaikiem, nowelistą i publicystą okresu pozytywizmu, współtwórcą polskiego realizmu, kronikarzem Warszawy, myślicielem i popularyzatorem wiedzy, działaczem społecznym, wreszcie propagatorem turystyki pieszej i rowerowej. Odegrał w moim życiu wielką rolę jako twórca piszący pod pseudonimem Bolesław Prus. W okresie okupacji niemieckiej, będąc w wieku szkolnym, zaczytywałem się w jego nowelach. Poznawałem też dzieje jego życia, znaczone ciężką pracą, niedolą, a przede wszystkim dążeniem do wiedzy. Prus miał być dla mnie wzorem do naśladowania.

Wcześniej osierocony pozostawał pod opieką krewnych. Rozpoczął naukę w Lublinie, kontynuował w Siedlcach, a w latach 1862–1863 w Kielcach uczęszczał do klasycznego gimnazjum. Jako szczerzy patriota był czynnie zaangażowany

w zbrojne działania powstania styczniowego zakończone uwięzieniem go przez zaborców w murach zamku lubelskiego. Po odzyskaniu wolności i ukończeniu szkoły średniej krótko studiował w Szkole Głównej w Warszawie, a od roku 1869 w Instytucie Rolniczo-Leśnym w Puławach, uczelni o dużym autorytecie. Z braku środków do życia, musiał zarabiać na utrzymanie; przerwał studia; podjął pracę w fabryce.

Od roku 1872 rozpoczyna pracę dziennikarską pisząc do popularnych czasopism: „Niwa” oraz „Opiekun Domowy”. Ujawniła się w nim pasja reformatorska człowieka, który pragnie likwidować powszednie anomalie życia. Dwa lata później rozpoczął w „Kurierze Warszawskim” drukowanie stałych felietonów, które umocniły jego autorytet jako człowieka o doskonałym piórze. W roku 1882 Prus zostaje redaktorem radykalno-postępowego organu pozytywistów „Nowiny”. Do czasu jego zawiesze-

nia w roku 1883 umieszcza w nim swoje słynne „Kroniki”. Wraca do współpracy z „Kurierem Warszawskim” a od 1887 rozwija współpracę z „Kurierem Codziennym” prowadząc w latach 1887–1894 i 1896–1901 *Kronikę tygodniową*. W związku ze swoją pracą coraz bardziej wrastał w Warszawę i poznawał krok po kroku realia jej życia. W roku 1895 odbył jedyną podróż zagraniczną znaczną krótkim pobylem w Berlinie, Dreźnie, Karlsbadzie, Rapelswilu i Paryżu. Od 1882 do końca życia systematycznie wyjeżdżał „do wód” w Nałęczowie. W uzdrowisku tym i w jego okolicach obserwował realia małomiasteczkowego i wiejskiego życia służące mu jako bezcenny materiał w konstruowaniu świata przedstawionego w opowiadaniach i powieściach. W Nałęczowie spędzał sporo czasu z Oktawią i Stefanem Żeromskimi, z którymi w tym kurorcie się poznał i szczerze zaprzyjaźnił.

Prus pozostawił po swoim pobycie w Nałęczowie wdzięczne wspomnienia jego mieszkańców: ludzi kultury, oświaty i nauki, rolników i rzemieślników. Do dzisiaj mamy tu Domek Prusa, Górę Prusa, Wąwóz Prusa. W jednej z sal miejscowego Pałacu Małachowskich, w której niegdyś przemieszkował wielki prozaik, z inicjatywy Feliksa Araszkiewicza, profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, powstało biograficzne Muzeum Bolesława Prusa. Uwzględni-

Dwór w Hrubieszowie, miejsce urodzin Bolesława Prusa. Fot. Aung



ono powiązania autora *Emancypantek* i *Antka* z Nałęczowem i z Ziemia Lubelską. Podczas pobytu w Nałęczowie z okazji konferencji naukowych, zwykle przyprowadzam tutaj moich studentów. Razem spacerujemy ścieżkami pomiędzy zdrojowymi stawikami, podziwiamy łąbędzie, wiewiórki, dzikie kaczki, zachodzimy do pijalni wód mineralnych, rozmawiamy o sztuce pisarskiej naszego wielkiego artysty, który w życiu codziennym był nader skromnym człowiekiem w przyciemnionych okularach. Jego obraz jawi nam się w postaci pomnika z brązu przedstawiającego pisarza w meloniku siedzącego na ławeczce przed Pałacem Małachowskich.

W biografii pisarskiej Prusa ważny jest rok 1874, w którym debiutował humoreską *Kłopoty babuni*. Od tego czasu spod jego pióra wychodziły w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku bardzo ciekawe małe formy prozatorskie: opowiadania, nowele, szkice powieściowe. Były one dla mnie – szczególnie w czasie niemieckiej okupacji – ostoją polszczyzny i symbolem Polski. Ja i moje pokolenie z zapartym tchem czytaliśmy takie teksty jak: *Pałac i rudera*, *Przygoda Stasia*, *Powracająca fala*, *Michałko*, *Antek*, *Katarynka*, *Nawrócony*, *Kamizelka*, *On*, *Milknące głosy*, *Grzechy dzieciństwa*, *Omyłka*, *Pieśń świata*, *Żywy telegraf*, *Cienie*, *Z legend dawnego Egiptu*, *Anielka*. W utworach tych objawił się Prus jako wielki mistrz sztuki słowa, humanista wrażliwy na ludzkie niedole, wreszcie wyjątkowy przyjaciel młodego pokolenia, zwłaszcza dzieci różnych stanów i warstw społecznych. Pisarz w bardzo złym świetle ukazuje sfery ziemiańsko-arystokratyczne, które dewastują polską gospodarkę, do ruiny doprowadzają prostych rolników. Zarzuca im hulaszczę, niemoralny tryb życia i egoizm, hipokryzję oraz zakłamanie. Demaskuje naskórkowe uczucia filantropijne „pań” z dworu, które z powodu nudy organizują dobroczynne bale. Nie oszczędza także przemysłowców, którzy budują własny dostatek kosztem ludzi pracy (*Powracająca fala*). W wielu nowelach Prus apeluje do społeczeństwa o opiekę nad utalentowanymi dziećmi z niższych warstw, zwłaszcza mieszkańców wsi, które nie mogą zdobyć światła wiedzy, rozwinąć wrodzonych zdolno-

ści i marnieją w zderzeniu z przeciwnościami losu. W roku 1886 napisał Prus powieść ukazującą atawistyczne, bezgraniczne przywiązanie polskiego chłopca do ziemi, jednocześnie obdarzonego świadomością konieczności obrony ojcowizny przed naporem osiedleńców z ościennych krajów.

Od roku 1887 do 1889 na łamach „Kuriera Codziennego” Prus ogłasza drukiem powieść w odcinkach *Lalka*, która w książkowej edycji ukazała się w roku 1890. Jej akcję umieścił w Warszawie (choć nie tylko) lat 1878-1879 ukazując dzieje nieszczęśliwej miłości kupca pochodzenia szlacheckiego Stanisława Wokulskiego (patrioty, romantyka) do zmanierowanej, zniewolonej konwensansami, zubożałej arystokratki Izabeli Łękiej. Fabuła natomiast obejmuje szerszy krąg czasowy a to głównie za sprawą „pamiętnika subiekta” Ignacego Rzeckiego, osobowości romantycznej, zafascynowanej ideami bonapartyzmu.

Prus z wielką maestrią ukazuje „geografię” Warszawy. Urodę pryncypialnych ulic (Krakowskie Przedmieście) i obiektów architektury, parków i skwerów. Nędkę i brzydotę nadwiślańskich zaułków zamieszkiwanych przez biedotę i margines społeczny.

Prus z wyraźnym bólem pokazuje, że dawne pozytywistyczne postulaty – postęp, solidarność, rozwój gospodarczy, rozwój nauki, równouprawnienie kobiet, ras i wyznań – stają się mrzonką. Dzieje się tak na skutek rozkładu moralnego uprzywilejowanych warstw ziemiańsko-arystokratycznych, wiodących pasożytniczy tryb życia.

To wielkie dzieło sztuki pisarskiej, zrazu niedoceniane przez współczesnych, po latach było i jest odczytywane coraz bardziej wnikliwie. Dzisiaj jest jeszcze wiele w nim do odkrycia.

Druga wielka powieść Prusa *Emancypantki* – a jest to utwór społeczno-obyczajowy – pojawiła się w 1894. Wcześniej ukazywała się w odcinkach w latach 1890-1893. Nawiązuje ona do toczącej się w drugiej połowie XIX wieku dyskusji o sytuacji kobiet w Europie i w świecie. Akcję powieści pisarz umieszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Warszawie i na prowincji. Na przykładzie losów kobiet poświęcających się edukacji dziewcząt – pani Latter,

Madzi Brzeskiej, panny Malinowskiej – Prus ukazuje różne wersje losu „emancypantek” reprezentujących odmienne postawy moralne: od altruizmu, naiwnego idealizmu, aż po skrajny, zimny egoizm. Jego utwór – jako dzieło sztuki słowa – uformowany został z wyjątkową maestrią. Cenię go szczególnie z uwagi na ukazanie przez pisarza wielkiej ilości różnorodnych typów i charakterów ludzkich. Jedne postacie zasługują na zrozumienie czytelnika, inne na ironię, szyderstwo, a nawet pogardę. Prus odnosi się do różnych nurtów ruchu feministycznego z dużą niechęcią. Jest przeświadczony, że równouprawnienie kobiet nie jest jedynym warunkiem osiągnięcia przez nie szczęścia osobistego. Los człowieka determinuje bardzo wiele czynników: biologicznych, intelektualnych, społecznych, psychologicznych.

Ostatnia spośród tych wybitnych powieści, *Faraon*, ukazywała się w formie odcinków w latach 1895-1896, a w formie książkowej pojawiła się na rynku czytelnictwa w 1897 roku. W tej historycznej powieści pisarz na przykładzie życia starożytnego Egiptu starał się ukazać mechanizmy przemian dziejowych oraz tajniki zdobywania i utrzymywania władzy w ustroju, w systemie niewolniczym. Sugestywnie i barwnie przedstawił rządy egipskiego władcy Ramzesa XIII, z XI wieku przed Chrystusem, który walczy z Herhorem, przedstawicielem kasty łapczywych kapłanów i tym egoizmem podważających porządek i ład państwowy. Kapłani zwyciężają, ponieważ mają bezcenny oręż – wiedzę. Nowy władca ginie skrytobójczo, więc nie może rozbić dotychczasowego porządku, reformy stoją pod znakiem zapytania. Przez powieść Prusa przewija się pozytywistyczna koncepcja wielkich organizmów państwowych, według której mogą one dobrze funkcjonować jedynie w oparciu o jedność i harmonijne współdziałanie wszystkich sił społeczno-politycznych.

Na rok 1897 przypadał jubileusz Prusa. Pięćdziesięciolecie jego urodzin. W tym czasie wzrasta jego sława. Społeczeństwo polskie traktuje go jako wielki autorytet moralny, jako narodową jednoosobową instytucję. Czcił go wszyscy Polacy, zwłaszcza mieszkańcy Warszawy. Takim typowym Warszawiakiem z krwi

i kości był Jan Lechoń. Ten wybitny polski poeta w dzieciństwie widywał wielkiego naszego prozaika. W dwudziestolecie zgonu autora *Lalki* jednoznacznie podnosił rangę jego pisarstwa. W 1 numerze „Wiadomości Literackich” (1932) w eseju *Wielki Prus* pisał:

„Wśród rozmaitych rewizji literackich, na które teraz przyszła moda, o tyle pożyteczna, że na wiele rzeczy patrzyliśmy przez bielmo niewoli na oczach – jest do zrobienia jedna rzecz pierwszego znaczenia: sprawa należnego w naszej literaturze miejsca dla Bolesława Prusa. Prus bowiem na pozór był doceniony, ma zaszczytne miejsce w historii literatury, miał uwielbiających go czytelników, ale przecież wobec popularności znaczenia Sienkiewicza i Żeromskiego sława jego była jakby sławą drugiego rzędu; wobec przepychu jednego, a wspaniałego patosu drugiego Prus wydawał się jakby zbyt szary, zbyt codzienny. Oczy polskie stęsknione były wtedy do blasku, do świetności, serca były tętnem gorączkowym, więc też Prus, ze swoim spokojem, swoim humorem, ze swoim zrozumieniem rzeczywistości, która jako rzeczywistość niewoli w ogóle się wtedy dla Polaków nie liczyła – nie był tym dla społeczeństwa, czym byłby, gdyby działał w innych warunkach – a przede wszystkim nie rozumiano u nas w gruncie rzeczy, jaki to był wielki artysta.[...]”

Lechoń cenił szczególnie złożoność osobowości Bolesława Prusa. Ścieranie się, a właściwie dialog w jego mentalności odmiennych tendencji, dążeń, nurtów:

„Im głębiej się wmyślać w dzieło Prusa, tym jaśniej się widzi, jak jest ono indywidualne, nie podpadające pod formuły, jak niesłusznie biadało się nad jakimś rozdzieleniem, dlatego że Prus był jednocześnie bojownikiem pozytywizmu i »sercem serc«. Właśnie walka wewnętrzna Prusa, ścieranie się jego uczuć z myślami – dały artystyczne życie jego utworom, nie pozwalając Prusowi zmartwieć w kaznodziejstwie ani popaść w kłamstwo łatwego optymizmu, dewocję postępu. Walka realisty z idealistą, jeżeli można mówić tymi grubymi określeniami, będąca najistotniejszą treścią psychiczną dzieł Prusa – zrobiła z niego humorystę i z niej też zrodziło się w Prusie poczucie tragiczne, stanowiące o wielkości „Lalki” i „Faraona”. Jest

to prawda stara, ale teraz dosyć niemożliwa, że właśnie sprzeczności, a nie system są życiem sztuki, że one wywołują w czytelniku ten ferment psychiczny, który jedynie (nie zaś wyuczone hasła) przetwarza go duchowo, stąd wszyscy nieomal wielcy pisarze patronowali sprzecznym ideom. Mickiewicz raz był konserwatystą, kiedy indziej radykałem – tak samo Wyspiański, Żeromski w tym samym utworze był jednocześnie i narodowym demokratą, i komunistą. Wobec tak modnego dzisiaj ideału harmonii, określonego programu ideowego, »Lalka« Prusa, jakoby utwór pozytywistyczny, okazałaby się pełna sprzeczności; Prus



Bolesław Prus. Fot. W. Feldman

bowiem jest w niej zarówno entuzjastą pozytywizmu i jego krytykiem, zarówno antysemitą i filosemitą, jednocześnie ironistą i najczulszym poetą »bezpłodnych« marzeń romantycznych i jeżeli mimo to osiąga wrażenie harmonii, to właśnie przez tę dysharmonię, która stwarza jakąś epicką obiektywność, słowem, przez tę wyklętą w okresie pozytywizmu »sztukę«.

Jan Lechoń z całego bogatego dorobku pisarskiego Prusa szczególnie wysoko stawiał *Lalkę*. Wyjaśniał:

„Wrażenie pełni życia, wchłonięcie w sztukę całego bez reszty opisywanego świata, uczucie, które ma się przy czytaniu »Pana Tadeusza«, jest też rozkoszą, jaką odczuwamy, czytając »Lalkę« i uświadamiając sobie, jak jest ona rozumnie zbudowana, jak nie brak nieomal ani jednej postaci potrzebnej dla

pełnego opisanie i głębszego wytłumaczenia ówczesnej Warszawy. Prus daje w »Lalce« obraz tworzenia się nowego życia miejskiego, skonstruowany z niezwykłym zrozumieniem procesów społecznych, obraz ujęty w perspektywę historyczną, którą jest pamiętnik Rzeckiego, a obejmujący wszystkie warstwy tworzące wtedy życie Warszawy: mamy tu więc arystokrację, szlachtę ustępującą z pola, mamy w osobie Wokulskiego szlachtę przetwarzającą się na mieszczaństwo, są drobne łyżki, są studenci, rzemieślnicy, służba – szkicuje też Prus procesy dopiero rodzące się, jak np. rozwój Żydów i jako reakcja na to narodziny antysemityzmu. W ocenie zjawisk społecznych busolą dla Prusa jest po prostu jego poczucie człowieka i dzięki temu niektóre jego syntezy na tym właśnie świetnym znawstwie psychologicznym oparte dziś jeszcze, albo raczej dzisiaj dopiero, okazują swoje jasnowidztwo”.

Lechoń potrafił w omawianym utworze znaleźć i wskazać również niedostatki i pewne niedociągnięcia oraz odnieść się do nich ze zrozumieniem: „Nie wszystko oczywiście w »Lalce« jest równego mistrzostwa jako psychologia, są postacie, zwłaszcza w świecie arystokratycznym, mające jedynie wartość wdzięcznych karykatur z epoki krynolin i plastroń – panna Łęcka zresztą, uważana za bladą i papierową, nie jest lalką jako dzieło sztuki, tylko lalką jako charakter. Za to Wokulski, człowiek, który łamie swoją indywidualnością wszystkie ramy społeczne, znów właściwie romantyczny buntownik, znów jakby głos tragicznego indywidualizmu rasy – to postać, przez którą zaciera się w »Lalce« granica między poezją a prozą, jak zaciera się w niektórych utworach Balzaka, Dostojewskiego, Hamsuna i Conrada. Atmosfera »Lalki«, pełna humoru, ciepła, choć zgęszczająca się czasami w chmury tragiczne, jest oczywiście tak różna od mroźnego powietrza, którym żyją ludzie Conrada. [...] cała zresztą metoda pisarska Prusa zbyt jest różna od sztuki Conrada, aby porównanie Wokulskiego z ludźmi Conradowskimi nie wydawało się tylko odległą asocjacją. A jednak ten Wokulski, któremu jak Conradowi brakło powietrza w kraju, zdolny jak ludzie Conrada unieść najwspanialsze przeznaczenie i jak oni łamiący je u stóp

kobiety, czyż to nie jest opowieść o jakimś bohaterze »Zwycięstwa« czy »Ocalenia«, przez ironię zagnanym do warszawskich salonów? [...]».

Lechoń cenił bardzo konstrukcję osobowości Ignacego Rzeckiego, ale także doceniał uformowanie postaci drugiego i trzeciego planu:

„A inne postacie, już naturalnie nie tej klasy, ale jakże bogate, nowe, żywe! Taki Rzecki np., w którym Prus pacyfista-pozytywista zamknął całe zrozumienie i kult bohaterstwa, Rzecki, który powinien był z Prusem pogodzić wszystkich, co żyli, ideałem powstania i żołnierza, nie dość rozumiejących, że Prus to inny człowiek niż lodowaty Świętochowski; a pani Wąsowska – jedna z najpiękniejszych postaci w naszej literaturze, na owe czasy w Polsce bardzo śmiało pomyślana, mająca zarówno zmysły, jak uczucie, Boy mógłby powiedzieć „wzór kobiety-Polki”, wesołej, wolnej i głęboko wewnętrznie uczciwej. [...] Pani Stawska np. byłaby może mdła i papierowa ze swymi cnotami, gdyby nie owo wysiadanie w oknie, które ją czyni tak żywą, a jaki cudowny, zacny i śmieszny zarazem jest Rzecki z tym nieuleczalnym podejrzeniem Wokulskiego o politykę. Kiedy przypomnieć sobie którąś z tych postaci albo taką niezrównaną scenę jak rozmowa barona z lokajem przed pojedynkiem, a potem scenę w wagonie między Wokulskim, Starskim i Izabelą, albo to, co myśli Wokulski po rozstaniu z Izabelą – wtedy pojmuje się, co to za wspaniała książka, uświadamia się sobie wielką skalę Prusa, od najwyższego komizmu – do tragedii, i wtedy rozumie się, jakiej to był klasy pisarz”.

Bilans refleksji Lechońa o dziele Prusa jest budujący:

„»Lalka« i »Faraon« są na pewno najwyższymi dziełami Prusa i dosyć jest mówić o nich, aby sobie zdać sprawę z jego wielkości. A przecież to była część zaledwie jego literatury, przecież poza tym stworzył »Emancypantki«, wielkie dzieło, tak głęboko wnikające w dusze kobiece, napisał »Placówkę«, będącą na owe czasy odkryciem, napisał nowele, najpiękniejsze po dziś nowele w naszej literaturze, przez kilkadziesiąt lat – co tydzień – wnikał odważnie, mądrze we wszystkie niemal sprawy naszego życia, szerzył wiedzę, ludzkość, pomagał kul-

turze i dobrobytowi – doprawdy, jakież inne słowo niż „wielkość” może określić tego wspaniałego człowieka, który tyle zdziałał dla życia, a był zarazem takim artystą, który dał prozie naszej poziom intelektualny po dziś dzień bodaj w niej niedościgniony i dał taki wyraz głębokiej polskiej uczuciowości; można by powiedzieć, że był on dla naszej prozy zarazem Balzakiem i Dickensem – gdyby to określenie obejmowało i to także, że napisał »Faraona«.« Doprawdy, kiedy pomyśli się, że w innym rodzaju wielki Sienkiewicz był sławny na cały świat i w kraju oddawano mu cześć jak monarsze, że miał Nobla, Oblęgorek, że żył w puchach sławy i znaczenia, a w tym samym czasie Prus, jak go pamiętam z mego dzieciństwa, skromny, zgarbiony, chodził co dzień przez ulicę Hożą, że jego całą zabawą były gawędy w redakcji »Tygodnika«, jego jedynym właściwie stanowiskiem – stanowisko członka tej redakcji, kiedy to sobie przypomnieć, ogarnia nas wzruszenie, w którym nie wiadomo, czego jest więcej: poczucia jakiejś krzywdy, która się Prusowi działa, czy też wzrastającej naiwnej miłości do Warszawy za to, że on w niej mieszkał, tkliwości dla murów, w których było jego proste mieszkanie i gdzie pełnił tak wspaniałe wielkie zadanie: odczuć, zrozumieć i wyrazić świat”.

Wielkim uznaniem Bolesława Prusa obdarzała także autorka *Nocy i dni* Maria Dąbrowska. We Wstępie do *Wyboru pism* Bolesława Prusa (Warszawa 1954) z wielką przenikliwością analizowała warsztat twórczy Prusa oraz dzieje jego rosnącej sławy. Warto w tym miejscu przytoczyć parę obszerniejszych fragmentów wypowiedzi Dąbrowskiej. Oto one:

„Prus to pisarz myślący. A tym samym – człowiek prawie tragiczny. Bo niedobrze to w Polsce być myślącym człowiekiem. My wolimy wszystko, niż myśleć. Wolimy umrzeć dla jakiejś sprawy, niż ją przemyśleć. A dzieje Prusa to dzieje nie tylko wielkiego serca, lecz i poszukującej myśli. W jednej zwłaszcza dziedzinie szukanie to jest męczarnią. Zatrzymajmy się chwilę nad męką patriotycznej myśli Prusa. Polska myśl patriotyczna w warunkach niewoli nigdy nie mogła przejawiać się dość przezroczyście i w pełni. [...] Klęska powstania 63 roku pchnie zrazu młodego Prusa w beznadziejną

rozpacz, rezygnującą nawet z marzeń o wybiciu się Polski na wolność. Z biegiem upływających lat rozpacz i rezygnacja ustąpią twórcemu dociekaniu przyczyn. Prus osądzi klęskę powstania jako klęskę błędu. W czasach gdy cenzura zełżała, napisze o tym (Nasze obecne położenie, »Tygodnik Ilustrowany«, 1910 rok) nieco wyraźniej: »Gdyby zebrać w jedno miejsce krew wylaną przez Polaków za wolność, może powstałoby drugie Gopło; gdyby zgromadzić kości tych, co polegli w bojach, na szubienicach, w katogach, na osiedleniach i wszelkiego rodzaju tułaczkach, może usypałby się z tego drugi Wawel. Lecz [...] jakież z tego pożytek? Nie ma! I nawet być nie może, gdyż patriotyzm polski składa się z wybuchów namiętnych gwałtownego uczucia, którego, niestety! nie oświecał rozum i nie przerosił go w akty twardej woli.« [...] Rezygnując na razie ze zbrojnej walki o wolność, Prus domagał się więc od swego narodu zaniechania politycznych »mrzonek«, a tworzenia natomiast we wszystkich dziedzinach życia takich wartości, które – mimo jej los polityczny – uczyniłyby Polskę, a przynajmniej Polaków czymś cennym i niezbędnym dla świata. Prus nie uznawał wymawiania się niewolą od ciągłych i upartych wysiłków doskonalenia życia. Swój program ocalenia i wywyższenia narodu widział to w kształceniu władz poznawczych, to w tworzeniu siły gospodarczej, to w doskonałym wypełnianiu wszystkich powszednich obowiązków, to – w okresie mistyczno-religijnym – w dosłownym stosowaniu na co dzień nauki Chrystusa. Ostatecznego wniosku, że to wszystko ma doprowadzić Polskę do jakiejś postaci wolności, znaczenia i potęgi, Prus nie mógł już w warunkach ówczesnej cenzury jasno wypowiedzieć, a i bez niej trudny on byłby z takich przesłanek do wyprowadzenia. Przemyślał go w okresie powstania greckiego (1897) pod postacią losów tego kraju, któremu, jak wierzył, Europa w walce o wolność pomoże, bo stworzył „dzieła wszechludzkie” i miał bohaterów, co „walczyli i ginęli za wszechludzkie duchowe skarby” Wszystkie te poglądy – skądinąd pożyteczne, a nawet zbawcze dla narodu skłonnego do wszelkich „grzechów odpuszczenia” – w praktyce wyglądały nader podobnie do ugodowego programu konserwatystów reprezentujących klasy posiadające i część

związanej z nimi inteligencji. Stały się też niepopularne wśród młodszej i radykalniejszej części społeczeństwa, ściągęły na głowę Prusa gromy i szyderstwa, doszło nawet do osobistej na niego napaści dokonanej przez kilku krewkich młodzieńców, na pewno nie siłących się na zrozumienie trudnej myśli Prusa. Swoją dramat niezrozumianego patriotę przedstawił Prus w noweli »Omyłka«, tym najtragiczniejszym z jego kilku posępnych i niesamowitych utworów. Oczywiście, że myśl patriotyczna Prusa szła zygzakami, omylnymi drogami, srogo się nieraz błąkała. Lecz artysta ma psychikę bardzo złożoną, a jego wartość nie leży w nieugiętości, jednolitości czy poprawności poglądów. Ważną jest właśnie ta droga poszukująca i to, czy choćby zbaczając, idzie się w dobrym kierunku. A Prusowi – gdy spekulacje myślowe zawiodły w publicystyce – właściwy kierunek wskazywało gołębio czułe, a jastrzębio bystre oko wielkiego realistycznego artysty. W imię po swojemu rozumianej trzeźwości, świadomie wyzbywającej się złudzeń, Prus potępił walki zbrojne o wolność podejmowane bez kilku przynajmniej ważnych szans na zwycięstwo. Ale choć nie operował naszymi dzisiejszymi kryteriami, co pozwalała precyzyjnie oddzielić od błędu czyste i przyszłościowy nurt ruchów narodowo-wyzwoleńczych, oko i serce artysty wyłowi ludzi tego nurtu i otoczy ich pełną humorem i tkliwości sympatią. Szczytowym wyrazem tej sympatii będzie arcydzieło charakterystyki, jedna z najpiękniejszych postaci Prusa – syn woźnego, uczestnik rewolucji węgierskiej, anielski subiekt Ignacy Rzecki. Jeszcze bardziej bezpośrednio wskaże nam Prus dziedzica najlepszych tradycji wolnościowych w słabszym, drobnym utworze »Milknące głosy« W opowiadaniu tym ubogi szewc i jego nieletni syn to jedyni ludzie, co dostrzegli, powitali i uczcili przybyłego do kraju tułacza, żołnierza wolności. Artystyczna twórczość Prusa wskazuje, że mimo wszystkich potępień dla nieobmyślanej gotowości giniecia za wszelką cenę Prus nigdy się sentymentu do polskich tradycji bojowych nie wyżył, związał je tylko z losem prostego człowieka. Prostym człowiekiem jest we wszystkich utworach Prusa najważniejszy, nie dlatego, oczywiście, że raz przeszkodził samobójstwu dobrego kupca uwikłanego w obłąd mi-

łosny. To samo znajdziemy w innej sprawie. Prus publicysta długo mniemał, że nie oglądając się na polityczną stronę życia Polska może zająć wybitne stanowisko pośród narodów świata przez twórczą wiedzę, przez szlachetność i zdolność umiejętnego, słusznego rozwiązywania codziennych zagadnień życia. Ale Prus artysta dostrzegł, że jeśli celem istnienia organizmu narodowego jest stworzenie jak najwyższej cywilizacji rzeczowej i kultury duchowej, to bez własnego państwa cel taki nie może być osiągnięty. I że trzeba wskrzesić w społeczeństwie także i rozum polityczny, i pojęcia o państwie. Tej kwestii pod cenzurą carską Prus nie mógł traktować bezpośrednio – stąd pomysł »Faraona«. Ta powieść nie jest bynajmniej apoteozą państwa, przeciwnie,



Grobowiec Bolesława Prusa na Powązkach. Fot. M. Szczepańczyk

i tu Prus wykazuje, że państwa wznoszą się i upadają, a istotą życia »zostaje prosty człowiek«, jego praca, jego niedola lub szczęście. [...] Dar proroczy? Nieraz obserwujemy u Prusa ten dar i nie jest on żadnym cudem. Trafne »przepowiadanie« przyszłości nie musi się pojawiać u pisarzy, nawet wielkich. Lecz jeśli się pojawia, jest wynikiem nieomylnie trafnej obserwacji życia i sprawnego, prawidłowego posługiwania się myślą. »Prorocze« widzenia świata znajdujemy u Prusa i w sformułowaniach myślowych, i w obrazowaniu, i w niektórych postaciach. Prorocze jest dostrzeżenie Gosławskiego, ślusarza fabryki Adlera w »Powracającej fali«. [...] Proroczą jest również i mała scenka z opowiadania »Widzia-

dła«, w której trzech przyjaciele, zamroczeni miodem, oglądają w imaginacyjnym kinematografie na ścianach starej winiarni Fukiera historię rynku Starego Miasta. I oglądając ów rynek dźwigający się w ciągu wieków z wielokrotnych ruin, ujrzą go w ostatniej wizji właśnie takim, jakim w tej chwili my, dzisiaj, oglądamy go z dumną radością. Prorocze jest również zdanie Prusa: »Pomimo ciężkich warunków bytu, pomimo jeszcze cięższych błędów, jakie co chwila popełniamy, mimo niedorzeczności, jakimi przeładowana jest nasza historia bodaj czy nie od dwu wieków, mimo to wszystko naród nasz nie tylko może wywyższyć się z obecnego położenia, ale jeszcze w przyszłej historii cywilizacji odegrać piękną, wspaniałą rolę.« Właśnie tę rolę, wbrew pesymistom i na przekór wszystkim uciążliwym trudnościom epoki »Przemian«, grać zaczynamy. I tym meldunkiem składamy hołd pisarzowi, bo był nie tylko »sercem serc«, jak głosi napis na jego grobie, ale usiłował być i płodną myślą polskich mózgów».

Warto na koniec niniejszych refleksji o Bolesławie Prusie przytoczyć utwór Stefana Godlewskiego pod tytułem *Na Kruczej* (wiersz z cyklu *Śladami Wokulskiego*, Warszawa 1937), aby nieść w swojej pamięci i w swym sercu wizję dawnej Warszawy i sylwetkę jej kronikarza:

„Śladami Wokulskiego, lichy jego uczeńZ duszą półromantyka, półpozytywisty,Włóczę się tam i nazad do późna po KruczejPod czarem prozy Prusa i nocy gwiazdzistej.Na rogach, jak ćma nocna, wokół latarni kluczę,Usiłując odnaleźć po stronie parzystejBramę, do której Muza wręczyła mi klucze,Adres, pod którym niegdyś odbierała listyPani Stawska, Klein, Wirski, Patkiewicz, Maleski,Maruszewicz, Krzeszowska. Poranek niebieski-Budzi wróble. Już czwarta. Pójść spać? Nie ma gwałtu.Ostatnie światła gasną wzdłuż ulicy puste,Ale jarzy się jasno pod dwudziestym szóstymPięć okien w kształt T. Zgasły. Błysło siedem w kształt U.”

Kiedy po latach na nowo sięgam do dzieł Prusa, czytanego z zapartym tchem w dzieciństwie i w młodości, mam wrażenie, że świecą one, te dzieła, coraz szlachetniejszym blaskiem. Trudno się temu dziwić. Owoce wielkiego talentu, wielkie dzieła mają przecież trwałe wartości.

Kawalerowie Orderu Świętego Stanisława w Zagłębiu Dąbrowskim

Edyta Antoniak-Kiedos

W słoneczne sobotnie przedpołudnie 16 czerwca odbyła się w Będzinie niezwykła uroczystość. Choć czasy królów minęły bezpowrotnie, tego dnia u stóp Kazimierzowskiego Zamku tradycje szlacheckie kontynuowali Członkowie Dam i Kawalerów Orderu Świętego Stanisława w Polsce. Tu warto dodać, że jest jeszcze grupa osób zaangażowanych w tradycje Orderu w Wielkiej Brytanii, skąd wyszła idea reaktywowania tego ważnego dla Naszego Narodu Odznaczenia. Ustanowił go bowiem sam król Stanisław August Poniatowski w celu pobudzenia społeczeństwa i pokrzepienia serc dla dobra Polski.

Zebrali się zatem w pełnej krasie Członkowie Dam i Kawalerów Orderu Świętego Stanisława, ich rodziny i przyjaciele, by podczas uroczystości, zwanej Inwestyturą, wręczyć osobom – szczególnie wyróżniającym się w służbie Ojczyźnie – Ordery Świętego Stanisława II i I stopnia. Aby dostąpić tego zaszczytu, należało najpierw wykazać się zaangażowaniem w sprawy społeczne, prowadzić działalność charytatywną czy kulturotwórczą, by wspierać, udzielać pomocy i serca wszystkim potrzebującym, a zwłaszcza dzieciom i młodzieży.

Przed wydarzeniami w Będzinie, 12 maja, w Kościele Środowisk Twórczych przy Placu Teatralnym w Warszawie odbyła się pierwsza część Inwestytury. Nadano wówczas 5 Orderów klasy III. W Będzinie dokonano zaś podwyższenia klas dla 6 osób.

Impreza rozpoczęła się przed bramą wejściową do Pałacu Mieroszewskich na Gzichowie, gdzie Orkiestra Dęta z Zakładów Górniczo-Hutniczych w Bolesławiu pod dyktando Jerzego Sojki odegrała najpiękniejsze polskie marsze. Dalej przed fronton dworu przeszła parada Dam i Kawalerów oraz przybyłych gości, gdzie orkiestra zagrała pieśni patriotyczne. Nie zapomniano również o tym, że Profesor Włodzimierz Wójcik, biorący udział w ceremonii, świętował niedawno piękny jubileusz 80. urodzin. Z tej okazji orkiestra zaintonowała tradycyjne *Sto lat*.

Po odegraniu *Roty* oraz pieśni *Boże coś Polskę* zebrani przeszli do Sali Wodzów na pierwszym piętrze Pałacu. Tu Komandor Henryk Bebak wygłosił wykład na temat burzliwej historii Orderu. Następnie poświęcenia Insigniów dokonał ks. Józef Stemplewski, proboszcz parafii Świętej Jadwigi Śląskiej z Osiedla Zamkowego w Będzinie.

Nominowani do I Klasy Orderu Świętego Stanisława zostali: Emil Bystrowski – w jednej osobie Przewodniczący Rady Powiatu Będzińskiego, Przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Grodzka i Dyrektor Przedsiębiorstwa „Interpromex” w Będzinie oraz Bolesław Ciepiela – Prezes Stowarzyszenia Autorów Polskich Oddział w Będzinie, autor wielu publikacji o Zagłębiu Dąbrowskim. Natomiast do II Klasy Orderu Świętego Stanisława nominowani zostali: Ryszard Liszczyk – regionalista, genealog z Zagłębiowskiego Koła Genealogicznego i Stowarzyszenia Miłośników Człodzi; Janusz Aleksandrowicz – działacz społeczny, filantrop z Łagiszy; Henryk Cześnik – malarz, rysownik i Profesor Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku oraz Edward Grzegorz Ostrowski – Prezes Zarządu Nadbałtyckiego Centrum Edukacji „Oświata-Lingwista”, społecznik i przedsiębiorca z Gdańska.

Wzruszający był moment, kiedy Wielki Mistrz Kapituły Krzyża Szlacheckiego „Nobility Cross” Profesor Włodzimierz Wójcik wręczał nominowanym Order Świętego Stanisława, a Komandor Henryk Bebak, podawał im dyplomy. Ale nastrój stawał się szczególnie podniosły, kiedy Profesor kolejnych odznaczonych pasował repliką Miecza Koronacyjnego. Miało to swoją wymowę – przecież Pałac Mieroszewskich znajduje się niemal u stóp siedziby polskiego rycerstwa z czasów Kazimierza Wielkiego.

Jak to bywa w zwyczaju podczas uroczystości wykonano wspólne pamiątkowe zdjęcie, które po godzinie zebrani otrzymali jako dar Andrzeja Grzybka właściciela Foto-Weronika z Grodzka. Potem wszyscy udali się na poczęstunek. Rozmowom nie było końca.

Fot. A. Grzybek



Uskrzydłony Zagłębiem

Profesor Janusz Ziółkowski pisał niegdyś, że „pojęcie Zagłębie Dąbrowskie nie ogranicza się tylko do powiazań przestrzennych i gospodarczych, posiadających krótkotrwały, bo historycznie uwarunkowany byt; wzbogacone ono jest – i to jest najistotniejsze – właściwym mieszkańcom Zagłębia Dąbrowskiego poczuciem wspólnoty, więzi psychicznej, której nie sposób inaczej nazwać, jak regionalną, a która ma żywot trwalszy niż warunki, które ją zrodziły”. Do tej myśli nawiązuje w swym życiu, działalności społeczno-kulturalnej i twórczości literackiej Henryk Bebak. Działacz, mieszkający w Łagiszy, jest propagatorem kilkunastuletniej tradycji Orderu Świętego Stanisława. Dzięki



jego zaangażowaniu w 1997 roku rozpoczęła działalność Zagłębiowska Komandoria Orderu Świętego Stanisława, której zadaniami są szeroko rozumiana pomoc charytatywna i edukacyjna dla dzieci i młodzieży, szerzenie patriotyzmu, tożsamości narodowej i lokalnej oraz wspomaganie działalności kulturowej w regionie.

O tej elitarniej inicjatywie Henryk Bebak pisze w książce pt. *Order Świętego Stanisława w Polsce i Zagłębiu Dąbrowskim*, wydanej w 2010 roku. Jest

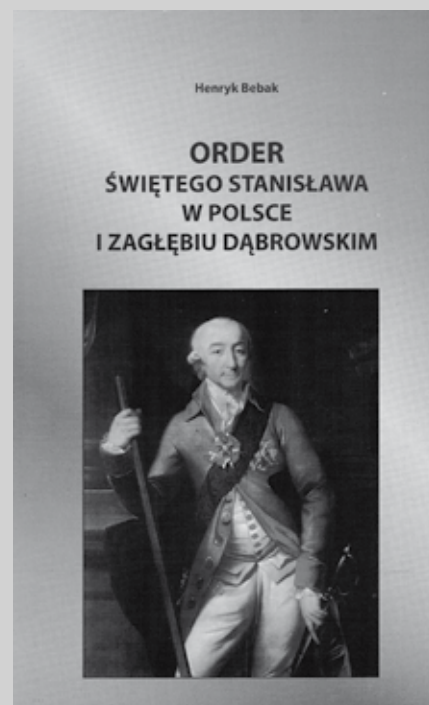
to próba monografii dotychczasowych dziejów jednego z ważnych polskich odznaczeń, które – jak podaje autor – w II Rzeczypospolitej zostało zastąpione Orderem Odrodzenia Polski *Polonia Restituta*. Pamięć o Orderze Św. Stanisława przetrwała jednak pokolenia i w 1979 roku został reaktywowany przez rząd emigracyjny w Londynie.

Autor, który jest jednocześnie Komandorem – przedstawia kolejno sylwetkę patrona, historię ustanowienia i dzisiejszą rolę Orderu Św. Stanisława. Zwięzły rys historyczny przypomina najważniejsze wydarzenia z historii Polski, które wpisują się w burzliwe losy odznaczenia, ustanowionego przez ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego w myśl zasady *Praemian-do Incitat*, czyli nagradzając – zachęca. Bebak dużo miejsca poświęca na kronikarskie opisy najnowszej działalności Komandorii Zagłębiowskiej, szczególnie jej akcji charytatywnych. Nie pomija również trudnych momentów, gdy osoby nieżyczliwe próbowały nadszarpnąć dobre imię stowarzyszenia i wykorzystać odznaczenie do prywatnych interesów. Przykre epizody wzmacniają jednak prawdziwie zaangażowanych i dziś można mówić o swoistym renesansie Orderu Św. Stanisława.

Książka zagłębiowskiego działacza to absorbująca kronika, okraszona licznymi fotografiami, na których możemy dopatrzeć się wielu znanych regionalistów (m.in. Bolesław Ciepeli), a także życzliwego wszelkim społecznym inicjatywom Profesora Włodzimierza Wójcika, nota bene również odznaczonego królewskim Orderem.

W 2011 roku Henryk Bebak wydał jeszcze jedną interesującą pozycję – *Uskrzydleni Młodością. Dzieje Zespołu Pieśni i Tańca „Zagłębie” w Dąbrowie Górniczej*. Autor zebrał w albumie bogatą historię jednego z najbardziej znanych zagłębiowskich zespołów. Dołączył krótkie noty informujące o powstaniu zespołu w 1956 roku przy Dąbrowskiej Sztygarce, ważnych wydarzeniach, koncertach, wyróżnieniach. Pośród mistrzów, czyli nauczycieli znaleźli się m.in. Ta-

deusz Szymaszek, Paweł Bartsch, Kazimierz i Franciszek Wilkoszewscy, Leszek Rozmus, Maria Zagrodzka, a także inne ważne osoby, jak kostiumolog Halina Czerwińska i pielęgniarka Wiesława



Dulewska, która opiekowała się młodymi artystami. Publikacja ma wręcz charakter rodzinnej kroniki, bo jakże inaczej nazwać dzieje przyjaźni i wspólnej młodości tej jakże roztańczonej zagłębiowskiej braci.

Obie książki Henryka Bebaka są świadectwem miłości do swojej małej, ale jakże Wielkiej Ojczyzny. Warto popularyzować wyniki pracy wszystkich, którzy spełniają za Marianem Kantorem-Mirskim swój obowiązek i zbierają „te ułamki i okruchy najdroższych pamiątek przeszłości i w pamięci przyszytych pokoleń zapisują”.

Edyta Antoniak-Kiedos

Henryk Bebak: *Uskrzydleni młodością. Dzieje Zespołu Pieśni i Tańca „Zagłębie” w Dąbrowie Górniczej*. Album. Wydawnictwo Progres. Będzin 2011, s. 192.

Henryk Bebak: *Order Świętego Stanisława w Polsce i Zagłębiu Dąbrowskim*. Będzin Łagisza 2010, s. 140.

30 lat zespołu Universe. Historia piękna i smutna

Moje (Ryszarda Hensona – przyp. red.) spotkanie z Mirkiem Bregułą miało miejsce w 1985 roku w Ustroniu, w kawiarni „Pegaz” na Polance pod Czantorią. Rozmowa była szybka: załatwiłem mu mieszkanie w Sosnowcu na ulicy Gospodarczej, a jego zespół był od tamtej pory pod opieką Stowarzyszenia Twórców i Działaczy Kultury w Sosnowcu. Tak oto lider Universe trafił do Zagłębia, tutaj mieszkał w latach 1985–1992 i tutaj właśnie powstała większość przebojów grupy, ja zaś zostałem wtedy ich menedżerem. A jak się to wszystko zaczęło?

Założyciele Universe, Mirek Breguła i Heniek Czich spotkali się po raz pierwszy 13 października 1981 r. w katowickim Studiu Piosenki. Po kilku miesiącach prób, 9 maja 1982 roku w chorzowskim klubie Kuźnik odbył się ich pierwszy publiczny występ. Tego też dnia, tuż przed wyjściem na scenę zdali sobie nagle sprawę... że nie mają nazwy. Razem z Jerzym Bednarzem, który zagrał z nimi wtedy na perkusji, postanowili więc wybrać dla siebie nazwę w drodze losowania. Wynik losowania: „Zakaz wjazdu” nie był zadowalający. Ostatecznie Mirek, kierując się tym, iż wiele jego tekstów oraz nastrój ich piosenek nasuwa skojarzenia z nocnym niebem i gwiazdami zaproponował nazwę „Universe”, pochodzącą od tytułu utworu Johna Lennona i Paula McCartneya „Across the Universe”. W roku 1983 eliminacje Ogólnopolskiego Młodzieżowego Przeglądu Piosenki we Wrocławiu doprowadziły Universe do konkursu „Promocje” na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu '83, a piosenka „Mr. Lennon” – na szczyty radiowych i telewizyjnych list przebojów. Takie były początki jednego z najważniejszych zespołów rockowych, działających w naszym regionie.

Grzegorz Majzel, znany wokalista i muzyk zespołów Kompilacja i Grzegorz Majzel Trio, od lat młodzieńczych żywo interesował się twórczością zespołów grających w naszym regionie. Jego pierwsze bliższe spotkanie z Mirosławem Bregułą miało miejsce na początku lat 80. Wspomina lidera, jak i pozostałych członków Universe jako skromnych, szczerych i przyjaznych. W tamtych czasach pociągały go mocniejsze brzmienia, a zespołem, który miał i nadal ma na niego największy wpływ jest Iron Maiden. Mimo to jednak, zawsze z wielkim szacunkiem odnosił się do Universe. Ceni ich za wierność obranej drodze mu-

zycznej, bez oglądania się na aktualne trendy. Znaleźli swoją publiczność, swoją niszę i są wierni sobie. – Oni idą od początku do końca w wyznaczonym przez siebie kierunku i to już jest ich wielkość – mówi Majzel. Dla niego Universe to dziś po prostu historia polskiej muzyki – są absolutnie rozpoznawalni i szczerzy wobec siebie i odbiorców.

W karierze Universe, tak jak w życiu, nie brakowało sukcesów, jak i kryzysów. W połowie 1984 roku duet Universe poszerzył się o nowych muzyków: perkusistę Józefa Chucia, basistę Marka Małotę, klawiszowca Leszka Żuchowskiego i gitarzystę Eligiusza Badurę. W zespole grali też inni muzycy: perkusiści Janusz Piechaczek i Janusz Bogacki, basiści Rafał Rudziński i Piotr Jarosz, klawiszowiec Andrzej Piśniak i grający na gitarze solowej Dariusz Boras. Po sukcesach piosenek: „Mr. Lennon”, „Blues na wpół do piątej rano” i „Ty masz to, czego nie mam ja”, nagrywanych z muzykami sesyjnymi, muzycy Universe nagrywają kolejno utwory: „Chiny”, „Gwiezdna podróż”, „Wołanie przez ciszę”, „Głupia żaba” oraz materiał na autorską płytę kolędową i wiele innych kompozycji. Pod koniec lat 80. Universe przeżywa poważny kryzys: część muzyków opuściła wtedy zespół, by udać się na emigrację. Universe znów staje się duetem Breguła-Czich. Nie na długo jednak: przemiany ustrojowe w Polsce skutkują powstaniem wielu firm fonograficznych, między innymi Baron Music, która proponuje

duetowi współpracę. Początek lat 90. to zatem okres wielkiego come back'u zespołu Universe, współpracującego z takimi muzykami jak Dariusz Kozakiewicz, Józef i Jan Skrzek, Andrzej Urny, Jerzy Kawalec, Michał Dąbrówka i Beno Otręba oraz – gościnnie – z Beatą Kozidrak (płyta „Być przy Tobie” z roku 1994). W następnych latach popularność zespołu spada, choć nadal ma on wielu oddanych fanów. Jego promocja pozostawia jednak sporo do życzenia. Po roku 2000 w Universe pojawiają się kolejni muzycy: gitarzyści Damian Filipowski i Wojciech Wesołek, basiści Marcin Kulik i Marek Kopecki, perkusista Grzegorz Krzykawski oraz klawiszowcy: Adam Greń i Roman Jońca. Universe gra nadal i przypomina o sobie także tym, którzy skłonni są odesłać grupę do muzycznego lamusa. Tragiczna śmierć Mirka Breguły w 2007 roku była niewątpliwie największym ciosem zarówno dla muzyków, jak i dla fanów, jednak tragedia ta nie zdołała pokonać chęci dalszego tworzenia, a nawet stała się wydarzeniem jeszcze mocniej jednoczącym zespół i jego przyrąb. W roku 2008 powstaje nawet internetowe Radio Universe, nadające non stop muzykę grupy.

Pomimo zmian personalnych i zmiennych losów, jedno pozostało niezmiennie: wspaniała muzyka, doceniana przez kolejne pokolenia fanów.

Autor: Ryszard Henson, współpraca: Michał Kubara



Wakacyjna wycieczka Droga Królewska

O projekcie Via Regia (Droga Królewska, Droga Wysoka) pisaliśmy już nieraz na łamach naszego czasopisma, a zatem – dla przypomnienia – tylko kilka najważniejszych informacji podajemy w ramce. Tym razem wycieczkę Droga Królewska warto zacząć od Sączowa. W związku z relikwiami św. Jakuba staje się centralnym punktem dłuższego fragmentu trasy, która zaczyna się od Krakowa Krowodrzy, a kończy na granicy z Górnym Śląskiem, czyli granicy powiatu będzińskiego z Piekarami Śląskimi

W ramach projektu, oprócz zwykłego znakowania trasy, zamontowano dwie duże tablice informacyjne: na Dorotce i w Sączowie oraz umieszczono dwie duże muszle symbolizujące szlak. Pomoc, także finansową, koordynator i pomysłodawca projektu, czyli stowarzyszenie regionalne Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego, otrzymał od starostwa powiatowego w Będzinie.

Paweł Sarna



Relikwiarz z relikwiami św. Jakuba. Fot. Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego





Certyfikat autentyczności relikwii św. Jakuba Apostoła oraz kościół parafialny p.w. św. Jakuba Apostoła w Sączowie. Fot. Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego



Via Regia jest to średniowieczny trakt handlowy otaczany szczególną opieką przez władców poszczególnych obszarów, po których przebiegał. Pątnicy w naturalny sposób wykorzystywali właśnie Via Regię do poruszania się w kierunku Santiago, ponieważ łączyła ona Hiszpanię z wieloma krajami europejskimi. Najstarsza część Via Regii zbudowana została w starożytności przez Rzymian w celach militarnych. Miała łączyć Hiszpanię z obszarami wschodnimi i miała kończyć się na Łabie. W średniowieczu rozbudowano ją na wschód i z biegiem czasu przestała służyć jedynie celom militarnym, a stała się jednym z najważniejszych traktów handlowych Europy. W 2002 roku z inicjatywy władz Saksonii powołano do życia inicjatywę „VIA REGIA – Europejska Droga Kultury”, której celem jest podniesienie trasy do rangi symbolu jednoczącej się Europy. Stanowi to dopełnienie rangi nadanej Szlakowi św. Jakuba przez Radę Europy. Projekt wytyczenia Drogi św. Jakuba na odcinku od Krakowa do Piekar Śląskich narodził się w 2007 roku. Organizacją sprawującą pieczę nad przygotowaniem szlaku jest Stowarzyszenie regionalne Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego (www.zaglebiedabrowskie.org) wspierane przez Starostwo Będzińskie (www.powiat.bedzin.pl). Źródło: Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego

W Królewskiej Hucie

O „Miłości w Königshütte” było niedawno głośno z czysto politycznych względów. Spektakl ten, wystawiany Teatrze Polskim w Białymostku, został przez wielu uznany za agitkę Ruchu Autonomii Śląska, na co wskazywało nie tylko przywdzianie przez aktorów w finale opasek w śląskich brawach, ale i gorący aplauz działaczy RAŚ, mających jakoby znajdować się na widowni podczas jednego z pierwszych przedstawień. Sprawa domniemanego upolitycznienia sztuki Ingmara Vilquista odbiła się szerokim echem, a pewien białostki poseł zażądał nawet odwołania ze stanowiska dyrektora Teatru Polskiego, Roberta Talarczyka. Tym większych zatem emocji spodziewałem się w perspektywie obejrzenia tego spektaklu w chorzowskim ChCK, a więc w samym miejscu jego akcji: w mieście dawniej znanym jako Królewska Huta, czyli Königshütte. Emocji politycznych jednak zabrakło, gwałtownych reakcji publiczności również. Rozdęty balon kontrowersji okazał się być ostatecznie kolorową wyduszką, wymalowaną przez mniej lub bardziej przewrażliwionych krytyków i publicystów, którzy w samym już podejmowaniu trudnych i wstydliwych dla Polaków kwestii widzieli przejawy antypolonizmu. Przy odpowiednim nastawieniu można i takowego antypolonizmu się doszukiwać, lecz z pewnością nie był on zamiarem autora sztuki i jej reżysera. Przypisać jednak trzeba, iż dobór cech bohaterów spektaklu sprzyja tego typu skrajnym opiniom. Doktor Schneider jest Ślązakiem, który usiłuje zachować człowieczeństwo w czasach kolejnej, tym razem radzieckiej okupacji. Wcielony wcześniej do Wehrmachtu jako lekarz wojskowy, teraz chce być wierny Polsce. Sowiecki major Kiereński jest cyniczny i podejrzliwy, choć jego melomania dowodzi inteligenckiego pochodzenia. Marzena Daniszewska, żona Schneidera jest nauczycielką przybyłą z głębi Polski w ramach nakazu pracy: histeryczka, nienawidząca Śląska i jego mieszkańców. Śląskie małżeństwo Bainerów stanowi niemal antytezę ponurych i okrutnych przybyszów ze Wschodu: są dobroduszni i serdeczni. Ich wewnętrznego spokoju nie jest w stanie naruszyć żadne zło płynące z zewnątrz. W tym spektaklu Śląsk to kraina szczęśliwości, którą zakłóca dopiero wkroczenie radzieckich i polskich barbarzyńców, pałających niena-

wiścią wobec sympatycznych tubylców. Ku takiej interpretacji skłania zresztą scena brutalnego aresztowania przez polskie UB zakonanej pary młodych, niewinnych Ślązaków. Jeśli jednak porzucimy politykę i spojrzymy na ten spektakl głębiej, zobaczymy tragiczną opowieść o ludziach, którzy padli ofiarą historii. W Königshütte każdy bowiem przeżył jakąś osobistą tragedię na fali wydarzeń historycznych. Chwiejność Schneidera to przede wszystkim wynik strachu. Lawiruje on pomiędzy miejscowymi bojownikami Wehrwolu, którzy powołując się na jego śląską tożsamość wymuszają na nim pomoc, majorem Kiereńskim, który chce go pozyskać jako informatora oraz polską żoną, którą w głębi duszy zapewne kocha, choć nie daje jej tego odczuć. Chciałby być Polakiem-Ślązakiem, żyć spokojnie w rodzinnych stronach i po prostu leczyć ludzi, lecz każdy czegoś od niego oczekuje i próbuje widzieć go na swój sposób. Marzena nie jest po prostu złą Polką, lecz kobietą nieszczęśliwą. Jest samotna, z dala od rodzinnego domu wśród kompletnie obcych jej ludzi, porozumiewających się własną gwarą i nie dzielących jej polskiego patriotyzmu. Wojna pozostawiła w niej głębokie blizny, a okoliczności w jakich się znalazła wcale nie ułatwiają jej powrotu do równowagi. Jej słaby mąż także nie – zresztą, więcej czasu spędza on z zaprzyjaźnio-

nym państwem Bainer niż z własną żoną. W Königshütte to on jest u siebie, ona zaś wciąż czuje się wyobcowana. Dobroduszni Bainerowie także przeżywają osobisty dramat, choć o wiele ciszej: wciąż czekają na powrót z wojny ich wcielonego do Wehrmachtu syna. Również i Kiereński stracił bliskich, przy czym zaznacza, że nie z winy Niemców: być może wskutek stalinowskich czystek? Wreszcie, tuż obok Königshütte znajduje się osławiony Obóz Zgoda. Podobnie jak Salomon Morel, sadystyczny komendant Obozu, jego polscy i żydowscy strażnicy mszczą się za cierpienia doznane od niemieckich katów i oczywiście nie rozumieją lub rozumieć nie chcą niuansów śląskich losów. Spirala nienawiści się nakręca, Ślązacy mają już dosyć polskich „ciuli”, Marzena zaś, w szale zazdrości i żalu denuncjuje Bainerów, przechowujących u siebie wyciągniętą przez Schneidera dziewczynę ze Zgody. Spektakl jest zatem przejmującą opowieścią o wzajemnych uprzedzeniach skutkujących nienawiścią, która uwolniona nie daje się już powstrzymać. O zranionych ludziach, którzy nie potrafią zdobyć się choćby na próbę zrozumienia drugiego człowieka. Jest to, co prawda, temat mocno już wyeksploatowany, jednak postawiony po raz pierwszy w kontekście powojennych śląskich losów. Przypominać trzeba, że od strony artystycznej nie jest to arcydzieło: spektakl niekiedy drażni swoją koturnowością, niemniej jednak przyciąga uwagę widza i stanowi ważny przyczynek do dyskusji nad najnowszą historią Śląska.

Michał Kubara



ANNA MARIA RYBKA

W 1985 r. została przyjęta z najwyższą notą na egzaminie wstępnym na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie (filia Katowice) ze specjalizacją: grafika, projektowanie (książka), malarstwo. W 1990 r. uzyskała dyplom tej uczelni.

Pomiędzy latami 1990-1997 powstały trzy wielkie cykle malarskie: „Księga Hioba”, „Spotkanie”, „Świt”. Od 1987 r. zajmuje się serigrafia collage, od 1991 r. grafiką komputerową, projektowaniem, cyfrową obróbką obrazu, DTP. Od 1999 r. powstaje cykl malarstwa komputerowego, którego inspiracją jest fizyka kwantowa i matematyka. Równocześnie tworzy cykl 26 obrazów olejnych pt. „LA-SCAUX II”. Inspiracją do cyklu stała się sztuka paleolitu, pojmowanie wszechświata przez pierwotnych ludzi. Cykl przechodzi następnie w fazę eksperymentu i w kolejnych latach zaczyna się łączyć z cyklem „Czas”. Jednocześnie artystka pracuje nad cyklem rysunków pt. „Powstanie Wszechświata”, obrazujących interesujące ją prawa fizyki w kontekście człowieka. Eksperymentuje z kolorem, przestrzenią i światłem, wykorzystując najnowsze osiągnięcia techniki i materiały.



Od 2000 r. powstaje cykl obrazów czarno-białych, reagujących na światło, od 2001 r. cykl malarstwa olejnego w dużym formacie (główny obraz pt. „Tkanka czasoprzestrzenna” – 700 cm) „Czas, grawitacja, superstruny” – cykl 20 tablic w technice olejnej dotyczących zachowania „punktu” na płaszczyźnie, od 2003 r. cykl malarstwa zatytułowany „Czas” (technika olejna). Od 2003 r. powstaje cykl grafik, obrazów i rysunków, który zapoczątkował nową filozofię tworzenia dzieł bezczasowych, których najważniejszym momentem jest „TERAZ” (chwila obecna) i od tego momentu artystka przestaje stosować liniowy rodzaj datowania. W 2005 r. rozpoczęła serię

graficzną pt. „Struna, Brana...”. Cykl składa się między innymi z 2000 „wzorów emocjonalnych” – jest to próba poszukiwania podstawowego wzoru i obrazu emocji, a także symboliczne zaludnienie ziemi różnymi uczuciami. W 2007 r. powstała „Maszyna do skręcania myśli w 3D”. Jest to projekt artystyczny, który rozpoczął się od skonstruowania specjalnego stojaka. Na stojak została nawinięta płaszczyzna, a następnie skręcono ją. Na tym etapie, obiekt łączy rzeźbę grecką z Haute Couture. Faza ta jest stopniowo dokumentowana fotograficznie. W drugiej fazie obiekt staje się rzeźbą pokrytą „polichromią” temperową. Po tej fazie następuje drugi proces dokumentacyjny. Następny etap polega na zniszczeniu formy 3D i uproszczeniu jej do dwuwymiarowej płaszczyzny.

Na końcu tego procesu artystycznego pojawiają się dwie możliwości. Pierwsza to „zaistnienie czwartego wymiaru przestrzennego”, dającego artystce możliwość pracy nad nim poprzez tworzenie i malarstwo olejne, a druga z nich to połączenie malarstwa olejnego z grafiką komputerową. Ostatnim krokiem jest scalenie wielowymiarowości w jedność.

Prace: rysunki, obrazy olejne, grafika, malarstwo komputerowe znajdują się w Niemczech oraz w kolekcjach zagranicznych w Belgii, Holandii, Francji, Włoszech i Kanadzie.

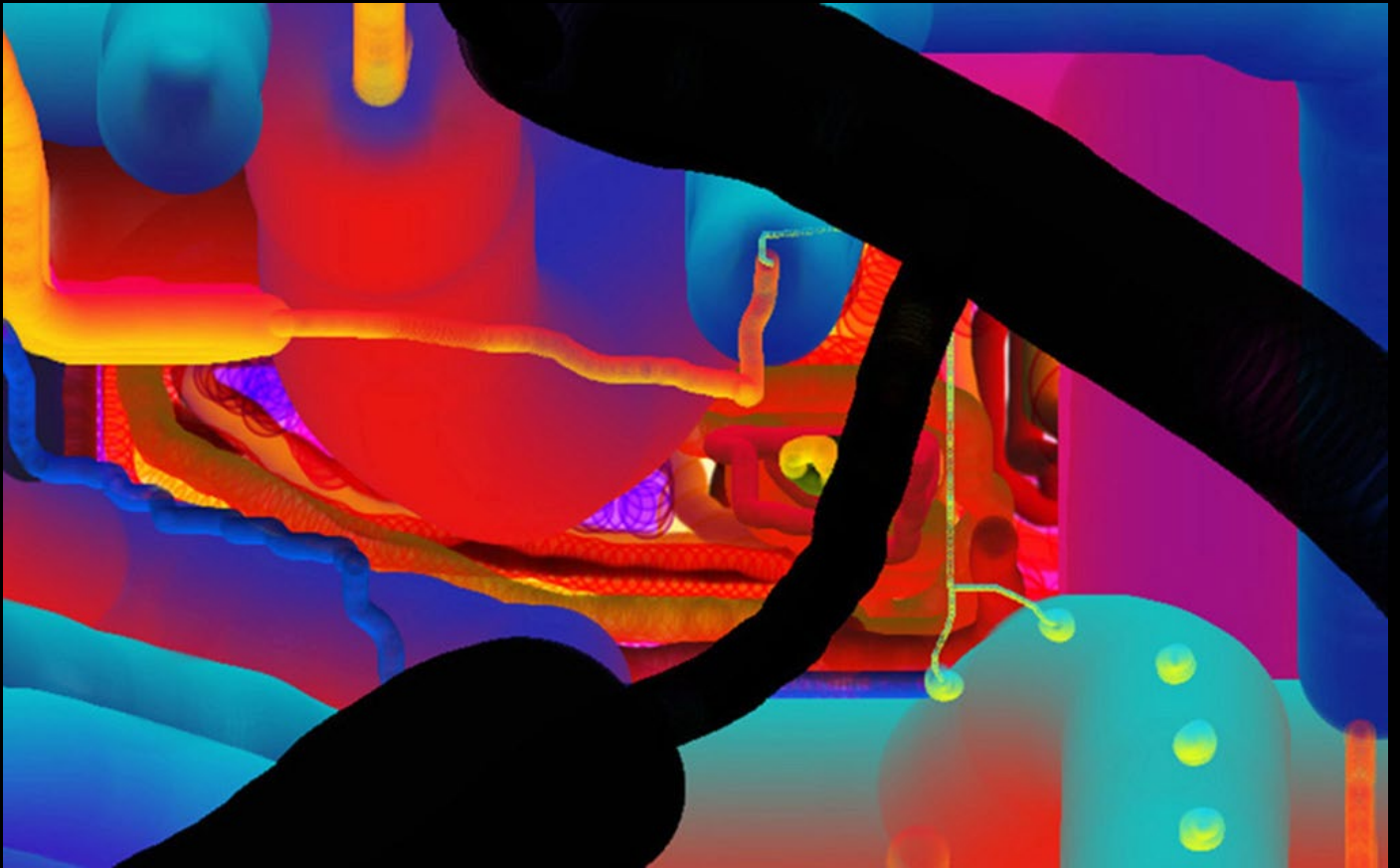
Film o artystce: „Księga Hioba”, reż. Jacek Skorupski, 1992 r. TVP Katowice



„0043 Grecja – Haute Couture”, obiekt przestrzenny

„Rajski ptak”, grafika komp., malarstwo, dyptyk



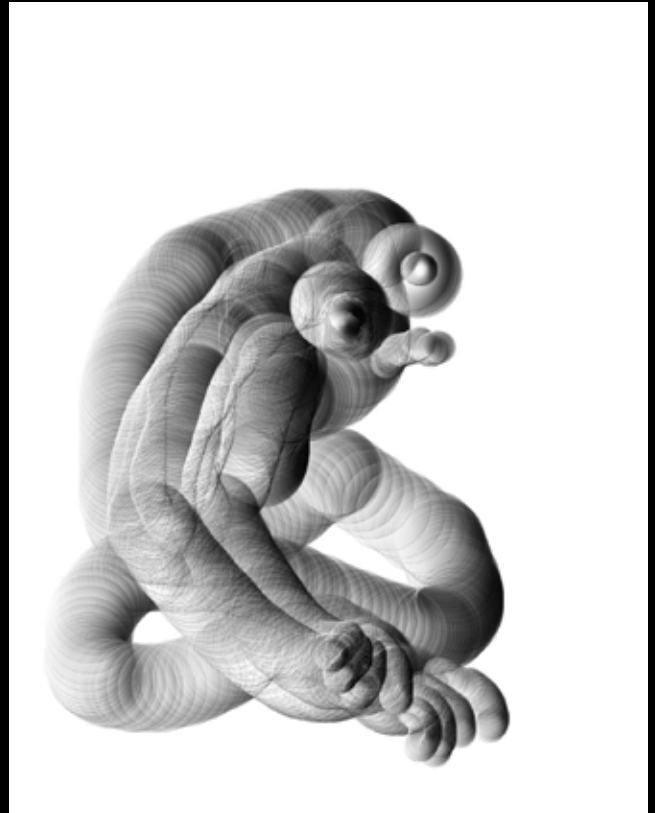


„Brama 03”, grafika komp.

Z cyklu „Powstanie wszechświata”, tytuł: „PW02”, papier +Ink



„Wzór75”, grafika komp.



Młot na czarownice

Henryk Kocot



Pedro Berruguete – Św. Dominik przewodniczy uroczystości palenia na stosie. Fot. arch.

Podjeżrzeni o czary i konszachty z diabłem musieli zginąć. Sądy inkwizycyjne nie znały innej kary, niż oczyszczający stos. Historycy do dziś spierają się o liczbę uśmierconych przez in-

kwizycję. Niektórzy mówią o 70 tysiącach, inni nawet o 9 milionach. Większość dokumentów nie przetrwała do naszych czasów.

W 1484 roku papież Innocenty V

ogłosił encyklikę „Summis desideratium”, potępiającą uprawianie czarów i współdziałanie z siłami nieczystymi. Trzy lata później ukazało się dzieło dwóch inkwizytorów Instiorisa i Springera – „Młot na czarownice”. Autorzy wzywali do podjęcia zdecydowanej walki z mocami piekielnymi, a zwłaszcza z czarownicami i czarownikami. Stronice tego dzieła przepełnione są wprost chorobliwą nienawiścią do kobiet, które stanowiły miały siedlisko wszelkiego zła. Tak rozpoczął się okres polowania na czarownice. Wkrótce zapłonęły stosy.

Sędziowie w sutannach nie byli bez serca. Bywało, że nakazywali ściąć głowę ofierze zanim podpalono stos. Czasem miłosierdzie okazywali też kaci i dusili ją przed podłożeniem ognia. W średniowiecznej Anglii, aby skrócić cierpienia ofiary – smarowano jej ciało i ubranie smołą lub olejem.

Tortury

Przed spaleniem na stosie kobieta podejrzana o czary poddawana była mniej lub bardziej wyrafinowanym torturom przy użyciu całej gamy przemysłnie skonstruowanych instrumentów. Wspólną cechą tych narzędzi była diabelska fantazja, pozwalająca zadać śmierć torturowanym dopiero po długich i trudnych do opisanego męczarniach.

W szerokim zastosowaniu były tzw. gruszki doustne, doodbytnicze i dopochwowe. Pierwszymi częstowano kaznodziejów, bluźnierców i wyznawców innej, niż chrześcijańska wiary. Gruszki doodbytnicze przeznaczone były dla winnych sodomii, a zwłaszcza homoseksualistów i lesbijek. Największą rozmiarami gruszkę, czyli dopochwową, rezerwowano dla kobiet oskarżonych o współżycie z diabłem lub jego uczniami.

Tortury przy użyciu gruszek polegały na tym, że wpychano je siłą i skręcając śrubę rozszerzano, aż do rozerwania odpowiednich części ciała.

Czarownice i kochanki diabła poddawane były również próbie wody i ognia. Pierwsza z tortur – na razie bezbolesna – polegała na ważeniu. Na jednej szali wagi sadzano kobietę, a na drugiej odważniki, kierując się specjalną, inkwizycyjną tabelą. Gdy ciężar ciała oskarżonej był mniejszy – szła pod to-

pór lub na stos. Podobnie rzecz się miała, gdy wrzucano oskarżoną do wody ze skrzepowanymi rękami i nogami. Jeśli jakimś trafem udało się jej utrzymać na powierzchni, oznaczało to, że miała kontakt z szatanem. Jeśli utonęła – uniewinniano martwą.

Podczas próby ognia kazano posądzonym o czary przechodzić między dwoma płonącymi stosami. Gdy na cieple nie zauważono oparzeń – darowano im winę. Stosowano także kadzie z gotującą się wodą lub oliwą. Czarownica musiała zanurzyć w niej rękę i wyjąć określony przedmiot. W przypadku pojawienia się pęcherzy oparzeniowych ofiara skazywana była na śmierć.

Szczególnym upodobaniem wśród niemieckich inkwizytorów cieszyła się kołyska Judasza. Była to zbudowana z drewna piramida. Skrzepowaną, nagą ofiarę umieszczano nad ostrym szpicem wierzchołka piramidy w taki sposób, by odbył lub pochwa były powoli rozrywane.

Aby wymusić potrzebne zeznania stosowano także łamanie kołem, lawy do wyciągania, zgniatacze głowy lub randkę z dziewicą norymberską, która swym wyglądem przypominała sarkofag w kształcie kobiety. Wewnątrz najezona była ostrzami. Raniły one ofiarę tak, by nie uszkodzić istotnych dla życia organów.

Martin van Maele – Czarownica. Fot. arch.



Inkwizycja w Polsce

Za początek jej funkcjonowania na ówczesnych terenach Polski uważa się działalność arcybiskupa Janusza (1258–1271) i innych biskupów polskich, wspólnie z książętami, wymierzoną przeciwko ruchowi biczowników. Jednakże pierwszych stałych inkwizytorów mianował dopiero papież Jan XXII w 1318 r.

Inkwizycja w Polsce zaistniała stosunkowo późno i nigdy nie rozwinęła się na taką skalę jak w krajach Europy zachodniej. Nie była również porównywalna z wymiarami okrucieństwa i liczbą ofiar. Zdecydowała o tym niezwykle silna pozycja biskupów w Kościele polskim. Ich zdecydowana postawa oraz zaangażowanie i autorytet na arenie politycznej, wsparte powagą i środkami państwa, przesądziły o niepowodzeniach heretyków w średnio-wiecznej Polsce. Niemniej ze względu na swoją pozycję społeczną największe zasługi w walce z czeskimi heretykami położył biskup krakowski, kardynał Zbigniew Oleśnicki.

Profesor Henryk Samsonowicz w książce pt. „Polska Jana Długosza” tak przedstawia kardynała: „Ten ścigał nie tylko (karami) kościelnymi, ale także mieczem heretyków zarażonych herezją czeską, a chwytając ich, łajac i usuwając, nie tylko swoją diecezję, ale całe Królestwo Polskie zachował czyste od haniebnej zarazy”.

Rola biskupich sądów inkwizycyjnych przeciwko biczownikom, heretykom oraz przedstawicielom szerzenia się idei reformacji malała z roku na rok. Z uwagi na brak wsparcia ze strony władz świeckich i zdecydowany opór znacznej części wyższych warstw społeczeństwa nawet królewski edykt Zygmunta I Starego przeciwko luteranizmowi pozostał martwą literą prawa.

O ile ofiar spośród heretyków i biczowników było stosunkowo niewiele, to w przypadku o podejrzenie uprawiania czarów znacznie więcej. Przy niepewnych i dość ostrożnych obliczeniach określa się liczbę ofiar na terenach Rzeczypospolitej na kilka tysięcy. Bohdan Baranowski w książce pt. „Procesy czarownic w Polsce w XVII i XVIII wieku” oszacował liczbę ofiar polowań na czarownice na ok. 10 tys. Natomiast w artykule, który ukazał się w magazynie



Gruszka. Muzeum Ziemi Lubuskiej. Fot. arch.

nie Focus nr 2/2001 jedna z autorek, pisząca dość prokościelnie poprzez minimalizowanie znaczenia tych zbrodni, oszacowała jednak liczbę ofiar w Polsce na 15 tysięcy.

Eskalacja polskich procesów o czary przypada na XVII w., a więc na wiek kontrreformacji. I właśnie w tym czasie zapłonęło w Rzeczypospolitej najwięcej stosów.

Czarownica z Czeladzi

Marian Kantor-Mirski doszukał się relacji procesu o czary w kościelnym archiwum w Czeladzi. On pierwszy napisał

artykuł, a na jego podstawie bazowali późniejsi publicyści. Otóż w 1736 r. w wyniku ulewy jaka panowała nad Czeladzią przez okrągłe 73 dni, miasto nawiedziła powódź. Woda zalała wszystkie pola uprawne leżące nad Kryniczanką. Powódź spowodowała upadek miasta. Przez dwa lata wywożono kamienie, głązy, muł z ulic i pól. Woda znaczne szkody wyrządziła ówczesnemu wójtowi Bartłomiejowi Sojeckiemu, który był właścicielem zalanych łąk wójtowskich.

Sojecki namówił burmistrza Czeldzi, Wojciecha Żądlińskiego i rajców miejskich do osądzenia o czary swojej sąsiadki, bogatej wdowy, Katarzyny Włodyczkowej. Mieszkała ona w domu na podwalu (obecnie ul. Podwalna). Jej domostwo nie ucierpiało od powodzi, a samej wdowie dobrze się powodziło. Zawzięty wójt nie mógł tego przeboleć. Jego knowania okazały się skuteczne.

Włodczykową oskarżono o czary i skazano na stos. Kata sprowadzono aż z samego Wrocławia. Ściął jej głowę na rynku, przed Ratuszem. Ciało następnie spalono w okolicach czeladzkiej góry Borzecha.

W rok po śmierci matki synowie odwołali się do komisarskiego siewierskiego sądu biskupiego, który 10 listopada 1741 r. uniewinnił pośmiertnie Katarzynę Włodczykową. Nadto wójta Sojeckiego wtrącono na 2 miesiące do więzienia w Ratuszu i dostał karę finansową w wysokości 60 grzywnień. Identyczny los spotkał burmistrza Żądlińskiego. Aby sprawiedliwości stało się zadość, w 1742 r. mieszkańcy Czeldzi wybrali na burmistrza brata ściętej Katarzyny – Józefa Włodzykę.

Zbrodnia sprzed 270 lat ponownie odżyła w Czeladzi w kwietniu 2010 r. Na skwerze przy skrzyżowaniu ulic 1 Maja i Bytomskiej, u podnóża kościoła p.w. świętego Stanisława Biskupa i Męczennika, miał stanąć pomnik – rzeźba czarownicy. Był to dobry pomysł władz miasta i doskonała promocja turystyczna Czeldzi. Niestety, pomnik kosztujący blisko 93 tys. zł jest już gotów od 3 lat, by zająć swoje miejsce, nadal pozostaje w ukryciu. Zamiast czarownicy mają być trzy anioły. Widać, iż w mieście nadal funkcjonuje duch inkwizycji.

In memoriam. Krzysztof Jędrzejko (1945–2012)

Joanna Wójcik

Profesor Śląskiego Uniwersytetu Medycznego i współpracownik naszego czasopisma Krzysztof Jędrzejko zmarł 17 czerwca 2012 roku w Sosnowcu. Poniższy artykuł będzie poświęcony pamięci Jego Osoby nie tylko jako współpracownika naszego czasopisma, ale także Kogoś wyjątkowego i wszechstronnego.

Krzysztof Andrzej Jędrzejko był botanikiem, biologiem, geobotanikiem, profesorem nauk biologicznych. Przez wiele lat pełnił funkcję kierownika Katedry i Zakładu Botaniki Farmaceutycznej i Zielarstwa Wydziału Farmaceutycznego z Oddziałem Medycyny Laboratoryjnej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach. Był również Prodziekanem Wydziału Farmaceutycznego i Oddziału Analityki Medycznej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w latach 1993–1996.

Żona Profesora, Profesor Ewa Jędrzejko jest kierownikiem Zakładu Współczesnego Języka Polskiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Synowie Profesora również pracują naukowo. Starszy, Paweł Jędrzejko jest doktorem nauk humanistycznych, literaturoznawcą-amerykanistą i translatologiem. Młodszy, Maciej Jędrzejko jest doktorem nauk medycznym i ginekologiem.

Profesor Jędrzejko urodził się w 1945 roku w Kozach (województwo śląskie). Ukończył I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika w Bielsku-Białej, po czym rozpoczął studia na Wydziale Biologii i Nauki o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tytuł magistra otrzymał w 1968 roku i rozpoczął studia doktoranckie na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, gdzie w 1976 roku uzyskał tytuł doktora nauk przyrodniczych. W roku 1986 Krzysztof Jędrzejko uzyskał stopień doktora habilitowanego na tym samym Uniwersytecie. Tytuł profesora nadzwyczajnego Śląskiego Uniwersytetu Medycznego uzyskał w 1991 roku, a po 16 latach tytuł profesora zwyczajnego.

Od 1982 roku Profesor Jędrzejko był kierownikiem Pracowni Botaniki Farmaceutycznej i Leku Roślinnego, a w latach 1989–1993 pełnił funkcję kierownika Zakładu Botaniki Farmaceutycznej. W 1994 roku został powołany na stanowisko kierownika Katedry i Zakładu Botaniki Farmaceutycznej i Zielarstwa ŚUM. W latach 1993–1999 był również pracownikiem filii Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej na stanowisku profesora. W latach 1993–1996 pełnił funkcję Prodziekana Wydziału Farmaceutycznego i Oddziału Analityki Medycznej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Sosnowcu, ponadto funkcję członka Senackiej Komisji ds. wydawnictw (dwie kadencje od 1993 r.), Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej dla Studentów Śląskiego Uniwersytetu Medycznego (od 1996), rzecznika ds. Studentów (od 1993 r.) oraz przez wiele lat uczestniczył w działalności różnych komisji Wydziałowych, m.in. ds. programu nauczania.

Działalność naukowa Profesora jest świadectwem niezwykle bogactwa intelektualnego. Krzysztof Jędrzejko jest autorem ponad 400 opracowań naukowych i badawczych, w których skład wchodzi wiele artykułów, monografi, podręczniki, skrypty, referaty, komunikaty, a także recenzje i piśmiennictwo popularno-naukowe.

Do najważniejszych tematów, którymi zajmował się Profesor należały cztery główne dziedziny przyrodoznawstwa, tj. florystyka, mszaki, rośliny lecznicze i badania geobotaniczne. Najistotniejsze osiągnięcia w działalności naukowej Krzysztofa Jędrzejki to między innymi zbadanie zróżnicowania gatunkowego roślin leczniczych Makroregionu Południowego

Polski oraz przedstawienie w formie leksykonograficznej wykazu roślin i surowców leczniczych stosowanych na terenie całego kraju. Profesor określił także skład zasobów naturalnych flory mszaków obszaru Wyżyny Śląskiej oraz zbadał udział gatunkowy mszaków w zbiorowiskach roślin naczyniowych terenów Makroregionu Południowego Polski. Profesor prowadził także działalność praktyczną przyczyniając się do powołania rezerwatów przyrody i użytków ekologicznych.

Profesor Jędrzejko prowadził także działalność organizacyjną. Był członkiem komisji senackich oraz wydziałowych, jak również członkiem krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych. Był także honorowym członkiem Polskiej Izby Zielarsko-Medycznej i Drogeryjnej oraz Polskiego Towarzystwa Aromaterapeutycznego.

Krzysztof Jędrzejko współpracował także z licznymi czasopismami naukowymi i społeczno – kulturalnymi, zasiadał w radach redakcyjnych, pisał liczne artykuły popularne i recenzje. Chcielibyśmy szczególnie zaznaczyć i podkreślić fakt, iż był autorem wielu tekstów publikowanych na łamach „Nowego Zagłębia”. Był także działaczem społecznym. Pełnił funkcję opiekuna studenckich kół naukowych, ciesząc się przy tym sympatią i szacunkiem studentów. Profesor udzielał się również na Uniwersytecie Trzeciego Wieku działającym przy Uniwersytecie Śląskim w Katowicach.

Za swoją działalność Krzysztof Jędrzejko został wyróżniony licznymi nagrodami naukowymi i dydaktyczno-wychowawczymi przez Rektorów UŚ oraz ŚUM, a także Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej. Uhonorowany m.in. Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Krzyżami Zasługi – Złotym i Srebrnym, Srebrną Odznaką „Zasłużony w rozwoju Województwa Katowickiego”, Złotą i Srebrną Odznakami Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika, Srebrną Odznaką „Za zasługi dla Uniwersytetu Śląskiego”. W 2008 roku otrzymał odznakę – „Zasłużony dla Śląskiego Uniwersytetu Medycznego”. Był kilkakrotnie wyróżniany za działalność naukową i dydaktyczną przez Rektora Uniwersyte-

tu Śląskiego (1970–1977). Za działalność naukową otrzymał nagrodę I stopnia, za działalność dydaktyczną nagrody: indywidualną II stopnia oraz zespołową I stopnia przyznane przez Rektora ŚUM. W 2008 roku otrzymał Nagrodę Miasta Sosnowca w dziedzinie kultury za 2007 rok – „Za dorobek publicystyczno-naukowy”, a w 2008 r. otrzymał Honorowe Wyróżnienie „Platan 2008” przyznane przez Zarząd Miłośników Historii i Zabytków Kóz. .

Krzysztof Jędrzejko był także poetą. Poezja była Jego pasją i wielkim wyzwaniem. Tom wierszy Jego autorstwa *W blasku słońca – w poświęcie księżycy* (Sosnowiec 2007) spotkał się z dużym uznaniem.



Profesor ma także udział twórczy w zbiorze poetów botaników *Wyglądając poza zieleni* (Suwałki 1998). Publikował także liczne utwory w *Kurjerze Miejskim* (Sosnowiec) w serii „Zioła i Poezja” – oraz w innych czasopismach.

Krzysztof Jędrzejko pasjonował się także podróżami i turystyką. Kochał podróżować i poznawać nowe miejsca. Był Człowiekiem niezwykle otwartym na innych ludzi i otaczający Go świat, posiadał niezwykle łatwość nawiązywania kontak-

tów i rozmowy z ludźmi. Potrafił gromadzić wokół siebie osoby w różnym wieku i z różnymi zainteresowaniami oraz doświadczeniami.

Profesor Jędrzejko był Osobą z pasją do wykonywanej pracy, dzięki czemu codzienne obowiązki zawodowe sprawiały mu radość i satysfakcję. Potrafił wykorzystywać swój czas w sposób maksymalny, aby możliwie jak najwięcej zrobić. Był Człowiekiem stale uśmiechniętym i pełnym radości, nawet podczas długotrwałej choroby, z którą się zmagał wiele lat. W przezwyciężeniu bólu i dolegliwości pomagała mu przede wszystkim Rodzina, ale także Jego własna filozofia życia, którą zarażał innych ludzi i napawał ich nadzieją oraz pozytywnym stosunkiem do świata. Podejście Profesora do życia zakładało funkcjonowanie w zgodzie z naturą i cyklem przyrody, a holistyczna perspektywa patrzenia na świat pomagała Mu w całościowym oglądzie siebie jako tworu natury.

Rodzina Profesora podkreśla fakt, iż Krzysztof Jędrzejko nigdy nie obawiał się własnej śmierci i odejścia. Poczucie życiowego spełnienia pomogło Mu w przezwyciężeniu świadomości własnej choroby i jej konsekwencji. Profesor traktował odchodzenia jako „nieumieranie”, jako nieunikniony proces biologiczny, medyczny, aczkolwiek nie zamykający życia człowieka w sensie filozoficznym.

Dla Profesora, jak przyznaje Rodzina, najważniejsza w życiu była miłość. Przede wszystkim ta osobista, do ukochanej Żony, Synów i Wnuka. Był Człowiekiem niezwykle ciepłym. Z Profesor Ewą Jędrzejko poznał się już w szkole podstawowej i uczucie to trwało do śmierci. Syn

Profesora określa związek Rodziców jako „małżeństwo uśmiechnięte i radosne”.

Miłość w życiu Profesora to także Jego praca dydaktyczna, Jego Studenci i Współpracownicy, ale także miłość do tego, co się robi i do świata w ogóle.

Nasza Redakcja niezwykle ceniła sobie współpracę z Profesorem. Był naukowcem, Człowiekiem z perspektywą multikulturową, wrażliwym na poezję i innych ludzi. Najwyższej rangi Specjalistą w swojej dziedzinie. Będzie nam Go brakować...

Ile korzyści z Euro 2012

Polacy opuścili swoje mieszkania i domy, setki tysięcy kibiców i ich rodzin wypełniło stadiony, strefy kibica, centra miast. W tych samych miejscach przebywało sześćset tysięcy gości z ponad 100 krajów. Tak jak za szybko się zaczęło, ponieważ nie zdążyliśmy ze wszystkim, tak za szybko się skończyło. Nie tylko ponieśliśmy, według specjalistów, klęskę sportową – przecież nie wyszliśmy z grupy, a chociaż na taki sukces każdy Polak po cichu liczył, to jeszcze zdaniem innych specjalistów nie zarobiliśmy tyle, ile planowano. Oczywiście że dzisiaj i teraz natychmiast, jak żądają niektórzy politycy, nie da się zrobić bilansu i obliczyć strat i zysków. Korzyści są przecież długoterminowe i tak trzeba ten problem rozważyć.

Na zyski w krótkim okresie liczyli właściciele hoteli, restauracji, handlowcy.

I doczekali się, ale głównie ci, u których mieszkali piłkarze, ich rodziny, przedstawiciele UEFA. Nie odnieśli korzyści właściciele hoteli, którzy nieuzasadnienie podnieśli ceny pokoi. Kibice woleli przyjechać pociągiem lub lecieć tanimi liniami lotniczymi i wrócić do własnego łóżka, niż płacić 600 złotych za jeden nocleg. Cóż, drodzy hotelarze, trzeba myśleć. Każdy student, który uczy się ekonomii, wie, że działa prawo popytu i podaży. Cena w gospodarce rynkowej kształtuje się na rynku, a o zysku myślimy obecnie w długim okresie czasu, a nie dzisiaj, już natychmiast, bo wówczas kibic śpi na dworcu lub w pociągu, a nie w naszym hotelu. Właściciele hoteli, w których spali piłkarze, mają już dzisiaj zapewnioną rezerwację na długi okres, bo przecież każdy prawdziwy kibic chce spać w łóżku piłkarza, który strzelił gola na EURO 2012.

Jak donosi prasa, zarobiły duże sieci np. McDonald's w sferze kibica i producenta piwa, a szczególnie te firmy, które sponsorowały polskich piłkarzy. To zyski przedsiębiorstw, korporacji, ale „zarobiliśmy” MY wszyscy i Polska razem z nami. Z powodu mistrzostw skumulowało się wiele inwestycji w jednym czasie. Nowe autostrady (wiem, wiem w ostatniej chwili otwarcie A2 łączącej Warszawę z Europą miało rangę symbolu), drogi, obwodnice, dworce, lotniska,



hotele, pewnie powstałyby i bez EURO 2012, ale nie tak szybko. Wiem, że większość z nich powstała w części za pieniądze z Unii Europejskiej, jednak dla Polski jest to szansą na awans cywilizacyjny. Czy chcemy, czy nie, jesteśmy w Europie i w miejscu łączącym „Starą UE” z Ukrainą, Rosją i innymi krajami, których rynkami zainteresowana jest Europa Zachodnia, a powinniśmy być i MY.

Autostrady, drogi i lotniska służą nie tylko indywidualnym obywatelom, aby mogli szybciej się przemieszczać, służą przedsiębiorstwom, które przecież transportują swoje towary i przyspieszają rozwój infrastruktury (stacje benzynowe, hotele, restauracje). W pobliżu autostrad powstają centra logistyczne międzynarodowych firm. Łatwiej jest transport z zachodu Europy na wschód i ze wschodu na zachód. Tych korzyści nie da się obliczyć i wycenić dzisiaj, bo przecież będą oddziaływały w długim okresie.

Nie można pominąć efektu wizerunkowego tych igrzysk. Nie chodzi mi wcale o doskonałą organizację, bo tym chwałą się wszyscy. Wielu kibiców z tych ponad 100 krajów było w Polsce po raz pierwszy. Zobaczyli nie tylko stadion, ale dworzec, lotnisko, hotel, jeżeli wywieźli dobre wrażenie, to wrócą i to nie tylko oni, ale także ich rodziny, znajomi. Może nareszcie wzrośnie rola polskiej turystyki w tworzeniu PKB. Mamy piękne i czyste regiony, które mogą przyjmować zagranicznych turystów, kiedy Polacy wybierają Egipt, Cypr, Grecję i Turcję.

Właśnie jestem na Mazurach i praktycznie w każdej miejscowości coś się

buduje. Hotele, domy, gorzej z drogami, ale mam nadzieję, że na nie też przyjdzie czas. Jeszcze kilka lat temu obok polskich studentów i zatwardziałych żeglarzy odpoczywali tu głównie Niemcy w Hotelu Gołębiowski w Mikołajkach. Dzisiaj są Rosjanie, Holendrzy, Czesi. Prywatnie nie jestem zadowolona, bo przyjeżdżam tu po ciszę i spokój, a powstające hotele i pensjonaty tego nie gwarantują, lecz jako świadomy obywatel myślę, że to, co dobre dla kraju, w efekcie jest ważniejsze niż to, co dobre tylko dla mnie.

Jestem przekonana, że w długim okresie korzyści z EURO 2012 przewyższą koszty, które już dzisiaj można oszacować, a jak nasi piłkarze pod wodzą nowego trenera zaczną wygrywać, to i może nakłady na te piękne stadiony też się zwrócą.

Ja jestem niepoprawną optymistką i w to wierzę, a Państwu życzę pogodnych i udanych wakacji w Polsce, żeby zobaczyć, co się zmieniło dzięki EURO 2012.

Jadwiga Gierczycka

Młotkiem w łeb



Bibliofofia i bibliofilia

W połowie lat 70. wprowadziłem się do mieszkania, którego poprzedni lokator zostawił długą na jakieś 120 cm pojedynczą półkę z książkami. Woluminów niewiele, bo jakieś pół setki. Trochę standardowej klasyki, trochę chlamu, kilkanaście tytułów dla mnie ciekawych, bo – w przeciwieństwie do klasyki – w mojej liczącej już wówczas około tysiąca tytułów biblioteczce jeszcze nieobecnych. Pospieszyłem więc z pytaniem, dlaczego tej półki i jej zawartości nie zabiera, mając oczywiście nadzieję, że coś tanio

odkupię lub wyproszę za darmo. Odpowiedź zaskoczyła mnie kompletnie:

– A po co mi to? Książki są już nie modne. Zrób pan z nimi, co chcesz!

Nie spodziewałem się takiego *dicti acerbi*: swoją przyszłość, podobnie jak tamtą teraźniejszość, wiązałem z literaturą. Czytanie było moim nałogiem, wtedy uważanym za nałóg szlachetny, gdyż wówczas wciąż jeszcze „nie wypadało” nie czytać. O książkach się dyskutowało, a przynajmniej rozmawiało. Książka trudniejsza – a mam tu na myśli tylko literaturę piękną – nie była odrzucana, lecz mobilizowała do sięgnięcia po lekturę, których poznanie pozwalało ją lepiej zrozumieć. Kto zaś spóźniał się z czytaniem nowości, odczuwał potrzebę wytłumaczenia się, że akurat czytał coś innego, na przykład odświeżał sobie jakąś szkolną lekturę, bo:

– No wiesz, naszła mnie chętka przeczytania jej po swojemu... I wyobraź sobie, są tam rzeczy niesamowite, które w liceum zupełnie pominęliśmy!

Oczywiście idealizuję. Byli przecież i tacy, co tylko kupowali książki, a wiedzy o nich, by nie wyjść na matołów, szukali w czasopiśmie. Mam wrażenie, że dzisiaj nie ma już wielu takich „czytelników”. Posiadanie książek (jak i ich czytanie) nie jest uważane za niezbędną element wyższego statusu społecznego, przynależności do inteligencji. Czytanie książek większości wydaje się jakimś dziwactwem, a budowanie prywatnych bibliotek szaleństwem. I co z tego? Kiedyś większość nie umiała czytać i pisać, potem – w XIX w. – wmówiono jej, że to każdemu niezbędne (a niezbędne było wyłącznie państwu, by skutecznie zarządzać obywatelami-niewolnikami), a u schyłku XX w. w egalitarnym szale – mającym zasłonić to, że demokracja jest fikcją, kolejną chorą ideologią – pogoniono tę większość na uczelnie wyższe. Ponieważ wcześniej okazało się, że powyżej szóstej klasy szkoły podstawowej ta większość nie jest w stanie wiele pojąć, obniżono poziom nauczania na wszystkich szczeblach edukacji. A że od czytania boli głowa (dlatego np. instrukcje obsługi coraz większej liczby urządzeń domowego – i nie tylko – użytku posługują się obrazkami; poza tym łatwiej autorom tych instrukcji przychodzi rysowanie, i to za pomocą goto-

wych ikon z komputera, niż pisanie), szkoła w ramach wspomnianej obniżki wymagań, w pierwszej kolejności wycofała się z kształtowania nawyku czytania (bo głowy bolały też nauczycieli).

Czy więc żyjemy obecnie w epoce bibliofobii? I owszem, ale wywołanej sztucznym i rozdętej wraz z monstrualnym balonem masowego kształcenia. Jeśli nie ten kryzys gospodarczy, to następny ten balon przekłuje i proporcje między bibliofobią a bibliofilą wrócą do wyznaczonych przez prawa naturalne i boskie. Bibliofilii najmniej zaszkodziły fizyczne akty wandalizmu i nienawiści – od spalania biblioteki aleksandryjskiej aż po palenie książek przez Niemców i Sowieci w I połowie XX w. Wbrew pozorom nie zaszkodziły też wszelkie rodzaje cenzury – polegającej nie tylko na zakazywaniu publikacji i niedopuszczaniu do druku, ale także na fizycznej eliminacji, czyli mordowaniu autorów (i na wielką skalę czytelników!) – którą z największą zajądło stosowały dwa największe i obydwa zbrodnicze totalitaryzmy XX w.: nazizm i komunizm. Bibliofilii najbardziej szkodzą sami pisarze, gdy we własnych głowach palą samodzielne myśli, by nigdy ich nie opublikować. To się już zdarzało, to miało miejsce w czasach nazizmu i komunizmu, to trwa niewątpliwie w obecnej Rosji i w Chinach i w jeszcze wielu krajach oraz, niestety, wciąż także u nas. W III Rzeczypospolitej. Jako dzielnictwo peerelu i jako wymóg „poprawności politycznej” narzucanej nam przez Unię Europejską, a jest podsycane szczególnie przez tych, którzy na takim ognisku we własnej głowie podgrzali swoje kariery pisarskie i dziennikarskie, realizując polityczne oczekiwania lub zamówienie. Gdy nasi poeci i prozaicy (sam nie jestem bez grzechu, rzucam więc kamieniem także w siebie) miast mierzyć się z teraźniejszością, umykają jak zające ku sielskim krajobrazom, owijają swoje wersy wokół własnych pępów czy zagrzebują się w bezpiecznych lamusach przeszłości, nie można się dziwić, że prawdziwy czytelnik – czyli nie ten potencjalny, już ukształtowany przez szkołę i media na bibliofoba – dostaje ostrego ataku bibliofobii w zetknięciu z tzw. literaturą współczesną. Zaś kiedy któryś z pisarzy wygarnie – jak to się kiedyś mówiło – z grubej rury, prawdziwy

czytelnik rusza do księgarni, natomiast czytelnik potencjalny szczeka zębami o szybę telewizora, którego kolory nagle przestały być takie kolorowe, jak zapowiadał producent urządzenia i nadawca codziennej przesłodzonej galaretki, i krzyczy szeptem do wewnątrz siebie (żeby sąsiedzi nie usłyszeli, że ma jakikolwiek problem):

– To nieprawda, to nieprawda, to nieprawda!

Mimo to nasi poeci i prozaicy chcą biec za czytelnikiem, chcą go gonić i złać na haczyki swoich książek. Ale na bezpieczną przynętę w postaci kwiatków, motylek, pępek, czy pukla włosów praprababki żadnego czytelnika nie złowią. Ani prawdziwy nie kupi ich książek, ani potencjalny. Potencjalnego widzą od tyłu, dlatego nie dostrzegają, że to już żaden czytelnik, bo to telewizor lub/i łazik internetowy, uczestnik oglądalności, a nie treści.

Co do mnie, to nie zamierzałem i nie zamierzam za nikim biegać. Jeśli prawdziwy czytelnik uznaje mój głos za ważny, sam mnie dogania. Jeśli nie zrobiłby tego ani jeden, to moja w jakiejś mierze uprzywilejowana pozycja autora byłaby uzurpacją. Na moje szczęście nie jest – dokładnej liczby mych czytelników nie podam, bo statystyki czytelnictwa („ogłębności”) nie prowadzę. Mogę wyrazić ją wzorem „1 + n”, gdzie „n” to liczba, którą wyliczą sami czytelnicy, jeśli między czytaniem książek znajdą chwilę na taki paratelewizyjny quiz.

W trakcie panelu „Sosnowiec Poetów. Uwierzytelnić swą nieprzynależność” (który odbył się w ramach VIII Sosnowieckich Dni Literatury, zorganizowanych przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Sosnowcu) wyraziłem – nieco zwięźle i dosadnie – zdziwienie tą chęcią „biegania za czytelnikiem” i wręcz schlebiania mu za pomocą różnych sztuczek. Lecz nawet to nie dało asumptu do głębszej dyskusji, której nie zapewnił wcześniej zaproponowany przez organizatorów temat panelu. A przecież ten temat, zakreślony przez cytaty z twórczości Aleksandra Wata, winien sprowokować – choćby do takich jak moje – prób pisarskich samookreśleń. Dodam, że w moim przekonaniu poeta zawsze jest zależny od języka, którym się posługuje i który jest w stanie zrozumieć czytelnik. Co nie

rokuje dobrze, bo niedouczony czytelnik będzie rozumiał coraz mniej, skoro ze szkół znikają lekcje języka polskiego i historii. A wracając jeszcze do Wata: jego romans z sowieckim komunizmem, zdrada Polski poprzez podpisanie 19 listopada 1939 roku oświadczenia „pisarzy polskich”, witających radośnie przyłączenie Zachodniej Ukrainy do Ukrainy Sowieckiej, a później próby uporania się z tym dopiero pod wpływem aresztowania przez NKWD i osobistego doznania realiów sowieckich, są pouczającą lekcją zarazem historii i hipokryzji. Może nie każdemu pasowało „uwierzytelnić swą nieprzynależność” pod Watą chorągiewką? Mnie prawie zupełnie nie, zresztą ocena mojej nieprzynależności i ewentualne jej uwierzytelnienie to rola moich krytyków, nie moja. Deklaracje artystycznej niezależności brzmiały zresztą nieco groteskowo z ust tych poetów, którzy domagali się wsparcia finansowego ich twórczości ze strony władz miasta, czyli *de facto* z kieszeni podatników. Ale nie dziwny się naszym poetom: dwa miesiące później, w końcu lipca tego roku sosnowieckie media doniosły, że drugoligowy klub piłki nożnej Zagłębie otrzyma dodatkowe dofinansowanie z budżetu gminy Sosnowiec w kwocie jakichś 2 milionów złotych. Tymczasem frekwencja na meczach tej drużyny wynosi gdzieś około jednego tysiąca kibiców (a może mniej?). Nasi poeci potrafią liczyć... I wychodzi im, że na jednego kibica miasto wydaje co najmniej kilkadziesiąt (jeśli nie kilkaset) razy więcej niż na jednego czytelnika, bo liczba około tysiąca to średni łączny nakład 2 tomików poetyckich...

Lecz przecież ponoć już w połowie lat 70. książki były niemodne... Czyli nie należało się nimi przejmować... Jeśli dać temu wiarę i przyjrzeć się historii Peerelu, to książkowa moda trwała jakieś dwadzieścia lat – od mniej więcej 1956 do 1976 roku... Po tej pierwszej dacie polscy pisarze jako tako wyłgali się z socrealizmu, a komunistyczny okupant zezwolił na edycję wielu przekładów pisarzy spoza żelaznej kurtyny. Rzecz jasna najważniejsi oponenci Sowietów nadal mieli szlaban, ale polska młoda inteligencja czytała wtedy zachłannie, choć tworzyła sobie bardzo kaleki obraz zarówno literatury pol-

skiej, jak i światowej. Domowe biblioteczki zapęłniały się tym szybciej, im szybciej malał metraż mieszkań w mierzalnie budowanych blokowiskach. Nie wszyscy wiedzieli, że cenzura wiele wykreśla także w dziełach zachodnich pisarzy lewicowych...

Z dzisiejszej perspektywy niektóre cenzorskie ingerencje wydają się śmiesznie. Kiedyś porównałem dwa wydania *Mistrza i Małgorzaty* Michała Bułhakowa w przekładzie pary tych samych tłumaczy: Ireny Lewandowskiej i Witolda Dąbrowskiego. W wydaniu z 1973 roku rozdział *Lot* rozpoczyna zawołanie Małgorzaty (która wysmarowała się kremem Asasella): „Niewidzialna! Niewidzialna!” W wydaniu z 1983 roku okrzyk ten mamy już w wersji pełnej: „Niewidzialna i wolna! Niewidzialna i wolna!”. W 1973 roku komuniści najwyraźniej nie byli pewni, czy na „zgniłym Zachodzie” w końcu nie wymyślą takiego kremu i „nie znikną” im obywateli-niewolników. Zatem dla pewności zadbali o to, by niewidzialność nie kojarzyła się z wolnością... Dziesięć lat później mieli już kadry cenzorskie znacznie lepiej rozeznane w technologiach „kosmetycznych”... oraz wiedzę o tym, że siła oddziaływania literatury pięknej na niedawnych analfabetów maleje z dnia na dzień...

Jeśli książki „przegrywały” od połowy lat 70., to niewątpliwie również z powodu upowszechniania się kolorowej telewizji. Do jej odbioru służył wówczas importowany z Związku Radzieckiego „kłakier” (ważył niewiele mniej niż pralka automatyczna) o nazwie „Rubin”. Wiele egzemplarzy tego telewizora dokonywało bibliofobicznego samozapłonu, jakby naśladując palenie książek oraz ogniska w głowach peerelowskich intelektualistów. No tak, przy okazji nieraz spaliły się też domowe biblioteczki, a w nich książki dopiero co przez komunistów wydane i nagle przez nich zakazane...

A później, po zmianie szyldu „PRL” na szyld „III RP”, bibliofobia całkowicie przestała być czymś wstydliwym, jak jeszcze wtedy, gdy w trakcie głównego dziennika telewizyjnego telewizzowie odwracali włączone telewizory ekranem do okien lub do ściany i gromadnie wychodzili na wieczorny spacer... Przyznam, że niecierpliwie czekam na po-

wrót tego zdrowego, ludowego zwyczaju.

Po pojawieniu się kilka lat temu lekkich i niemęczących oczu czytników książek elektronicznych (nazywanych w skrócie e-książkami) bibliofilia wreszcie zadomowiła się w świecie wirtualnym. I zaczęła w tej samej proporcji, co w rzeczywistości, równoważyć wirtualną bibliofobię. A moją bibliofilę coraz mocniej wspiera e-bibliofilia. Już teraz cała moja niemała domowa biblioteka zmieściłaby się w czymś wielkości paznokcia, ale wciąż wolę przestrzenne niewygody, jakie stwarzają w ciasnym mieszkaniu półki z „prawdziwymi”, bo papierowymi książkami... Może za kilka-kilkanaście lat w wersji papierowej będziemy przechowywać tylko najbardziej ulubione książki? Może, ale właśnie dlatego warto je kupić teraz. Gdybym na półce nie miał jeszcze niczego, to zacząłbym od czegoś „ku pokrzepieniu serc”.

Jerzy Suchanek

A PRAWO MIAŁO PRAWO ZNACZYĆ (dalszy ciąg życia w naszej rzeczywistości)

Zastanawiałem się, dlaczego właściciele firm, spółek prawa handlowego i innych zatrudniają coraz młodszych kierowników, prezesów zarządu, dyrektorów i menagerów. Czyli tak zwaną kadrę kierowniczą – zarządzającą różnego szczebla. W czasie gdy młodzi ludzie mają problemy z odbyciem stażu pracowniczego czy podjęciem pierwszej pracy, z obsadą stanowisk kierowniczych i zarządzających problemu nie ma. A dlaczego tak się dzieje, że często doświadczony pracownik z wieloletnim stażem pracy nie może awansować i nadal wykonuje swoją katorżniczą pracę, a na jego zwierzchnika zatrudnia się młodego szefa nieznanego firmy i jej programu działania? DLACZEGO?

Jeżeli to nie jest znajomy kogoś wpływowego albo kogoś, od kogo zależy pozyskiwanie zleceń przez daną firmę, czy członek rodziny lub syn albo córka przyjaciół właściciela, czy wysoko postawionego SZEFA, nad którym „para-

sol ochronny” rozkłada wszechmogący „SZEŃ”, to wytłumaczenie może być następujące. Młody człowiek na tzw. „dobrej” dąży do szybkiego wzbogacenia się i ma wiele potrzeb, za które musi „słono” płacić. Kupno mieszkania lub budowa domu w kredycie hipotecznym, zakup mebli, wyposażenia, samochodu, modnego ubioru, różnych gadżetów dla tzw. szpanu, a więc bezwzględnie dąży do pozyskania jak największej ilości gotówki za wszelką cenę. Dlatego jego wynagrodzenie za pracę często składa się z dwóch części. Pensja podstawowa plus premia motywacyjna, zależna od osiągniętych wyników, która jest często o wiele większa od pensji zasadniczej. Czy wiecie Państwo, co się dzieje w pracy z podległym takiemu „szefowi” personelem? Jest tragedia. Nie przestrzega się Kodeksu pracy, regulaminu pracy, godzin zatrudnienia ani jego warunków. Ludzie mają wypracować maksymalne zyski przy jak najmniejszych nakładach. Pracę się traktuje nie jak towar, za który należy odpowiednio zapłacić, ale jako niewolniczy tryb poddańczy, zastraszony widmem zwolnienia. Młody „szef” musi dostać wysoką premię, bonus finansowy czy wysoki procent od uzyskanych zysków. Jest drugi powód, dlaczego na te stanowiska zatrudnia się ludzi bez znajomości prawa, doświadczenia zawodowego, dla których takie określenia jak stosunki międzyludzkie, zasady współżycia społecznego czy wiedza fachowa są pojęciami obcymi, kompletnie niezrozumiałymi i często ich zaskakującymi. O co pracownikowi chodzi? Ma pracować, chwalić „szefa” i być zadowolony, że ma pracę.

Młody człowiek na stanowisku prezesa czy dyrektora, podpisuje wiele dokumentów, na których się często nie zna (księgowość, bank, umowy-kontrakty, weksle itp.) i za treści w nich zawarte odpowiada. To jego podpis widnieje na wielu dokumentach, a nie właściciela czy OBERSZEFA, który niejednokrotnie poleca mu podjęcie takich czy innych czynności, działań, zawarcia umów itd. W momencie kontroli to jego osoba jest pociągana do odpowiedzialności przez jednostki kontrolno-sprawdzające, policję, fiskusa, prokuratora, a w rezultacie sąd. Jeżeli uda mu się nie trafić za „kratki” lub otrzy-

mać wyrok w zawieszeniu jest szczęśliwy. A co WIELKI SZEŃ? NIEWINNY!!! On nic nie podpisywał, więc nie może ponosić odpowiedzialności. Ma problem, bo musi znaleźć następne „młodego wilka”, który szybko chce zrobić karierę zawodową i zarobić trochę pieniędzy na swoją i swojej rodziny egzystencję. Czy warto? Niektórym się udaje i pną się po szczeblach „kariery” zawodowej z wypaczonym pojęciem o podstawowych prawach pracowniczych, nieznane jest im pojęcie prawa pracy i etyki zawodowej. Jakim szefem będzie taki „młody wilk”? Na pewno świetnym dla swojego mocodawcy, ale broń mnie Panie Boże, abym musiał pracować pod takim kierownictwem. Niestety, żyjemy w państwie, w którym bezrobocie wzrasta, a chętnych do pracy, z różnymi, nawet wysokimi kwalifikacjami, jest coraz więcej i w każdej chwili mogą zająć nasze miejsce. Dlatego milczymy i z pokorą znosimy impertynencję i niekompetencję swoich bezpośrednich zwierzchników. Doświadczeni pracownicy nie mogą awansować, bo mają wady – często jest to wiek, doświadczenie zawodowe i znajomość przepisów prawa. Są po prostu niewygodni w tzw. bezmyślnym zarządzaniu „zasobami ludzkimi”, tylko dlatego że jest duży wybór pracowników na rynku pracy. I co? I nic!!!!

Kilkanaście lat temu przysłuchiwałem się pewnej rozmowie kwalifikacyjnej. Mój znajomy, u którego przebywałem, przeprowadzał rozmowę z kandydatem na swojego doradcę. Zwróciłem uwagę na sprawdzanie kwalifikacji kandydata. Zapytał, jaką Pan ukończył uczelnię? Kiedy padła odpowiedź, że Uniwersytet oraz podał nazwę wydziału, pracodawca zapytał, czy kończył pan studia dzienne, wieczorowe czy zaoczne. Kiedy padła odpowiedź, że dzienne, mój znajomy powiedział: To dobrze, pewnie pan coś umie.

Przytoczyłem ten przykład, bo długo się zastanawiałem, czy uzyskiwane po ukończeniu studiów tytuły magistrów czy inżynierów inne są na studiach dziennych, a inne na studiach wieczorowych czy zaocznych. Czy każdy rodzaj pozyskiwania przez studenta wiedzy jest inny na studiach dziennych, a inny na pozostałych. Czy jest lepszy

lub gorszy magister czy inżynier w zależności od systemu pobierania nauki? Czy ten po studiach wieczorowych czy zaocznych ma mniejszą wiedzę od tego po studiach dziennych, pomimo że słuchali tych samych wykładów, uczyli się z tej samej literatury, wykonywali te same ćwiczenia i jeszcze za to płacili??? O co chodzi? Zastanawiałem się nad tym, rozmawiałem z wieloma osobami i tego, co oni mówili na ten temat, nie da się w tym artykule zmieścić. Każdy miał swoją opinię i swoje zdanie, ale jeden wątek powtarzał się, dlaczego studia dzienne pomimo że „darmowe” są lepsze od tych pozostałych – płatnych. Teoria jest taka, że na studiach płatnych nauczającym zależy na zarobieniu pieniędzy za wykłady, a uczącym się na zdobyciu „papieru”, że ukończyli studia. Po prostu są od siebie zależni. Student, który nie zaliczy egzaminów i z tego powodu opuści uczelnię, nie zapłaci i wykładowca nie weźmie pensji przewidywanej wielkości. Im więcej studentów, tym więcej pieniędzy. Można brutalnie stwierdzić, że na płatnych uczelniach pierwsze stopnie naukowe są kupowane przez studentów, którzy regularnie opłacają czesne za pobieranie nauki. Na studiach dziennych nie ma zależności wykładowców od studentów i nieuk może zawsze, nie zdając egzaminu, opuścić mury uczelni lub zaliczać kolejne lata na tym samym poziomie do pewnego czasu, aż „wyleci”. Dlatego zrozumiałem pytanie mojego znajomego. Ale czy tak powinno być? Dlaczego taka opinia? Na dziennych nie dają rady studiować za darmo, a przenosząc się na zaoczne czy wieczorowe – płatne, kończą studia celująco. Czy nie powinien się ktoś odpowiedzialny za naszą edukację przyjrzeć temu zjawisku? Są oczywiście uczelnie gorsze, są i lepsze – także niepubliczne. Wiem, że nic się nie zmienia, bo „fortuna kołem się toczy”, a odkąd Fenicjanie wynaleźli pieniądze, to i moralność ludzka uległa zmianom, dlatego zwracam Państwa uwagę na występujące w naszym codziennym życiu zjawiska, nad którymi rozważania można zakończyć w ten sam sposób, co moje poprzednie artykuły. I co? I nic!

Michał Kręcisz

Nasi w Londynie...

Zakończyły się Igrzyska Olimpijskie w Londynie, które były kolejnymi bez obecności sportowców z klubów z terenu Zagłębia Dąbrowskiego.

A kiedyś było inaczej. Ba, zdobywali medale – myślę tu o siatkarce Krystynie Czajkowskiej-Rawskiej, dwukrotnej brązowej medalistce w Tokio i Meksyku oraz złotych siatkarzach w Montrealu: Ryszardzie Bosku, Wiesławie Gawłowskim, Włodzimierzu Sadalskim i Zbigniewie Zarzyckim, prowadzonych przez legendarnego Huberta Wagnera. Wszyscy reprezentowali barwy Płomienia Milowice. Obecnie klub ten tuła się gdzieś na peryferiach wielkiego sportu, a kiedyś był najpotężniejszym w Polsce...

To były dla sosnowieckiej siatkówki złote lata siedemdziesiąte. Płomień – męska sekcja powstała w 1961 roku, a żeńska w 1964 roku – był wtedy najsilniejszym ośrodkiem siatkarskim w Polsce. Pięć razy tytuł mistrzowski zdobył zespół kobiecy – w 1974, 1975, 1979, 1980, 1981 roku, dwukrotnie tytuł mistrzowski zdobyli mężczyźni w 1977 i w 1979 roku. W 1978 roku męski zespół zdobył Klubowy Puchar Europy. I wspomniane na wstępie wielkie nazwiska: mistrzowie świata (1974) i olimpiady (1976): Ryszard Bosek, Wiesław Gawłowski, Włodzimierz Sadalski, Zbigniew Zarzycki, a obok nich było jeszcze wiele innych siatkarskich znakomitości. Była jeszcze olimpiada w Moskwie w 1980 roku (bez medalu), gdzie z Boskiem i Gawłowskim grał rodowity sosnowiczanie, Leszek Molenda.

Lata osiemdziesiąte to był jednak bardzo trudny okres dla Płomienia, podczas którego trwała walka o utrzymanie klubu. Ofiarą przemian polityczno-gospodarczych padła żeńska drużyna, wycofana z rozgrywek ligowych w 1990 roku. W 1992 zlikwidowana została kopalnia „Czerwona Gwardia” (dawna kopalnia „Milowice”), będąca przez ponad 60 lat patronem Płomienia Milowice. W związku z tym w sierpniu 1992 roku podjęto decyzję fuzji ekstraklasowego Płomienia z Górnikiem Kazimierz, ówczesnym beniaminkiem I ligi Serii A, i utworzeniu nowego podmiotu o nazwie GKS Kazimierz Płomień Sosnowiec (połączenie nazw obydwu założycieli), jako kontynuatora oraz spadkobiercę ich tradycji.

I znakomite tradycje zostały podtrzymane, bo w 1996 roku sosnowiczanie znów zdobyli mistrzostwo Polski!

To nie był jednak koniec kłopotów i początek kolejnego „złotego okresu”. W 2001 powołano do życia sportową spółkę akcyjną, a klub nosił nazwę K.P. Polska Energia Sosnowiec. Siatkarze nie zdołali jednak utrzymać się w ekstraklasie. Pomogło jednak szczęście i 17 czerwca 2002 z powodu kłopotów finansowych Stalarka Wołomin połączyła się z K.P. Polska Energia Sosnowiec, który zajął jej miejsce w Polskiej Lidze Siatkówki. W lidze wiodło mu się średnio, ale za to znakomicie w Pucharze Polski. Sosnowieccy siatkarze zdobyli to trofeum dwukrotnie z rzędu, w 2003 i 2004 roku, a w 2005 odpadli w półfinale tych rozgrywek.

W 2005 roku klub pozyskał nowego sponsora i nastąpiła kolejna zmiana nazwy na PKE „Polska Energia” Sportowa Spółka Akcyjna, by rok później wrócić do starej i historycznej nazwy Płomień SSA Sosnowiec. Liczono, że to przyciągnie kolejnych sponsorów oraz zachęci władze miasta do zwiększenia pomocy. Na próżno i w 2008 r. z powodów finansowych klub wycofał się z rozgrywek PLS.

W jakim miejscu jest obecnie sosnowiecka siatkówka. W 2008 roku zgłoszono zespół oparty na młodzieży UKS Kazimierz Płomień Sosnowiec do rozgrywek na szczeblu wojewódzkim. W 2011 roku nastąpiła fuzja dwóch sosnowieckich klubów UKS Kazimierz Płomień Sosnowiec oraz MKS MOS Płomień Sosnowiec, po której powstał nowy klub o nazwie UKS MOS Kazimierz Płomień Sosnowiec, grający w trzeciej, a de facto w czwartej lidze... Również kobiecy zespół tuła się na niskim szczeblu, choć wydawało się, że gdy przygarnęła je uczelnia Humanitas, to może wróćą dobre czasy. Niestety, nie wyszło.

I w tym miejscu można byłoby skończyć historię o sosnowieckiej siatkówce, która kiedyś była tak potężna i dostarczała nam tylu wzruszeń. Teraz mamy je za miedzą, w Dąbrowie Górniczej, gdzie siatkarki MKS Tauron zdobywają medale mistrzostw Polski, ostatnio srebrny, i grają w Lidze Mistrzów. Kobieca reprezentacja Polski nie zdołała jednak wywalczyć awansu do olimpijskiego turnieju w Londynie. Co w pięknym stylu udało się ich kolegom. No tak, ale nie

ma klubu w naszym regionie, z którego trener Andrea Anastasi mógłby powołać zawodników do olimpijskiej kadry. Jednakże nie brakuje w niej i „naszych”! Ba, jest ich w niej całkiem sporo. Jak to możliwe? Trzeba po prostu poszperać w CV siatkarzy grających w Londynie i okazuje się, że czwórka z nich ma zasobą okresy gry w Płomieniu (grającym, o czym wyżej, pod różnymi nazwami). Najwcześniej w Sosnowcu występował Krzysztof Ignaczak, a było to w sezonie 1999/2000. To u nas popularny „Iglą” zgłębiał tajniki sztuki zostania jednym z najlepszych libero na świecie. Po Ignaczaku w hali przy Żeromskiego przez jeden sezon – 2003/4 – grał Łukasz Żygadło i był jednym z ulubieńców sosnowieckich fanów siatkówki. Z naszego miasta wyjechał w świat, a konkretnie do ligi włoskiej. Z Żygadłą krótko grał Zbigniew Bartman, który jako wielce utalentowany 17-latek trafił do Sosnowca z Warszawy w 2004 roku. Odszedł z Płomienia w 2005 roku, a był to rok, w którym 18-latek Grzegorz Kosok wraz z kolegami z MKS MOS Będzin zdobył mistrzostwo Polski juniorów. Rok później Kosok został zawodnikiem Płomienia i grał w nim do końca istnienia na szczeblu Polskiej Ligi Siatkówki, czyli do 2008 roku.

Jest więc, patrząc z perspektywy „lokalnego patriotyzmu”, komu kibicować. Tekst ten powstał jeszcze przed ćwierćfinałami turnieju siatkarzy, nie wiem więc, czy to kibicowanie okazało się skuteczne. Ale może Ignaczakowi, Żygadło, Bartmanowi i Kosokowi udało się pójść w ślady Boska, Gawłowskiego, Sadalskiego i Zarzyckiego. Może pomógł im w jakiś sposób fakt, że byli kiedyś reprezentantami wspaniałego Płomienia?

Andrzej Wasik



Taniec wariatki

Już pierwsze dwa wiersze ze zbioru *Szelki bezpieczeństwa* Janiny Barbary Sokołowskiej dobrze wprowadzają w podejmowaną przez autorkę tematykę. Książka wydana nakładem Wydawnictwa ADVERT w Rudzie Śląskiej poszerzona w bieżącym roku o kilkanaście wierszy rozpoczyna się od zaakcentowania motywu miłości i elementów jasności. Jednakże już drugi tekst studzi tę afirmację „powidokiem” dopijanej kawy, samotnością i niepostrzeżalnym „wrastaniem w ciemność”. Poetka sytuuje czytelnika pomiędzy dwoma światami i nawet lektura całej książki nie pozwoliła nam jednoznacznie stwierdzić, który z nich jest bardziej prawdziwy, namacalny.

Wydaje się, że doskonałym sposobem na określenie kondycji lirycznego bohatera są słowa z wiersza *rzeźbiarz*: „pachnie oliwą i gliną / w tle okna z widokiem na chmury // mistrz mówi że wyrzeźbił ją / w lęk”. Podmiot jest tutaj zarazem oliwą, płynem konserwującym i szlachetnym, ale także gliną, w której można dowolnie rzeźbić, choć z czasem się kruszy. Widok na chmury poświadczał będzie fakt przemijania. Lektura tekstów nie wskazuje wszakże na lęk, który możemy konkretnie nazwać, nie jest to także żadna historia, lecz zwykły ludzki niepokój o to, że wszystko co piękne i ulotne musi kiedyś zniknąć. Wiersze podszyte są lękiem, który jednak nie paraliżuje.

Ukazywany w wierszach świat nie jest tak naprawdę światem zewnętrznym, raczej „emanacją” podmiotu lirycznego. To świat potencjalny, niejako wymarzony, ale nie wykreowany. Naturalny. Teksty nie sprawiają wrażenia siłających się na jakieś pouczenia, czasem tylko niespodziewane puenty wskazują, że autorka pod przykrywką zwykłych lub niezwykłych obrazów przemycą coś więcej, odsłania rąbek „drugiego dna”. Pierwsze wrażenie po przeczytaniu wierszy zdaje się mówić, że światy u Sokołowskiej są spokojne i ułożone, jednak po dokładnej lekturze można zauważyć, że są nadgryzane czymś od wewnątrz, co jeszcze się nie wydostało, ale póki co szuka drogi wyjścia. Ten podskórny niepokój odnajdziemy w wierszu *studnia jej coraz głębsza*: „gdy wróci / noc złamie wiosło na lodowatym świecie / znów trzeba będzie przełamywać brzask / wierzchem sufitu // w studnię”. Powracamy tutaj

do początku zbioru, „potyczek” jasności z ciemnością. Tytułowa studnia jest coraz głębsza, a podmiot liryczny sam, nieświadomie, pomaga ją zgłębiać, aby uwolnić coś złego, ale niedookreślonego.

Rzeczywistość (a może: nierzeczywistość) tych wierszy nie jest jednolita, nie można ich umiejscowić w dookreślonej przestrzeni – jest to ulica i peron, łąka i las. Wiersze, w których pojawia się ulica oraz miasto są ciemniejsze i stonowane, wyrażają tę drugą stronę, która miarowo nadchodzi. Tymczasem inne, „zieleńsze”, dają nadzieję, że sielanka wciąż trwa, choć – jak w wierszu *oko jarzębiny* – „(...) wiatru posprząta / deszcz zmyje zielen / zielen zmyje deszcz”.



W tomiku Janiny Barbary Sokołowskiej pojawiają się wątki religijne. Nie chodzi jednak o żadną „doktrynę”, raczej uzupełnienie świata, wypełnienie go potrzebnym duchem, powietrzem do oddychania. Pierwszy raz bóg – pisany właśnie małą literą – pojawia się, nieco niespodziewanie, w wierszu *w ogródku hospicjum*, później jego obecność jest już stale wyczuwalna. Moment, kiedy wiara i podmiot liryczny stykają się ze sobą najmocniej można dostrzec w wierszu *anioł opatrności*: „o świecie dokładnie ściera ślady / słodki kłębek włosów z podłogi / zamyka książkę o sobie / odkładając na miejsce / (...) / czasem tylko z pośpiechu / na błyszczącej okładce / zostaje wgniecenie po łzie / i linie papierne mgły // nie wpisane w żaden pesel”. Te słowa brzmią jak *credo*, oto poddanie

się nieuchronnemu, i jakby wyraz utraty wiary w tytułowego anioła opatrności, a zarazem w całą religię.

Wiersze z *Szelki bezpieczeństwa* opowiadają o ciągłej walce metaforycznej ciemności z jasnością, bo nawet nie dobra ze złem. Tutaj nic nie jest oczywiste, mnogość odniesień nie pozwala na jednoznaczną opinię. Czy faktycznie mówimy głównie o miłości i samotności? W pierwszej chwili można odnieść wrażenie, że są to wiersze o przemijaniu, jednak po głębszej analizie stwierdzamy, że traktują o trwaniu. A jeśli wszystko, co trwa nie jest widoczne gołym okiem, to – według autorki – należy to stworzyć i pielęgnować, aby nie ulegać przekonaniu, że może go naprawdę nie być.

Taka nadzieja przebija już w tytule wiersza *gdy jednym ruchem skrzydła motyla powodujesz trzęsienie ziemi*. Mamy zatem do czynienia z chęcią przywrócenia ufności wręcz dziecięcej, pomimo „rozrzuconych kości”, które mogą symbolizować rozczarowania czy życiowe katastrofy. To właśnie „imiona aniołów” pozwalają autorce „złożyć dzień” i trwać w milczeniu.

Poetka często zbliża się do drobnych spraw i przedmiotów, jakby za ich pomocą chciała dotknąć lub opisać to, co często wymyka się naszemu niedoskonałemu językowi. W wierszu *listopad w lesie* mamy przykłady czegoś, o czym trudno na co dzień myśleć. Są to próby uchwycenia tego, co niezauważalne, jak choćby „spojówki ptaka”, tego co nieuchwytnie jak „sierść wiewiórki”, albo tego, co można sobie tylko wyobrazić lub wykoncypować jak „wydłubane oczy szyszek”.

Ustawiony we własnym świecie podmiot liryczny nie odnajduje oazy spokoju i daje się ponieść stworzonemu klimatowi nadchodzącego zagrożenia. Przedstawia się wręcz czytelnikowi jako „obłąkany” i „wariatka” (*balasty*): „co mam robić niki / po ścięciu głowy rąk pięć / z fragmentem torsu na dziobie okrętu / by nie był balastem wbijam szpikulec w pierś / (...) / wiem i nie wiem niki / jak przekonać wariatkę żeby nie bolało / kiedy odwracasz się i odchodzisz / aby nigdy więcej nie być samą”. W takich chwilach można zbliżyć się do „ciemnej strony”, poczuć chęć uwolnienia od świata, aby nie być więcej dlań ciężarem. Podmiot liryczny rozmawia jednak z Nike – boginią zwycięstwa, a ściślej z Nike z Samotraki, która była

ozdobą wspomnianego statku. Posąg nie zachował głowy, zatem rozmowę można potraktować jako emocjonalną wymianę zdań, gdyż podmiot jest także „wariatką”. Można stwierdzić, że wręcz chce pozbać się bezboleśnie głowy i postawić na same uczucia, a przez to stać się zwycięską jak Nike. Tytułowymi balastami poddanymi poświęceniu są głowa i kończyny, wszystko to, czym możemy kształtować i kontrolować świat.

Szelki bezpieczeństwa to dość specyficzne zestawienie słów. Szelki są „domeną” mężczyzn, bardziej rozciągliwe niż pasy, z którymi kojarzy się poczucie bezpieczeństwa. Brak szelek oznacza pewne odsłonięcie czy wręcz śmieszna nagość. Podmiot liryczny „rozciąga się” w wierszach, wykazując często znaczne wahania nastrojów, nie przekraczając jednak pewnej granicy rozciągliwości, po której nastąpiłoby... pęknięcie.

Tomik wymaga kilkukrotnego przeczytania, aby dobrze poznać świat zawieszony (czy może podwieszony) na „szelkach bezpieczeństwa”. Z pewnością warto wyruszyć w podróż po obu światach autorki. Ku któremu z nich skłania się Janina Barbara Sokołowska? Niech pewną sugestią i lekturą zachętą będą słowa z kończącego tomik wiersza *oda do mickiewicza*: „jeszcze nieme słówko na pożegnanie / jestem twoją nocą i jak noc upiorna / nie pozwolę ci odejść”.

Patryk Chrzan



Leon Brofelt, *Amulet*. e-bookowo 2012.

Czytadło do samolotu na liniach transatlantycznych z ilustracjami Armanda Detraquē.

Historia opętanego dybukiem syna Żyda z Zagłębia (szkolnego kolegi Jana Kiepur) i córki katowickiego robotnika, Dawida Schatza. Bohatera chroni amulet otrzymany od alianckiego lotnika po niefortunnym lądowaniu w okolicach Chrzanowa w czasie II wojny światowej.

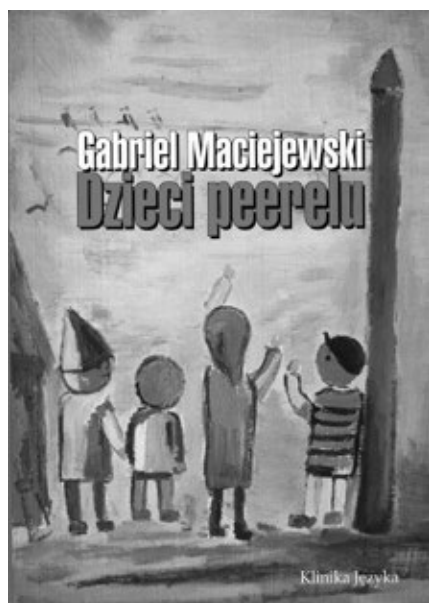
Koloryt

Wspominanie lat szkolnych bywa zajęciem tyleż przyjemnym, co pouczającym. Czas dzieciństwa i młodości im staje się odleglejszy, tym więcej zaskakujących scen wyświetla na ekranie naszej pamięci. Często wtedy dostrzega się to, co wówczas przed właściwym zrozumieniem było zakryte. Z różnych powodów. Dorastając, ma się perspektywę zawężoną. Najpierw jest wąskie centrum – terytorium mieszkania czy domu rodzinnego, powiększane w pierwszej kolejności o bliższą i dalszą rodzinę. Szczęśliwi, którzy rozszerzają w dzieciństwie swój świat, zaczynając od dziadków, cioć i wujków. Dobrze, jeśli żłobek i przedszkole są szerszej rodziny co najwyżej uzupełnieniem, a nie substytutem. Szkoła to pierwszy naprawdę szeroki świat – i od rozpoczęcia w niej nauki najwięcej zachowuje się wspomnień. Wcześniejsze rozmywają się w niepamięci, poza tymi najbardziej traumatycznymi. Czas i przestrzeń szkolna to również pierwsza samodzielność, ciąg sytuacji, w trakcie których już nie ma możliwości, by w reakcji na niemiłe zdarzenie, móc sięgnąć ręką po dający oparcie fartuch matki czy po zapewniającą poczucie siły nogawkę ojca. Po latach, szkoły od podstawowej do średniej wspomina się jako te najlepsze z możliwych w tamtych czasach lub najgorsze. Nijakось tu nie występuje wcale albo rzadko. Dotkliwie jest natomiast to, że tych swoich ekstremalnych opinii nie możemy zweryfikować. Powtórzenie w innych placówkach szkolnego życiorysu, jak zresztą powtórzenie jakiegokolwiek dnia naszego życia, nie jest przecież możliwe. A wspomnienia kolegów/koleżanek z klasy są równie subiektywne jak nasze i co najwyżej – jeśli są innego zdania o naszych szkołach – następuje zmiana tematu rozmowy, albo nawet koniec spotkania. Dla mnie punktem odniesienia dla oceny, czy doznaję wyjątkowości, czy zanurzam się w przeciętności szkolnej była – obecnie sławna – powieść dla młodzieży Edmunda Niziurskiego *Sposób na Alcybiadesa* (Warszawa 1964). Dodam, że oceny dokonywanej na bieżąco, bo pierwszy raz przeczytałem książkę, będąc w wieku lat jedenaście. Szkolna rzeczywistość w niej opisana od razu wydała mi się nazbyt fantastyczna, długo stanowiła jednak swoisty wzór. Gdy jednak około roku 1968 wreszcie w pełni dostrzegłem do mnie, że żyję w peerelu i jaki ten peerel jest, wszystkie książki dla młodzieży

z mojej biblioteczki, napisane po II wojnie światowej wylądowały w antykwariacie. Był to gest nie do końca przemyślany, ale stało się. Już wcześniej zafascynował mnie Jerome D. Salinger *Buszujący w zbożu* (tłum. Maria Skibniewska, Warszawa 1961), później przyszedł czas na lekturę Roberta Musila *Niepokoju wychowanka Törlessa* (tłum. Wanda Kragen, Warszawa 1965). Istotnym uzupełnieniem wiedzy o tym, co w trakcie dojrzewania napotykał młody człowiek gdzie indziej i wcześniej były – jakżeby nie! – *Szyfrowe prace* Stefana Żeromskiego, nie pominąłem też przejmującej powieści Emila Zagadłowicza *Zmory*. Ten niewielki „komplet” uzupełniłem po latach o Witolda Gombrowicza *Ferdynand*, bo długo były książki tego pisarza w peerelu zakazane i nie wydawane. Jednak nie znalazłem ani wtedy ani później żadnej powieści, która by opisywała peerelowskie dzieciństwo, dorastanie i szkolne realia. W bardzo niewielkim stopniu moją potrzebę porównań zaspokoił w 1990 roku film pt. *Marcowe migdały*, którego scenarzystą i reżyserem był Radosław Piwowarski.

Czy coś przeoczyłem? To możliwe, w końcu książki dokonujące uczciwego rozrachunku z peerelami są zazwyczaj – w przeciwieństwie do np. agitek mniejszości seksualnych lub antypolskich paszkwili oraz tzw. anglosaskiego chłamu – przez większość mediów papierowych i elektronicznych przemilczane. Jednak dzięki internetowi ta współczesna cenzura nie jest tak szczelna, jak tradycyjna. Dzięki temu trafiłem na książkę Gabriela Maciejewskiego *Dzieci peerelu*.

Jej autor – rocznik 1969 – to publicysta, który należy do czołówki blogerów; na blogu używa pseudonimu Coryllus. Jego dorobek to przeszło 1500 artykułów, opublikowanych zarówno we wszelkiej prasie papierowej, jak i w internecie. Debiutował w 2010 roku *Pitawalem prowincjonalnym*, będącym – jak sam go określa – „zbiorem gawęd makabryczno-satyrycznych” (<http://coryllus.pl/?wpsc-product=pitaval-provincjonalny>, dostęp 21. 07. 2012). Pitaval... szybko się wysprzedał (obecnie jest dostępny wyłącznie w postaci e-książki) i jej autor poszedł za ciosem. W 2011 roku wydał aż trzy tytuły: właśnie *Dzieci peerelu*, *Atrapię* (obszerny wybór felietonów internetowych) i *Baśń jak niedźwiedź. Polskie historie. Tom I*, która ostatnio – czyli zaledwie rok później – doczekała się kontynuacji w postaci tomu II, w którym Maciejewski dokonuje dość śmiało reinterpretacji pol-



skiej historii w epoce renesansu i reformacji/kontreformacji, za co zapewne zostanie jakoś nieładnie określony przez zawodowych historyków. Maciejewski pisze dość buńczucznie, ma temperament felietonisty i ostrego polemisty. No i najwyraźniej kreuje się na *besserwissera*. Dla niektórych internautów, obserwujących jego poczynania w blogosferze, szczególnie od czasu publikacji kolejnych książek, stał się kimś zupełnie nieznośnym... Jednak jest Maciejewski osobowością pisarską niewątpliwą, zaś zarówno internauci, jak czytelnicy „papierowi” dzięki jemu pełnego rozmachu wejściu w pisarstwo niejako tradycyjne otrzymują sygnał, że blogosfera wkracza w wiek dojrzały i będzie rodzić kolejnych pisarzy: to obecnie chyba najważniejsza ścieżka, umożliwiająca literacką karierę.

Dzieci peerelu w dotychczasowym dorobku Maciejewskiego są pozycją specyficzną. Autor w 45 felietonach opisuje swoje perypetie z lat szkolnych, spędzonych w Dęblinie, a następnie w Technikum Leśnym w Biłgoraju, które kończy w 1990 r. Oddaje koloryt tamtych peerelowskich czasów, szkicując widziany oczami chłopca krajobraz niespełna 20-tysięcznego miasteczka raz cieńszą, raz grubszą, brutalniejszą kreską. I choć są to lata późniejsze o półtora dekady niż te, w których ja pobierałem nauki w peerelowskich szkołach miasta Sosnowca, dziesięciokrotnie większego od Dębina, odnajduję zdumiewające podobieństwa klimatu, choć również głębokie różnice. Maciejewski nie odtwarza swych lat szkolnych dzień po dniu, czy nawet rok po roku. Wysupłuje wydarze-

nia najbardziej znaczące, które niewątpliwie miały wpływ na formowanie się jego osobowości. Niekiedy bywa jednak nadmiernie dyskretny, ale od tak autobiograficznych opowieści trudno oczekiwać dramatyczniejszych szczegółów. Sądzę, że unika konfabulacji: w końcu dedykuje książkę z wyróżnieniem dzieci peerelu „z ulicy Nowej i Starej w Dęblinie”: w razie konfrontacji z nimi wymówka, że to i tamto to taka *licentia poetica*, będzie mu najpewniej zbędna. Podobnie jak w moich wspomnieniach, obraz peerelowskiej szkoły nie wypada najgorzej. Powiedziałbym, że nawet zupełnie dobrze. Nie tylko dlatego, że od tamtych czasów polska szkoła podupadła straszliwie, bowiem coraz niższy w niej poziom nauczania, coraz mniejsza dyscyplina i coraz więcej międzyuczniowskiej przemocy.

Bogaty materiał faktograficzny *Dzieci peerelu* zostawia jeden niedosyt. Mianowicie rozpoznania przez autora sensu niektórych opisanych wydarzeń dokładnie od strony opresji politycznej, jakiej my wszyscy, dzieci peerelu w trakcie edukacji, często wówczas nie zdając sobie z tego sprawy, byliśmy poddawani. Owszem, na decyzjach i sposobie postępowania opisanych w książce ludzi dorosłych – od rodziców przez sąsiadów po nauczycieli oraz od sprzedawczyń w sklepie po milicjantów i żołnierzy – ciąży ów narzucony Polsce przez sowieckiego okupanta upiorny ustrój. Jednak dla czytelnika, który nie jest dzieckiem peerelu, może to być niewidoczne lub zupełnie niezrozumiałe. Zabrakło mocniejszego wyakcentowania poza pojawiającymi się tu i ówdzie ogólnikami. Lecz od razu warto się zastanowić, czy aby ten peerel dla dzieci i młodzieży – *summa summa-rum* – nie był przyjaźniejszy niż nam się dzisiaj wydaje, przy całym swym zakładaniu w sferze politycznej i historycznej oraz potwornym deficycie podstawowych środków do życia? Hierarchia wartości młodzieńca ze szkoły średniej, nie mówiąc już o uczniu szkoły podstawowej, jest przecież nieco inna niż kogoś dorosłego. Ja ubolewam, że Maciejewski nie opisał ówczesnych poglądów politycznych swoich i jego kolegów z techników. Będąc w jego wieku ja takowe miałem i stąd moje rozczarowanie, że dowiaduję się tak niewiele o przekonaniach niemal o pokolenie młodszych dzieci pe-

erelu. Gdybyż to była taka oczywistość, że były takie jak moje i nie mogły przecież! być inne...

Opisując różne peerelowskie obyczaje, obśmiał Maciejewski bardzo udanie peerelowską popkulturę. Jej nędzność odzwierciedlała „realny socjalizm” równie mocno, jak cały ten duszny opar szarości, w którym Polska została – wbrew woli narodu – zanurzona po II wojnie światowej. Tak patrzę na to z jednej strony, zaś z drugiej widzę w tej popkulturze peerelu sporo niezamierzonego wdzięku (przynajmniej w opisie Maciejewskiego). Tego wdzięku całkowicie brakuje popkulturze III RP... Przy tej okazji wypomnę autorowi *Atrapii* rzecz trudną do wybaczenia – mianowicie agresywne spostonowanie Sat-Okha, Stanisława Supłatowicza, polskiego Indianina (półkrwi). Jego autobiograficzna powieść *Ziemia słonych skał* była jedną z ulubionych książek w mych latach szczenięcych. I nie jest to zła książka, jak uważa Maciejewski. Może mógł nieco powściągnąć swą niechęć i nie rozstrzygać bez uzasadnienia, czy Supłatowicz był hochszaplerem, takim polskim Grey-Owłem (który podawał się za metysa, a okazało się po latach, że był jedynie ekscentrycznym Anglikiem). Nie wiem, czy Maciejewski zna (dostępna w internecie: <http://www.indianie.eco.pl/litera/Sat-Okh.pdf>) pracę magisterską Katarzyny Krępulec, napisaną w Zakładzie Historii Najnowszej pod kierunkiem prof. dr. hab. Zbigniewa Zaporowskiego, obronioną w 2004 roku, a zatytułowaną *Stanisław Supłatowicz. Niezwykła biografia Sat-Okha, czyli jak się zostaje legendą*. Są tam pokazane wszelkie wątpliwości związane z wiarygodnością rodowodu Długiego Pióra. Myślę, że nie tylko ja wolę wierzyć, że Sat-Okh niczego nie zmyślił. To w końcu nieszkodliwa legenda, nie zasługująca na aż taką niechęć ze strony pisarza, który przecież też dokonuje autokreacji.

Przeglądałem *Dzieci peerelu*, wczytuję się ponownie w opowieści Maciejewskiego, i trochę mi żal, że nie zrobił ze swoich doświadczeń powieści inicjacyjnej na miarę *Buszującego w zbożu*, czy *Zmór*. Wiem, wiem, fikcja trudniej się broni niż autentyk, ale... Kto przeczyta *Dzieci peerelu*, może nie będzie chciał powieści zamiast nich, ale – jak przypuszczam – na pewno obok tej i innych książek autora *Baśni jak niedźwiedź*.

Jerzy Suchanek

G. Maciejewski: *Dzieci peerelu*, Warszawa 2011, s. 288.

Powstanie Warszawskie – prawdy i fikcje

Eugeniusz Januła

O przebiegu i różnych konsekwencjach Powstania Warszawskiego napisano już bardzo dużo. Głos zabierali również jego uczestnicy, w tym osoby bardzo znaczące. Mimo to w dalszym ciągu istnieje wiele znaków zapytania i kontrowersji. Nie tyle wobec samego przebiegu, co raczej aspektu jego genezy, celów i realiów politycznych – Powstanie było swego rodzaju ostatnią szansą obozu londyńskiego na objęcie władzy. Czy realną? Autor artykułu stara się rzucić światło na niektóre problemy związane z powstaniem, a pozostające wciąż w głębokim cieniu.

Druga połowa 1944 roku była dla Niemców bardzo niepomyślna. To że wszędzie się cofali, było już swego rodzaju normalnością od czasu operacji pod Kurskiem, która stała się cezurą strategiczną. Z chwilą utworzenia drugiego frontu to cofanie się w naturalny sposób uległo przyspieszeniu, a ponadto było już jasne również dla dygnitarzy III Rzeszy, że wojna jest definitywnie przegrana. Mimo to Niemcy broniły się nadal i trzeba powiedzieć – całkiem skutecznie. Hitler, który znów miał szczęście, bo uniknął skutków kolejnego, ale tym razem bardzo poważnego zamachu, bardzo liczył na potęgujące się rozdziewki między sojusznikami. Marszałkowie i generałowie, którzy stali za lipcowym zamachem na wodza, dążyli z kolei do nawiązania rozmów na temat zakończenia wojny z aliantami zachodnimi. Ale po nieudanym zamachu do żadnych rokowań nie doszło, co więcej ta grupa sukcesywnie straciła jakiekolwiek znaczenie i w konsekwencji była likwidowana.

Przybliżanie się frontu wschodniego do terytorium macierzystego Rzeszy oraz pomysły rozwój ofensywy sprzymierzonych we Francji, jak również coraz silniejsze naloty na przemysł, trakty komunikacyjne oraz otwarte miasta Niemiec powodowały też oczywiste zmiany w sytuacji. Niemcy demograficznie nie byli już w stanie uzupełniać swoich strat na frontach, także produkcja zaczęła w 1944 roku spadać. Ponadto praktycznie zostali bez sojuszników, bo Japonia na Pacyfiku i Dalekim Wschodzie miała swoje coraz większe problemy, a Włochy mimo uwolnienia Mussoliniego i próby budowania przez niego w północnej części kraju republiki faszystowskiej już przestały zupełnie się liczyć. Jedyną siłą osi na Półwyspie Apenińskim były już tylko wojska niemieckie, które – tu trzeba uczciwie powiedzieć – broniły się bardzo efektywnie wykorzystując trudny górski teren².



1 sierpnia 1944, godzina „W”. Patrol por. „Agatona” z batalionu „Pięść”. Fot. arch.

W połowie 1944 roku kwestie sprawy polskiej wyglądały coraz mniej pozytywnie. Churchill, polityk tyle pragmatyczny, co cyniczny, starał się przede wszystkim ratować zarówno prestiż, jak i przede wszystkim interesy Zjednoczonego Królestwa. Dla tego celu był gotów zawrzeć przymierze z każdym. Związku Radzieckiego nie cierpiał, ale politycznie coraz bardziej musiał liczyć się ze Stalinem. Churchill wiedział już, że do wschodniej Europy wejdą Rosjanie i w 1944 roku starał się raczej dojść

szybciej od nich do Berlina.³ Stąd też z jego inicjatywy przeprowadzono trochę szaleńczą operację, Market-Garden, która miała właśnie Brytyjczykom, nie Amerykanom, otworzyć przez Holandię drogę do Berlina. Jakie były skutki tej operacji, to powszechnie wiadomo. Amerykanie natomiast nie mieli na tym etapie wojny nic przeciwko temu, aby to Rosjanie weszli do wschodniej Europy, a nawet do Berlina. Ich interesował bardziej problem, czy Stalin dotrzyma słowa i armia radziecka weźmie udział

w ostatniej fazie wojny z broniącą się fanatycznie Japonią.

W tej sytuacji polski rząd londyński tracił coraz bardziej na znaczeniu. Z sojusznika stawał się coraz bardziej uciążliwym klientem. Coraz mniej w miarę zarysowującego się już wyraźnie zwycięstwa liczył się też dokonany polski wysiłek zbrojny. Polsce londyńskiej brakowało w tym czasie również wyrazistego lidera, bowiem po śmierci gen. Władysława Sikorskiego żaden z polskich polityków nie mógł być realnym partnerem dla Brytyjczyków. Trzeba powiedzieć, że Stanisław Mikołajczyk był wyborem najlepszym z możliwych, ale był to polityk o wiele mniejszego formatu niż tragicznie zmarły Sikorski. Inni, z prezydentem Raczkiewiczem na czele, nie liczyli się praktycznie wcale⁴. Rząd polski ponadto był w złej sytuacji międzynarodowej, w jaką niestety bardzo zrecznie wciągnęli go Rosjanie. Pretekstem była tu zbrodnia katyńska. Oczywiście polski rząd nie miał praktycznie innego wyjścia, jak zwrócić się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o zbadanie sprawy. Tym bardziej że mimo krzykliwej rosyjskiej propagandy, praktycznie nikt nie miał wątpliwości, że ta zbrodnia była dziełem Rosjan. Natomiast Rosjanie wykorzystali polski wniosek jako pretekst do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem londyńskim, po to by nie być skrępowanym w rozmowach, a raczej dyktowaniu przebiegu przyszłych granic w tej części Europy, do której miały wejść wojska sowieckie. Polska miała tu być największym poszkodowanym terytorialnie, więc utrzymywanie stosunków dyplomatycznych z nią Stalin uznał za zbędne. Przygotowywano już zresztą, od czasu wyjścia wojsk Andersa z terenu ZSRR, typowo kolaborancką ekipę polityczną, którą w lipcu 1944 roku zaprezentowano jako namiastkę rządu, czyli PKWN.

Rząd londyński mimo że nie był informowany o wielu ważnych rzeczach przez Anglików, posiadał na terenie okupowanego kraju i też poza nim swoje nieraz bardzo dobre źródła informacji. Politycy w Londynie mieli różne wizje przyszłego porządku państwowo-prawnego w Polsce. Ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że Sowietci będą starali się po pierwsze zagarnąć ziemie wschodnie RP, a po drugie zainstalować swój, czyli uległy wobec siebie rząd. Anglicy podjęli co prawda próbę naprawienia stosunków polsko-rosyjskich. Na ich

usilne prośby Stalin zgodził się przyjąć Stanisława Mikołajczyka⁵. I tak się złożyło, że premier polskiego rządu przebywał w Moskwie podczas pierwszej fazy powstania.

W połowie 1944 roku rząd londyński w okupowanym kraju był reprezentowany na wysokim szczeblu. Delegat rządu na kraj w czasie powstania został mianowany wicepremierem, również kilku innych polityków z jego otoczenia otrzymało nominacje na funkcje ministrów. Można powiedzieć, że część rządu była w kraju i funkcjonowała w konspiracji⁶. Rozbudowywano również Armię Krajową, która teoretycznie była bardzo liczna. Maksymalna liczba AK-owców to prawie pół miliona ludzi. Walka partyzancka też była prowadzona z dużym natężeniem. Ale były i mankamenty. Pierwszym był brak broni i wyposażenia. Polska położona była zbyt daleko od Wielkiej Brytanii, by nocne zrzuć mogły zaopatrzyć nawet część partyzantów. Bombowce RAF bez względu na to, czy startowały z Wielkiej Brytanii, czy z włoskiego Brindisi miały do pokonania bardzo długą nocną drogę z licznymi strefami obrony przeciwlotniczej. Straty były wśród wysyłanych samolotów bardzo duże, bo wracać musiały już w dzień. Inną szansą zaopatrzenia było dotarcie do schowków, w których schowano lub zakopano broń z kampanii wrześniowej. Tą drogą zdobyto trochę broni, ale znów trzeba wziąć pod uwagę, że nie produkowano już do niej odpowiedniej amunicji. Pozostawało zdobywanie broni na okupancie, ale nie było to też wielkie źródło zaopatrzenia. Można więc podsumować, że liczna i dość dobrze wyszkolona, posiadająca dobrą kadrę dowódczą, Armia Krajowa była tylko mierznie zaopatrzona i wyekwipowana. W samej Warszawie AK mogła liczyć nawet do 50 tys. żołnierzy, ale uzbrojenia wystarczało tylko na ok. 15 tys. ludzi⁷.

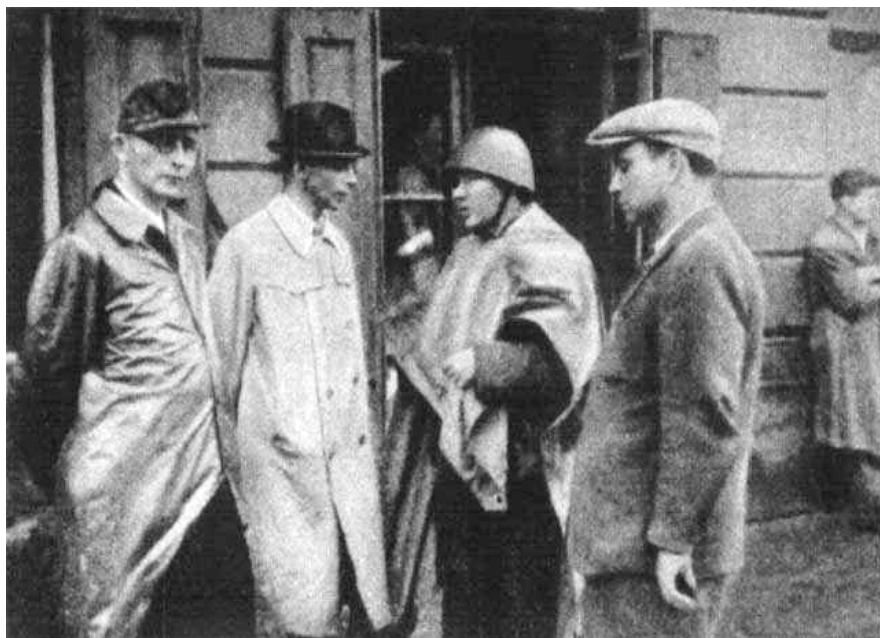
Obok Armii Krajowej funkcjonowały też inne formacje. Armia Ludowa związana z konspiracyjną PPR była znacznie mniej liczna od AK. Działała na własną rękę i brak koordynacji działań partyzanckich w Polsce był dużym problemem. To samo można powiedzieć o formacjach skrajnej prawicy. Narodowe Siły Zbrojne zbyt liczne ani silne nie były, ale też prowadziły działania zupełnie bez koordynacji z innymi formacjami. Teoretycznie liczne Bataliony Chłopskie były z kolei formacją, która odczuwała brak uzbrojenia najbar-

dziej. BCH-owcy byli też słabo wyszkoleni. Akcja scaleniowa polskich ugrupowań partyzanckich, którą prowadzono na rozkaz z Londynu, przyniosła tylko połowiczne rezultaty. NSZ i NOW w zasadzie nie weszły w struktury wspólnych dowództw i koordynacji. Ze względów oczywistych również AL pozostawała jako formacja zależna tylko od PPR i Moskwy⁸.

Konspiracja krajowa też poniosła duże straty. Aresztowanie komendanta głównego gen. Grota-Roweckiego, zresztą w dość niejasnych okolicznościach, zostało dokonane niestety w najmniej spodziewanym momencie. Jego następca gen. Bór-Komorowski nie posiadał ani klasy, ani autorytetu swego poprzednika. Ponadto o ile gen. Rowecki potrafił zachowywać dystans w stosunku do polityków, to z kolei gen. Komorowski wyraźnie przechylał się w kierunku jednej ze stron emigracyjno-podziemnej struktury politycznej. To musiało w naturalny sposób powodować znaczący spadek autorytetu komendanta. Ponadto przy nowym komendancie bardzo duży wpływ uzyskali szef sztabu AK gen. Grzegorz Pełczyński oraz gen. Okulicki. Ci wojskowi też zupełnie niepotrzebnie wikkali się w rozgrywkę polityczną.

Powstanie Warszawskie było swego rodzaju ostatnim akordem nieudanej operacji „Burza”, która była w zamyśle przewidziana jako objęcie władzy przez struktury rządu londyńskiego w okupowanym kraju. Idea była słuszną, tyle tylko, że założono kilka fałszywych przesłanek. Pierwszą była teza, że Niemcy wycofując się przez terytorium Polski, będą zupełnie rozbici i przegrani. Przy okazji oczywiście słabi militarnie. Drugi z elementów czysto wojskowych, czyli armia radziecka miała też już w tej koncepcji funkcjonować resztką sił. To założenie było zupełnie fantastyczne. W praktyce natomiast Niemcy, mimo wycofywania się zachowali jeszcze duży potencjał militarny. Nie byli już zdolni do ofensywy w sensie strategicznym, ale operacyjnym lub taktycznym oczywiście tak.⁹ Z kolei Rosjanie, szczególnie w pierwszym etapie wojny łącznie z bitwą nad Wołgą, ponieśli niewyobrażalne straty demograficzne i sprzętowe. Ale byli bardzo silni, bo zasoby ludzkie były jeszcze spore, a alianckie dostawy sprzętu oraz własna produkcja rosły.

Pomimo tych bardzo niekorzystnych przesłanek obiektywnych próbowano



General „Bór” (drugi z lewej) i pułkownik „Radosław” (następny) na odprawie w okolicach fabryki Kammlera na Woli. 4 sierpnia 1944. Fot. arch.

„Burzę” przeprowadzić. W praktyce miało to wyglądać tak, że alternatywnie albo Armia Krajowa samodzielnie miała zdobywać poszczególne miejscowości, albo też proponować wojskom radzieckim wspólne zdobywanie. Następnie AK miała zainstalować, przygotowane już wcześniej władze cywilne, tj. starostów, wojewodów, i tym sposobem przedstawiać się Rosjanom jako legalna władza. Kilkanaście prób przeprowadzenia tego typu scenariusza nie było – bynajmniej – zachęcające. Na Wołyniu 27 Dywizja AK licząca po koncentracji ok. 5 tysięcy ludzi, a więc jak na warunki konspiracji bardzo dużo, wyzwoliła samodzielnie kilkanaście mniejszych miejscowości i następnie przekazywała nadchodzącym Rosjanom. Oddziały frontowe tych ostatnich owszem współpracowały, nawet przekazywały partyzantom pewne ilości amunicji. Ale dowódcy tych formacji nie podejmowali żadnych rozmów na temat administrowania terenami itd. Oni szli dalej naprzód. Na ich miejsce wchodziły oddziały tyłowe, wśród nich formacje osławionej NKWD. Enkawudziści bez żadnego wstępu dokonali aresztowań zarówno kombatantów, jak i cywilów. Najczęściej próby instalowania polskiej-londyńskiej administracji kończyły się dla zainteresowanych w gułagach. W sytuacji gdy oddziały partyzanczy były silne, Rosjanie stosowali zwykłe podstęp. Zapraszano wtedy na rozmowy dowódców, a resztę oddziału kierowano do niedalekiej miejscowości w celu „reorganizacji”. Tam już czekały silne struktury

NKWD, które pozbawionych dowódców i zdeorientowanych Akowców aresztowały i wywoziły¹⁰. Dla porządku należy dodać, że ta właśnie 27 Dywizja AK odegrała dużą i chlubną rolę w ochronie polskiej ludności Wołynia przed ukraińskimi faszystami i mordercami. Niestety siły dywizji były zbyt szczupłe, żeby udzielić było można ochrony wszystkim polskim mieszkańcom tej prowincji.

Kolejnym znaczącym faktem było wspólne zdobycie przez AK i Armię Czerwoną miasta Wilna. Akurat w tym miejscu dowództwo AK zgromadziło kilka partyzanczych brygad i w efekcie w ciągu kilkunastu ciężkich walk o to miasto właśnie polscy partyzanci odgrywali znaczące role. Rosjanom nie wypadało tym razem tak od razu aresztować Polaków, tym bardziej że było ich kilka tysięcy. Zastosowano więc znaną już formułę, kierując poszczególne brygady każdą do innej miejscowości, rzekomo dla reorganizacji i dozbrojenia. Tam postępowano już według znanego scenariusza¹¹. Natomiast trzeba dodać tytułem dygresji, że samo miasto Stalin polecił przekazać Litwinom, jakby zapominając o masowej kolaboracji tych ostatnich z hitlerowcami. W rezultacie plan „Burza” wszędzie tam, gdzie go chciano zastosować, po prostu się nie powiódł, a ludzie zaangażowani w próbę instalacji administracji rządu londyńskiego odczuwali represje. Bo trzeba dodać, że niejednokrotnie w miejscowościach, które Niemcy opuścili bez walki, administracja londyńska roz-

poczynała działalność. Czasem funkcjonowała, aczkolwiek sporadycznie nawet do ok. dwóch tygodni, bo jednostki frontowe nie angażowały się w rozmowy czy daleko idącą współpracę z tą administracją. Ale często zachodziło zupełnie pragmatyczne współdziałanie w zakresie aprowizacji, utrzymania infrastruktury itd.¹² Wszystko zmieniało się z chwilą kiedy nadciągały jednostki NKWD. Najczęściej wtedy od razu aresztowano i wywożono terenowych przedstawicieli rządu londyńskiego. Nie inaczej było na przykład w Lublinie, gdzie przez dwa dni urzędował wojewoda tego... rządu. Dopiero kiedy nadciągnął PKWN, a z nim też ochraniające go jednostki NKWD, dokonano natychmiastowych aresztowań wojewody i jego aparatu administracyjnego.

Mimo tych bardzo negatywnych doświadczeń, przebywającym w Warszawie przedstawicielom rządu londyńskiego oraz kierownictwu Armii Krajowej, wydawało się, że jeżeliby w Warszawie udało się na kilka dni przynajmniej opanować miasto i zainstalować swoją administrację, to światowa opinia publiczna i przede wszystkim alianci nie dopuszczą do tego, by Rosjanie zainstalowali swoje lub kolaboranckie struktury władzy. Wychodząc z tego założenia, analizowano sytuację na froncie wschodnim i przygotowywano się do przeprowadzenia powstania w Warszawie. W jednym i drugim wypadku sprawy szły źle. Bo analizy ogólnej sytuacji wojennej czerpano głównie z radia BBC, a tylko uzupełniano danymi z Londynu oraz analizami, często bardzo spóźnionymi własnego wywiadu. Przy czym trzeba stwierdzić, że BBC podawało rzetelne dane o sytuacji na poszczególnych frontach. Te jednak pochodzące z frontu wschodniego posiadały zbyt duży stopień ogólności. Po prostu, Rosjanie swoim zwyczajem podawali dane najczęściej post factum i to z dużym opóźnieniem. Najczęściej dowiadywano się za pośrednictwem radia Moskwa, że wyzwolono takie... i tu wymieniano miejscowości, a wróg poniósł... i tu wymieniano straty. Te dane analizowali oczywiście Brytyjczycy i podawali w odpowiednio skondensowanej formie za pośrednictwem BBC. Własny wywiad AK w strefie przyfrontowej musiał z kolei działać z wielką ostrożnością. Zarówno Niemcy po swojej, jak też Rosjanie po swojej stronie, likwidowali poprzez sądy doraźne a często i bez, wszystkie po-

dejrane osoby. W Warszawie wiadano zatem że ofensywa sowiecka postępuje że Rosjanie wyzwają kolejne rejony i miejscowości jak też instalują władzę PKWN-owską. Zarówno Komenda Główna AK jak i Dowództwo AL, również rezydujące w Warszawie, doskonale o sobie wiedziały. Ale kontakty były bardzo sporadyczne. Najczęściej były to wzajemne pretensje o nieinformowanie się o przeprowadzanych operacjach. Były też pretensje o podejmowane rzuty broni, bo tu obie struktury bez żadnych zahamowań próbowały sobie z różnym skutkiem „podbierać” zrzucając zarówno przez Anglików, jak też przez Rosjan broń.¹³ Ponadto Komenda Główna AL też nie była absolutnie informowana o zasięgu ofensywy sowieckiej. Podobnie jak kierownictwo konspiracyjnej PPR, AL była traktowana przez Rosjan instrumentalnie. Zadanie główne to było zbieranie informacji o formacjach niemieckich, ewentualnie niszczenie szlaków komunikacyjnych itd.

Rząd w Londynie, którego pozycja wobec aliantów była coraz słabsza, też uczył się koncepcji wywołania w Warszawie powstania jako istotnej karty przetargowej. Sądono, że to podniesie prestiż rządu i umocni jego pozycję również w stosunku do ZSRR. Szczególnie w sytuacji kiedy premier przebywał w Moskwie. Ale dając przyzwolenie, politycy i generałowie rezydujący w Londynie decyzję pozostawili w rękach kilku ludzi z Warszawy. Delegat Rządu na kraj, wicepremier Jankowski opowiadał się zdecydowanie za powstaniem, podobnie większość cywilów, aczkolwiek niektórzy z nich w sposób dość ostrożny. Praktycznie decyzja należała do wojskowych, z których czterech posiadało najbardziej ważne głosy. Trzej pierwsi to wymienieni już uprzednio generałowie Bór-Komorowski, Pełczyński i Okulicki. Czwarty to dowódca obszaru warszawskiego AK, pułkownik, później generał Tadeusz Chruściel „Monter”. To właśnie on miał kierować bezpośrednio działaniami militarnymi powstania. Ale też on znacznie lepiej znał stany osobowe – tu akurat nie było najgorzej, ale przede wszystkim fatalny był stan uzbrojenia warszawskich formacji AK.¹⁴ Dostarczono w przeciągu czerwca i lipca 1944 roku do Warszawy trochę uzbrojenia od oddziałów leśnych, ale kilkadziesiąt karabinów oraz pistoletów nie mogło zmienić sytuacji. Co prawda np. oddziały „Kedywu”

były uzbrojone dobrze, ale była to liczebnie niewielka, chociaż elitarna formacja. Chruściel wyliczał, że przy sprzyjającym zbiegu okoliczności jego oddziały mogą bić się pomyślnie przez około 3-4 doby. Później zabraknie im po prostu amunicji. Pełczyński z kolei bardzo liczył na zdobyczą w pierwszych godzinach powstania, broń i amunicję która miała znacząco uzupełnić potencjał bojowy powstańców. Skoro zapadła decyzja „na tak”, to następna musiała być „kiedy”. Bo wybór momentu wybuchu powstania nie mógł być uzgadniany z Rosjanami. Po prostu z nimi żadnych kontaktów nie było. Musiał być natomiast obiektywnie zgrany z momentem, kiedy właśnie Rosjanie będą tuż pod Warszawą. Przecież powstanie obiektywnie miało być skierowane politycznie przeciwko ZSRR. Powstańcy i wicepremier – delegat rządu mieli w wyzwolonej stolicy witać Rosjan jako gospodarze i pełnoprawne władze. Że było to sprzeczne z koncepcjami Stalina, tego już nie trzeba uzasadniać.

Prawdą jest, że radziecka ofensywa z przyczyn naturalnych, przede wszystkim rozciągniętych linii komunikacyjnych, po prostu zamierała. Broniący się Niemcy mimo poniesionych strat znajdowali się w o tyle lepszej sytuacji, że im z kolei skracaly się linie zaopatrzeniowe, skracal się również obiektywnie front obrony. Stąd swoje formacje mogli nasycić większą ilością żołnierzy sprzętu itd. To wszystko było oczywiście pytaniem, czy w ramach trwającej ofensywy uda się Rosjanom przekroczyć Wisłę. Okazało się, że tak, bo Armia Czerwona zdobyła przyczółek warecko-magnuszewski, ale też nie od razu, a ponadto ten ważny przyczółek, który później posłużył do kolejnej ofensywy był zbyt daleko, żeby można z niego oddziaływać na Warszawę.

Paradoksalnie w samym mieście natomiast obiektywne warunki dla przeprowadzenia powstania były na przełomie lipca i sierpnia bardzo dobre. Bo Niemcy przygotowywali dużą operacyjną ofensywę z Północnego Mazowsza skierowaną na południe. Ściągali w tym celu szereg jednostek wojsk lądowych na północ za Wisłę. W samej Warszawie pozostało niewiele tylko formacji Wehrmachtu, a to co pozostało, były to w większości jednostki typowo logistyczne. Z diariusza niemieckiej dziewiątej armii, w pasie której znajdowała się Warszawa, wynikało też, że Niemcy nie spodziewali się wybuchu po-

wstania.¹⁵ Wiedzieli też doskonale, że Rosjanie i rząd londyński są już praktycznie wrogami politycznymi i o jakimś współdziałaniu mowy być nie może.

U schyłku lipca 1944 roku Rosjanie wkroczyli do Pragi. Wydawało się, że Wisłę przekroczą w ciągu paru godzin, co najwyżej kilku dni, gen. Bór wydał więc gen. Monterowi rozkaz rozpoczęcia działań. W kwaterze głównej AK obawiano się w tym momencie najbardziej, że Armia Krajowa spóźni się i do momentu wkroczenia Rosjan nie zdąży oczyścić Warszawy z Niemców.¹⁶

Sam wybuch powstania w sensie taktycznym zaskoczył Niemców. W pierwszych godzinach walki zdobyli szereg ważnych obiektów może nie tyle wojskowych, ile administracyjnych oraz kilka ważnych punktów strategicznych. Ale nie zdobyło kilku jednostek bardzo ważnych pozycji. Szczególnie dało się już w pierwszych godzinach walki zauważyć ze strony powstańców znaczną żywiołowość i spontaniczność oraz wprost bezprzykładną odwagę. Ale z drugiej strony widoczny był od samego początku brak jakiegokolwiek myślenia strategicznego. Poszczególne raczej plutony niż kompanie zdobywały najczęściej przez zaskoczenie niemieckie punkty oporu. Ale tam, gdzie wróg otrzymał się z pierwszego zaskoczenia, bronił się dobrze. I już na tym etapie trzeba było po stronie powstańczej dokonać koncentracji pododdziałów, zdobyć strategiczne cele i opanować przede wszystkim śródmieście. Tymczasem rzeczywiście w ciągu pierwszych godzin a później pierwszych trzech czterech dni powstańcy byli jeszcze w ofensywie.¹⁷ Ta ofensywa gasła, a Niemcy sprowadzali do miasta coraz to nowe oddziały w celu pacyfikacji.

Nie to było najgorszym memento dla powstańców. Tym nieszczęściem zapowiadającym klęskę była niemiecka ofensywa z północy, która w efekcie po ciężkich walkach związków pancernych odrzuciła Rosjan ze znacznej części Warszawy, prawobrzeżnej Pragi. Tu oczywiście można dywagować, że ta ofensywa była w gruncie rzeczy na rękę właśnie Stalinowi. Po to żeby nie udzielić powstańcom pomocy. Tu trzeba znowu dodać, że ta ofensywa była silna. Słabo zaopatrzone i mocno zużyte w czasie ofensywy strategicznej rozpoczętej na Białorusi wojska sowieckie poniosły po raz kolejny wielkie straty i musiały się przynajmniej czasowo wyco-



Młodzi powstańcy. Fot. arch.

fać¹⁸. Ale sowieckie kierownictwo, też zaskoczone politycznie powstaniem, wcale nie miało intencji udzielania mu pomocy. Tu znów trzeba odwołać się do konkretnych dowódców. Dowódca I Armii Wojska Polskiego, gen. Zygmunt Berling podjął na własną rękę próbę forsowania Wisły w Warszawie. Ale w języku wojskowym na własną rękę znaczy przy użyciu tylko armijnych środków przeprawowych. Armijna brygada inżynierijno-saperska dysponowała tylko ok. trzydziestoma łodziami wiosłowymi i dwoma lub trzema motorowymi. W ciągu nocy można było przeprowadzić tą zaimprovizowaną flotyllą przez rzekę wielkości Wisły ok. batalionu wojska. Zakładając brak przeciwdziałania przeciwnika. Ale przeciwnik przeciwdziałał i to intensywnie. W rezultacie na trzech odrębnych odcinkach wysadzono przeliczeniowo ok. 2,5 batalionu tylko z moździerzami jako środkami wsparcia. Pytanie jakie musi być postawione to – co robiła artyleria armijna? Właśnie brygada artylerii stanowiąca integralną część I Armii WP wspierała desantowanie gorzej niż słabo. Odpowiedź dlaczego jest bardzo prosta. Po prostu armia polska podobnie jak cały front posiadała już tylko minimalne zapasy amunicji. Norma, jaką przewidywano w postojach nad Wisłą, to tylko 8 pocisków na dobę przeznaczonych do wystrzelenia.¹⁹ To były realia i mimo również bohaterskiej walki tych żołnierzy, którzy dotarli na lewy brzeg

Wisły, zdążyli oni połączyć się z powstańcami tylko w rejonie Czerniakowa w wymiarze taktycznym. Około 60% z nich padło w walce lub zginęło w czasie powrotnej przeprawy, reszta zdołała się wycofać. Berlinga za ten samowolny desant odwołano ze stanowiska dowódcy armii. Nie było tu wielkiej szkody, bo był to mierzny dowódca. Nawet podczas pierwszej bitwy, wtedy tylko dywizji kościuszkowskiej pod Lenino, dowodził źle. Egzemplifikacją dowodzenia tego właśnie generała pod Lenino były wielkie i zupełnie niepotrzebne straty w ludziach, sięgające 2800 osób. Jeżeli dodamy do tego, że przed frontem dywizji broniły się wtedy przeliczeniowo dwa niemieckie bataliony, czyli circa 1200 na pewno dobrze wyszkolonych żołnierzy, to wyniki mówią same za siebie.

W 1944 roku Berling chciał jako Polak po prostu pomóc powstańcom. Że działał wbrew koncepcjom swoich przełożonych, to już inna rzecz²⁰. Został za to odwołany ze swojej funkcji. Na jego miejsce przyszedł gen. Grochow-Popławski.

Powstańcy już po dwóch dobach walki okazali się za słabi, nawet wobec tych wojsk niemieckich, które w tym czasie znajdowały się w Warszawie. Nie zdołano opanować całego śródmieścia, a Niemcy też działając niewielkimi siłami dążyli do przebiccia własnych szlaków komunikacyjnych przez Warszawę, a potem do izolacji poszczególnych opanowanych przez powstańców dzielnic.

Tu trzeba mieć do dowództwa AK spore pretensje, bo plan Niemców był przejrzysty, a siły niewielkie.²¹ Należało mimo rozpaczliwego deficytu broni dynamizować działania i nie dopuścić do izolacji poszczególnych dzielnic. Bo późniejsza komunikacja, a nawet ewakuacja kanałami to kolejne dowody bohaterstwa, ale zarazem konsekwencje dość prostych błędów. Należy dodać, że oddziały innych ugrupowań polityczno-militarnych, tzn. Armia Ludowa, a nawet NSZ, dyslokowane w Warszawie operacyjnie bez większych przeszkód podporządkowały się kierownictwu powstania i konsekwentnie walczyły na swoich odcinkach.

Tymczasem gen. Komorowski i jego sztab, mimo że powstańcy nie zdołali zdobyć w pierwszych dniach walki wszystkich wyznaczonych celów, czekali z nadzieją na strategiczne forsowanie Wisły przez Rosjan w okolicach Warszawy i wejście Armii Radzieckiej do miasta. Wtedy przygotowane już władze polityczne i wojskowe witałyby Rosjan. Jednak wkrótce stało się jasne, że takiego rozwiązania w najbliższej przyszłości nie będzie²². Z wcześniej podawanych już powodów, tj. niemieckiej ofensywy z północnego Mazowsza oraz faktu, że ofensywa strony wschodniej w naturalny sposób wygasła. Doszedł też powód polityczny. Rosjanie nie mieli żadnego interesu wkłać się w rozgrywkę polityczną typu kto rządzi w Warszawie. W tych warunkach sytuacja ogólna ze złej zmieniła się praktycznie na tragiczną. Delegat – wicepremier Jankowski i gen. Komorowski musieli zasypywać dosłownie depeszami swoich zwierzchników w Londynie z coraz bardziej nagłymi wezwaniami o zrzuć broni i sprzętu oraz dokonanie jakichś uzgodnień z Rosjanami. Również premier Mikołajczyk w Moskwie został postawiony poprzez przebieg walk w Warszawie w bardzo słabej pozycji suplikanta²³. Anglicy z udziałem Amerykanów z kolei na wielokrotne prośby rządu londyńskiego zorganizowali dwa duże dzienne zrzuć broni i sprzętu, w których brało udział po około 600 maszyn. Ale ze względu na wielką odległość bombowce leciały bez eskorty myśliwskiej z niepełnymi ładunkami. Efektywność tych zrzuć oceniono na ok. 15%. Reszta zrzuć wpadła w ręce Niemców²⁴. Pozostawały jeszcze pojedyncze zrzuć nocne wykonywane z nieco lepszą efektywnością, ale była to kropla w morzu potrzeb. Tu trzeba uzupełnić, że praktyczni Anglicy negocjowali z Rosjanami

mi ewentualność udostępnienia rosyjskich lotnisk we wschodniej Polsce dla tych bombowców, które dokonywały zrzutów nad Warszawą. Po prostu chcieli, aby mogły one zabierać mniej paliwa, bo uzupełniałyby je na rosyjskich lotniskach po dokonaniu zrzutów. Mogłyby wtedy zabrać na pokład o ok. 3 tony ładunków więcej, co mnożone przez 600 maszyn musiałoby dać lepsze efekty²⁵. Lotniska takie ewidentnie były dostępne, chociażby węzeł lotnisk Mielec, Świdnik Rzeszów. Ale Rosjanie cynicznie oświadczali, że nie dysponują takowymi. Zgodzili się dopiero wtedy, kiedy na pomoc zrzutową było już ewidentnie za późno. To zdradza prawdziwe intencje Stalina i jego ekipy. Brytyjczycy rozmawiali też oczywiście z Rosjanami o możliwości przyspieszenia kolejnej ofensywy z forsowaniem Wisły na bliskim południu Warszawy włącznie. Ale Rosjanie też nie byli wcale zainteresowani. W prowadzonych rozmowach mnożyli trudności, wyolbrzymiając przy tym potęgę Niemców.

Wojska niemieckie tymczasem obok innych sił, wprowadziły do walki, a raczej pacyfikacji powstania dwie specyficzne brygady SS. Jedną złożoną z przestępców, drugą z renegatów ukraińskich i rosyjskich. Te jednostki pod dowództwem Dirliwanga i Kamińskiego do walk bynajmniej się nie paliły, ale za to bezwzględnie rabowały, zabijały ludność cywilną, rannych; renegaci wymordowali rannych w kilku kościołach zmienionych na szpitale polowe²⁶. Obergruppenfuhrer von den Bach-Zalewski, który w tej fazie walki dowodził po stronie niemieckiej pacyfikacją Warszawy, kazał nawet rozstrzelać kilkudziesięciu morderców i rabusiów z tych brygad z jednym z dowódców włącznie.

Skoro zawiodły inne środki, to u schyłku powstania gen. Pełczyński podsunął Komorowskiemu kolejną dość szaleńczą i utopijną koncepcję. Mianowicie zgromadzenie w rejonie miasta szczególnie w puszczy Kampinoskiej kilku tysięcy partyzantów z oddziałów leśnych AK i przypuszczenie swego rodzaju szturm na Warszawę. Trzeba dodać, że tę koncepcję zaczęto realizować, a oddziały partyzanckie AK rozpoczęły przemarsze i koncentrację w rejonie Warszawy²⁷. Do samych walk o Warszawę nie doszło, bo powstanie po dwóch miesiącach walk upadło. Tu też trzeba dodać, że poprzez ogólną sytuację na frontach wymuszono, by Niemcy przyznali poddającym się powstańcom pra-

wa kombatanckie. Natomiast bez litości potraktowano ludność cywilną, która musiała dokonać pośpiesznej ewakuacji o własnych siłach bez zaopatrzenia, lekarstw itd. Trzeba znów zauważyć, aczkolwiek powinno to być przedmiotem odrębnych badań, że nastroje ludności cywilnej, początkowo w pierwszych dniach sierpnia entuzjastyczne, później – i to w szybkim tempie – zmieniały się bardzo na niekorzyść powstania. Było to podyktowane totalnie pogarszającą się sytuacją aprowizacyjną, zdrowotną, socjalną itd. Niemcy ostrzeliwali i bombardowali bardzo często całe kwartały zabudowy. Wtedy największe straty były wśród ludności cywilnej. Od początków września był zauważalny już wyraźny rozryw między powstańcami a ludnością cywilną.

Powstanie obok oczywistej klęski militarnej było także totalną porażką polityczną całego obozu londyńskiego. Nie tylko dlatego, że plan „Burza” całkowicie spalił na panewce, ale po prostu Churchill oraz także politycy amerykańscy zrozumieli, że pokój miłujący ZSRR (jak zawsze mówił Stalin) nie pozostawia żadnej możliwości osiągnięcia jakiegos porozumienia z londyńskim rządem emigracyjnym. Jednocześnie stawia jednoznacznie na grupkę skupioną w PKWN – później przemianowaną na rząd tymczasowy. Churchill był przede wszystkim Brytyjczykiem i pragmatykiem, a jego pierwszym i nadrzędnym celem była próba ratowania rozpadającego się w coraz szybszym tempie imperium brytyjskiego. Wszystko inne miało dla niego znaczenie trzeciorzędne. Dlatego londyńscy Polacy stawiali się dla niego w miarę upływu czasu elementem coraz bardziej uciążliwym i przeszkodą w osiągnięciu dobrego dla Zjednoczonego Królestwa porozumienia ze Stalinem. Bo na okres powojenny z potężniejącym stale Związkiem Radzieckim takie porozumienie Zjednoczone Królestwo we własnym interesie osiągnąć musiało. Że kosztem właśnie dotychczasowych sojuszników, nie tylko zresztą Polaków, ale również wielu innych, to już było dla Brytyjczyków mało istotne.

Najważniejszym zatem problemem jest to, czy należało powstanie w Warszawie rozpoczynać, czy też zostawić raczej sprawy swojemu biegowi, zwłaszcza po nieudanym przebiegu akcji Burza wszędzie tam, gdzie je dotychczas przeprowadzano. Odpowiedź musi być jednoznaczna. Tak, powstanie było celowe i potrzebne, chociażby

po to, aby światowa, a szczególnie amerykańska opinia publiczna dowiedziała się, że istnieje w ogóle problem Polski. Ale również trzeba bardzo wyraźnie stwierdzić, iż powstanie przygotowane było słabo. Była to akcja znacznie bardziej improwizowana niż celowo przygotowana. A przecież przygotowywano je przez okres około roku. Dowodzi prawdziwości tego twierdzenia nie tylko słabe wyposażenie powstańców, ale też duży chaos panujący na jego początku, kiedy powstańcy jeszcze atakowali. Nie było wówczas przygotowanej strategii powstania i jasno wyznaczonych celów wojskowych. Zastępowano wszystko typową improwizacją i stąd powstanie w sensie militarnym szybko musiało przejść do defensywy. A polscy politycy w Londynie, dla których właśnie powstanie miało być istotnym i ostatecznym atutem politycznym szybko musieli z roli tych, którzy mieli trzymać w rekach poważne atuty polityczne, zejść do roli pokornych i małych suplikantów, błagających o pomoc i ratunek.

1 G. Żukow. *Wspomnienia i refleksje*. MON. Warszawa 1972, s. 436 i nast.

2 J. Lipiński. *Druga wojna światowa na morzu*. Wyd. Morskie. Gdańsk 1972, s. 378–398.

3 A. Liebefeld. *Churchill*. Czytelnik. Warszawa 1971, s. 467 i nast.

4 S. Zabiello. *O rząd i granice*. Warszawa 1968, s. 235–241.

5 Ibidem, s. 246.

6 W. Pobóg Malinowski. *Najnowsza historia Polski. 1864–1945*. T. III. Londyn 1960, s. 382–401.

7 J. Kirchmayer. *Powstanie Warszawskie*. KiW. Warszawa 1964, s. 97–109.

8 Por. A. Albert. *Najnowsza historia Polski 1914–1943*. T.I. Wyd. Puls. Londyn 1985, s. 456 i nast.

9 Por. J. Kirchmayer, op. cit., s. 134 i nast.

10 Por. N. Davies. *Powstanie 1944*. Znak. Kraków 2006, s. 56 i nast.

11 Ibidem.

12 A. Przygoński. *Powstanie warszawskie w sierpniu 1944 r.* T.I. PWN. Warszawa 1980, s. 87–92.

13 Ibidem, s. 104–111.

14 A. Borkiewicz. *Powstanie warszawskie. Zarys działań natury wojskowej*. Pax. Warszawa 1969, s. 136 i nast.

15 Ibidem, s. 134–142.

16 Por. J. Ciechanowski. *Powstanie warszawskie*. PIW. Warszawa 1987, s. 246 i nast.

17 A. Borkiewicz, op. cit., s. 171 i 184.

18 M. Iwanow. *Powstanie warszawskie widziane z Moskwy*. Znak. Kraków. 2010, s. 168 i nast.

19 Por. A. Borkiewicz, op. cit., s. 236 i nast.

20 J. Kirchmayer, op. cit., s. 367–379.

21 A. Borkiewicz, op. cit., s. 311 i nast.

22 Zob. szerzej J. Ciechanowski, op. cit., s. 198 i nast.

23 Szerzej A. Albert, op. cit., s. 461 i nast.

24 A. Borkiewicz, op. cit., s. 345–354.

25 Szerzej M. Iwanow, op. cit., s. 156–164.

26 Szerzej J. Kirchmayer, op. cit., s. 412–423.

27 A. Borkiewicz, op. cit., s. 357–365.

Nieobecni mają głos

Są w naszym regionie miejsca, które zniknęły z mapy po drugiej wojnie światowej. Zapomniane przez większość, powracają jedynie we wspomnieniach i opowieściach. Coraz częściej nasze miasta ukazują swoje drugie, nieznane młodym mieszkańcom oblicze.

Przed wojną Zagłębie było terenem, na którym chętnie osiedlali się Żydzi, ale większość śladów ich obecności zniknęła z powierzchni ziemi. Jest jednak ktoś, kto pragnie przywrócić zainteresowanie historią regionu. Fundacja Brama Cukermana to niezwykła organizacja powołana przez Karolinę i Piotra Jakowieńków w celu propagowania dziedzictwa kulturowego Żydów na terenie Zagłębia, a w szczególności Będzina. „Opowieści nieobecnych” to nowatorski sposób na przedstawienie historii zagłębiowskich Żydów. Jego inauguracja miała miejsce 27 stycznia w Bytomiu, a 15 czerwca został nagrodzony w konkursie „Śląska Rzecz”. W ramach tego projektu powstało jedenaście audioprzewodników dotyczących wybranych miast w województwie śląskim, w tym Dąbrowy Górniczej, Będzina, Sosnowca i Czeladzi. Każdy z audiobooków zawiera dosłownie kilka parominutowych opowieści uwzględniających zarówno historię miasta, jak i jego żydowskich mieszkańców. Możemy się z nich dowiedzieć, że kiedyś na miejscu blokowisk istniał całkowicie inny, wielokulturowy świat, który w bestialski sposób zniszczyła wojna.

Niewątpliwie dużym plusem jest ścieżka dźwiękowa stworzona przez Raphaela Rogińskiego klimatem przypominająca tradycyjną muzykę żydowską. Jest ona idealnym tłem dla spokojnego, głębokiego głosu lektora Michała Majnicza, aktora Teatru Polskiego we Wrocławiu. Teksty prezentowane w przewodnikach zostały napisane i konsultowane przez naukowców, badaczy historii Żydów, m.in. Jarosława Krajniewskiego, Grzegorza Onyszko i dr. Pawła Sarnę (oprac.) cechując się zrozumiałością, przejrzystością oraz lapidarnością. Nie ma obaw, że podczas słuchania zaśniemy, gdyż prezentowane tematy są niezwykle ciekawe, a czasem nawet zaskakujące. W wielu miejscach znajdziemy liczne powiązania z literaturą i może się okazać, że nasze miasto stało się inspiracją dla jednego z wielkich pisarzy.

Audioprzewodniki można pobrać za darmo ze strony internetowej fundacji. NaGokstepnie należy wybrać się na wycieczkę po określonym mieście i odkrywać pozostałości dawnego świata. Akcja jest skierowana

nie tylko do mieszkańców, ale również turystów, którzy mają okazję poznać inną stronę zurbanizowanych obecnie miast. Dla nich przygotowano specjalne mapki z zaznaczonymi miejscami ujętymi w audiobookach. Patronat nad projektem objął Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego oraz poszczególne miasta biorące w nim udział.

15 czerwca na Zamku Śląskim w Cieszynie odbyło się wręczenie nagród siódmej edycji konkursu „Śląska Rzecz”. W konkursie tym szata graficzna audioprzewodników „Opowieści Nieobecnych” dostała główną nagrodę w kategorii grafika. Jury konkursu „Śląska Rzecz” podkreślało w werdykcie, że „minimalistyczna oprawa strony internetowej i druków sprzyja zadumie i skłania do wsłuchania się w dźwiękową zawartość”. – Jak mówił Piotr Jakowieńko: „Dla nas najważniejsze jest przesłanie naszego projektu, a jego „opakowanie” miało nie przeszkadzać. Wymyśliliśmy formę audioprzewodników, łatwo dostępnych dla każdego, do ściągnięcia za darmo na przykład na telefon”.

Paulina Budna



Śląska Rzecz



**OPOWIEŚCI
NIEOBECNYCH**

Rok 1914 w Grodźcu

W sierpniu 1914 roku rozpoczęła się pierwsza wojna światowa. Już pierwszego dnia niemieckie patrole operowały na granicy rosyjsko-pruskiej mając za zadanie określenie sił wroga i ich lokację na tym terenie. Obecności rosyjskich wojsk nie stwierdzono. Był to efekt taktyki carskich dowódców, którzy nie widzieli sensu obrony obszaru otoczonego z kilku stron przez nieprzyjaciela. Dlatego też postanowiono oprócz wysadzenia mostów granicznych wycofać z Zagłębia Dąbrowskiego rosyjskich żołnierzy, w tym 14. Doński pułk kozaków stacjonujący od kilkunastu lat w będzińskich koszarach.

Niemieckie dowództwo postanowiło, że Zagłębie zajmą: 1. Górnośląski pułk piechoty oraz 2. pułk ułanów śląskich. Oddziały te stacjonowały m.in. w Pszczynie, Gliwicach i Bytomiu, w którym do dzisiaj zachował się piękny, monumentalny budynek z czerwonej cegły, służący wówczas za koszary wojskowe. Tereny nad Brynicą zajęto bez jednego wystrzału. Niemieckie oddziały pod dowództwem generała Remusa von Woyrscha nie natrafiły tu na jakiegokolwiek opór. Taki rozwój wydarzeń pokrzyżował plany Józefa Piłsudskiego, który wkraczając wraz z ochotnikami do Zagłębia chciał rozpocząć walkę o niepodległość Polski. Do tego jednak nie doszło. W tym samym roku Austriacy i Niemcy podzielili się wpływami nad Brynicą. W wyniku tego porozumienia Grodziec znalazł się pod niemiecką okupacją.

Do Grodźca Niemcy wkroczyli najprawdopodobniej 2 sierpnia. Również i tutaj nie natknęto się na żołnierzy w służbie cara. Zastano tu budynki, gdzie niegdyś stacjonowali żołnierze. W przypadku Grodźca były to obiekty wchodzące w skład tzw. kordonu, który miał strzec granicy rosyjsko-pruskiej. Stacjonował tu 3. Oddział Częstochowskiej Brygady Osobnego Korpusu Straży Pogranicznej. Jak wyglądał wówczas Grodziec? Była to uprzemysłowiona wieś, w której funkcjonowały kopalnie węgla kamiennego, fabryka cementu portlandzkiego oraz browar. Od kilkudziesięciu lat nie funkcjonowała niewielka huta cynku. Zabudowa z cegły w postaci budynków należących do Grodzieckiego Towarzystwa Kopalni Węgla

i Zakładów Przemysłowych wyróżniała się na tle gospodarstw i drewnianych chat krytych strzechą.

Nad wsią górowały dwa małe kościoły: św. Doroty i św. Katarzyny. Najważniejszą rolę odgrywali tu właściciele grodzieckiego majątku – rodzina Ciechanowskich, która od kilkudziesięciu lat zamieszkiwała w zaprojektowanej przez włoskiego architekta, Franciszka Marię Lanciego, dziecinastowiecznej willi.

W 1914 r. Grodziec wchodził w skład gminy gżichowskiej będącej częścią powiatu będzińskiego, znajdującego się w guberni piotrkowskiej. Rok później siedziba gminy została przeniesiona do Grodźca, zaś Gżichów i sąsiedni Małobądz postanowiono przyłączyć do Będzina. Co ciekawe, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wspomniana zmiana o charakterze administracyjnym została utrzymana. Jeśli chodzi o administrację kościelną grodziecka parafia św. Katarzyny stanowiła w tym czasie część diecezji kieleckiej. Funkcję proboszcza w Grodźcu

pełnił wówczas ks. Lucjan Tomasik.

Jak wyglądała interesująca nas zagłębiowska wieś w tym czasie jeśli chodzi o ludność? To trudno dokładnie ustalić. Pewien obraz może dać nam spis ludności wykonany na tych terenach w 1921 r. W tym roku w Grodźcu mieszkały 8 192 osoby. Jeśli chodzi o wyznanie znajdowało się tu: 7 994 osoby wyznania rzymsko-katolickiego, 15 ewangelickiego, 13 grecko-katolickiego, 7 prawosławnego, 162 mojżeszowego. Żył tu też jeden mahometanin. Pod względem pochodzenia większość reprezentowali Polacy – 8 134 osoby. Mniejszość stanowili: Żydzi – 40 osób, Rusini – 9 osób, Rosjanie – 6 osób, Białorusini – 1 osoba, Francuzi – 1 osoba, Niemcy – 1 osoba.

Informacje o sytuacji w Grodźcu, w 1914 r., możemy uzyskać z lokalnej kroniki parafialnej, która obejmuje lata 1663–1939. Obecnie znajduje się ona w zbiorach Archiwum Państwowego w Katowicach. Według duchownego, sporządzającego w tym czasie wpisy do kroniki 2 sierpnia 1914 r. do Grodźca od strony Czeladzi przybył kilku-

dziesięcioosobowy, niemiecki oddział, który w krótkim czasie zajął wieś. Na plebanii został zakwaterowany feldfebel a wraz z nim troje żołnierzy.

Wszelka broń znajdująca się w posiadaniu okolicznej ludności została skonfiskowana. Tak samo postąpiono w przypadku materiałów wybuchowych używanych w tamtejszych kopalniach. Wyjątek uczyniono dla grodzieckiego proboszcza, któremu pozwolono zatrzymać rewolwer. Niewykluczone (choć jest to tylko przypuszczenie) mógł być to popularny wówczas, belgijski rewolwer Nagant wz. 1895, kalibru 7,62 mm.

Z Częstochowy wracali rezerwiści, którzy mieli w tym miejscu, w ramach mobilizacji zasilić carskie wojsko. Ci, którzy nie wsiedli do pociągów zmierzających na miejsce zbiórki mieli być traktowani jak dezertery. Rezerwiści nie zdążyli. Miasto zostało wcześniej zajęte przez Niemców.

6 sierpnia Niemcy bronami należącymi do miejscowych włościan zablokowali drogę w pobliżu budynku wikariatu. Następnego

Widok ze wzgórza św. Doroty na wzgórze Parcina. Fot. D Majchrzak





Stanowisko dla armaty na wzgórzu św. Doroty. Fot. D Majchrzak

dnia żołnierze z 22 regimentu mieli zostać zastąpieni przez oddział 23-go regimentu. Jego dowódca wyraził zgodę na stworzenie w Grodźcu komitetu obywatelskiego. Do jego zadań należało utrzymanie porządku we wsi, powołanie do życia tzw. sądów do-
rażnych, zadbanie o kwestie żywnościowe a także pomoc ubogim.

Według autora wpisu, we wspomnianej kronice parafialnej Żydzi mieli w tym czasie pełnić rolę niemieckich szpiegów i prowokować Niemców do konfliktu z polską ludnością. Nie wydaje się to jednak być wiarygodną informacją. Raczej należy taki zabieg przypisać niechęci proboszcza wobec starozakonnych, których wówczas w Grodźcu było jak można przypuszczać z przytoczonego powyżej spisu niewielu. Nie funkcjonowała tu też podczas pierwszej wojny światowej gmina żydowska. Najbliższa znajdowała się w Będzinie.

Mieszkańcy zagłębiowskiej wsi zachowywali się „biernie i wyczekująco”. Ich postawa nie różniła się od reakcji ludności w innych częściach regionu. Wskazuje na to meldunek niemieckiego żołnierza, w którym zaznacza się, iż miejscowa ludność nie stawia żadnego oporu i że jest pełna „respektu i oczekiwania”.

10 sierpnia na budynkach rozlepiono odezwę, której autorem mieli być Austriacy i Niemcy a adresatem Polacy. Odezwa nie spotkała się z jakkolwiek reakcją. 11 sierpnia wojsko opuściło Grodziec.

Mijały kolejne dni. Część robotników wy-

jechała z bliskimi do rodzinnych miejscowości. W miarę możliwości starano się śledzić doniesienia prasowe na temat sytuacji na froncie. Cały czas obawiano się, że Zagłębie może stać się terenem, na którym będą miały miejsce działania wojenne.

15 września zjawiła się w Grodźcu kompania niemieckiej piechoty. Miała ona za zadanie wykopanie okopów począwszy od dworskiego ogrodu w stronę „czeladzkiej szosy wiodącej do Będzina”. Następnego dnia, po przybyciu baterii niemieckiej artylerii umieszczono w tym miejscu część armat. Resztę ulokowano w pobliżu wspomnianego ogrodu. Po południu „artyleria wraz z armatami” skierowała się w kierunku Śląska.

18 września we wsi ponownie pojawiła się artyleria. Armaty ulokowano tym razem na wzgórzu św. Doroty a następnie przetransportowano na sąsiednie wzniesienie zwane Parciną. Co ciekawe duchowny nic nie wspomina w tym kontekście o trzecim wzniesieniu a mianowicie wzgórzu Kijowa. Niewykluczone, iż tam nie trafiły armaty a to ze względu na eksploatację tegoż miejsca przez lokalną cementownię. Po południu oddział udał się ponownie na Śląsk. Mieszkańcy Grodźca obawiali się, że takie manewry mogą być zapowiedzią zbliżającej się bitwy. Bitwy, która będzie toczyć się na tym terenie.

19 września dwa oddziały piechoty wyposażone w kilofy i łopaty skierowano na wzgórze Parcina. Następnego dnia w Grodź-

cu zjawił się 4 regiment landszturmu, który ulokowano w budynku szkolnym. Zaś na plebanii zamieszkał dowódca oddziału wraz z dwoma pisarzami i czterema żołnierzami. Na terenie posiadłości Ciechanowskich zakwaterowanie znalazło sześciu oficerów. W pobliżu ogrodu dworskiego i kopalni Maria rozlokowano wozy amunicyjne a konie od nich umieszczono m.in. na terenie majątku Ciechanowskich oraz w stajniach należących do Grodzieckiego Towarzystwa. Tego samego dnia odcięto dostęp do dróg prowadzących w kierunku Łągiszy, Będzina i Gródkowa.

22 września Polacy pochodzący z Górnego Śląska, z okolic Gliwic poprosili grodzieckiego proboszcza o odprawienie w ich intencji dwóch mszy. Ten jak można przypuścić spełnił ich prośbę. Z jego wpisu dotyczącego tychże osób wynika, iż szanował ich i nie traktował jak wrogów. Na taką ocenę wpływało jak można się domyślać nie tylko ich pochodzenie ale także to, że nie odegrali negatywnej roli podczas stacjonowania w Grodźcu. Z kroniki parafialnej wynika także, iż można było tychże żołnierzy zobaczyć modlących się w lokalnym kościele.

Tego samego dnia odblokowano wspomniane wcześniej drogi. Następnego dnia regiment wraz z wozami z amunicją wyruszył w kierunku Będzina.

11 listopada przez Grodziec przechodzili żołnierze austriacy, którzy podobnie jak oddziały niemieckie, cofając się spod Warszawy kierowali się na zachód. Przez cały dzień słychać było detonacje. Niemieckie wojsko wysadzało lokalne linie kolejowe. Dwa dni później, 100 osobowy oddział niemiecki, przybyły od strony Czeladzi, udał się do kopalni Grodzieckiego Towarzystwa. Następnie żołnierze usunęli stamtąd pracowników biurowych oraz robotników. Zablockowano drogę do zakładu. Zaraz potem rozpoczęto niszczenie maszyn kopalnianych. Po zakończeniu akcji oddział udał się do Wojkowic Komornych aby podobnie postąpić z wyposażeniem kopalni „Jowisz”. Po powrocie z Wojkowic zniszczono wyposażenie kopalni „Maria”. Następnie żołnierze udali się w kierunku Czeladzi.

14 listopada przez Grodziec ponownie przechodzili austriacy żołnierze wraz z taborami. Udawali się w kierunku Wojkowic Komornych. Byli „zmęczeni, głodni, odarci, lichy ubrani”. Proboszcz dowie-

dział się od nich o trwającej bitwie pod Olkuszem i przegranym z Rosjanami starciem pod Ojcowem.

Dwa dni później wojsko zarekwirowało część bydła z Grodźca płacąc jego właścicielom za nie. Była to forma rekompensaty. Jednakże w tym czasie istniał poważny problem z zakupem artykułów żywnościowych. Powodem była niewątpliwie wojna, która wywindowała ceny produktów ale także nienajlepsza jakość zagłębiowskich gleb.

W Grodźcu i Wojkowicach Komornych żołnierze przygotowywali okopy. Przez dwa dni nad Grodźcem i okolicą krążyły austriackie samoloty. Ludność obawiając się rozpoczęcia bitwy na tym terenie zaczęła przygotowywać własnym sumptem schronienia w piwnicach bądź w ziemi.

17 listopada we wsi ponownie znalazły się wozy z amunicją. Umieszczono je na łące plebańskiej i w pobliżu kolonii robotniczej Grodzieckiego Towarzystwa. Konie ulokowano w stodołach należących do lokalnych włościan. 18 i 19 listopada słychać było odgłosy wystrzałów. Mówiono, że są to odgłosy bitwy, która miała toczyć się w okolicy Poręby. Na wzgórzu św. Doroty austriacy saperzy wykopali okopy. W międzyczasie doszło ponownie do rekwizycji. Wojsko zabrało kolejne sztuki bydła i koni. Ludność była coraz bardziej nerwowa i przygnębiona. Spodziewano się w niedługim czasie bitwy w Grodźcu.

22 listopada rano wozy z amunicją skierowano do Dąbrowy Górniczej. Popołudniu wróciły z powrotem. Nadal trwały prace na wzgórzu św. Doroty. Wykopano podwójną linię okopów strzeleckich, przygotowano miejsca dla armat. Zbocza wzgórza (które z pewnością nie było wówczas zalesione), zostały otoczone drutem kolczastym. Duchowny obawiał się, że stara, nadgryziona zębem czasu świątynia w czasie starcia zostanie zniszczona. Do oczekiwanej bitwy jednak nie doszło... Dzisiaj można oglądać pozostałości po wspomnianych okopach oraz stanowiskach dla armat. Do naszych czasów ocalał też niemy świadek tamtych wydarzeń – wspomniany XVII-wieczny kościółek pod wezwaniem św. Doroty.

Artykuł powstał na podstawie publikacji: *Parafia Rzymskokatolicka Grodziec 1663–1939*, Archiwum Państwowe w Katowicach, sygn. 1; *Granice w Europie Środkowo – Wschodniej w XIX–XX wieku. Od Trójkąta Trzech Cesarzy do traktatu w Schengen*, praca pod red. R. Kaczmarka i Z. Studenckiego, Sosnowiec 2008; *Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej*, T. 3: *Województwo kieleckie*, Warszawa 1925; *Zagłębie Dąbrowskie w czasach zaborów i walk o niepodległość (do 1918 roku)*, praca pod red. J. Walczaka, Sosnowiec 2004; *Z. Walczak, Rewolwer Nagant wz. 1895*, Warszawa 1981; *J. Pajewski Pierwsza Wojna Światowa 1914–1918*, Warszawa 2005; *Będzin 1358–2008*, T. 3: *Od rozbiorów do współczesności*, praca pod red. A. Glimos-Nadgórskiej, Będzin 2008; „Ziemia Będzińska”, 2011, nr 10/5

Dariusz Majchrzak

Pozostałości okopów z czasów pierwszej wojny światowej na wzgórzu św. Doroty. Fot. D Majchrzak



Gminny Ośrodek Kultury w Bobrownikach utworzony został w 1976 roku. W jego skład wchodzi pięć bibliotek i pięć Domów Kultury: w Bobrownikach, Dobieszowicach, Rogoźniku, Sączowie i Siemonii. Ośrodek prowadzi szereg cyklicznych imprez oraz stałych zajęć. Co dwa miesiące w Galerii „Spichlerz” – w ośrodku GOK urządzonym w budynku zabytkowego dworku w Dobieszowicach – odbywa się „Wieczór z gwiazdą”, czyli spotkanie autorskie z wybitnymi postaciami świata kultury i mediów. Galeria gościła już takie gwiazdy, jak Artur Barciś, Anna Guzik, Marcin Prokop, Cezary Żak, Magdalena Walach, Bartosz Opania, Robert Gonera, Dorota Stalińska, Rafał Królikowski, Robert Moskwa, Emilian Kamiński, Marcin Daniec, Kacper Kuszewski czy Jarosław Boberek. Raz na kwartał w „Spichlerzu” organizowane są wernisaże malarstwa, grafiki, rysunku i rzeźby. Swoje prace prezentowali tam już Katarzyna Czarnota, Barbara Czuwaj-Grabowska, Mirosław Kiciński, Krzysztof Czarnota, Janusz Burzyński-Burza, Katarzyna Buchacz, Jan Sudomir, Katarzyna Juszczyk-Dudziak i Leszek Szymczyk. Również raz na kwartał w Domu Kultury w Rogoźniku odbywają się koncerty muzyki klasycznej. Z kolei co roku, w drugiej połowie maja w Twardowicach odbywa się plenerowa Biesiada Gminnych Zespołów Śpiewaczych i Folklorystycznych. Natomiast w drugiej połowie listopada w Sączowie odbywa się impreza pod hasłem „Nasze talenty”, podsumowująca dorobek sekcji artystycznych GOK. Gminny Ośrodek Kultury jest również organizatorem Dni Bobrownik, obchodzonych w każdy ostatni weekend czerwca. Ta gminna impreza plenerowa pozwala ośrodkowi zaprezentować swoją działalność i osiągnięcia. Oprócz Dni Bobrownik, GOK organizuje imprezy okolicznościowe i rocznicowe, gminne eliminacje do Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, Konkurs Piosenki Ekologicznej, wieczory kolęd i pastorałek, Biesiady Górni-

cze, pikniki rodzinne, konkursy plastyczne i warsztaty taneczne dla dzieci i młodzieży oraz imprezy związane z feriami zimowymi. Poza organizacją cyklicznych imprez, na działalność Gminnego Ośrodka Kultury składa się prężna działalność sekcji, grup i kół zainteresowań. W Bobrow-

Fot. GOK w Bobrownikach



nikach odbywają się zajęcia z zakresu calaneticsu i pilatesu, tenisa stołowego, gry na instrumentach klawiszowych, rytmiki dla dzieci oraz tańca dla dorosłych, zajęcia plastyczne oraz próby Zespołu Pieśni i Tańca „Bobrowczanie”. W Dobieszowicach działa Zespół Śpiewaczy „Dobieszowianki”, chór męski oraz odbywają się zajęcia plastyczne. W Siemonii działa Zespół Śpiewaczy „Siemonianki”, odbywają się zajęcia aerobiku, zajęcia plastyczne i zdobnicze oraz z zakresu sztuk walki. W Rogoź-

Fot. GOK w Bobrownikach



niku odbywają się zajęcia z zakresu jogi, tańca współczesnego, zumbi i capoeiry, zajęcia z języka angielskiego i plastyczne oraz z zakresu gry na gitarze, próby Regionalnego Zespołu Folklorystycznego „Rogożianki” oraz spotkania Koła Emerytów, Rencistów i Inwalidów. W Sączowie natomiast działają młodzieżowe zespoły teatralne, w tym grupa „Wszędzie daleko”, zespół taneczny „Mini-Min”, zespoły muzyczne „Remix” i „Mini Remix” oraz Zespół Śpiewaczy „Sączowianki”, odbywają się zajęcia plastyczne i wokalne oraz nauka gry na gitarze, a także zajęcia ruchowe: Latino Body i aerobic.

Michał Kubara

Wojna futbolowa

W Jaworznie ciągle się coś dzieje. Często bywają to działania wcale nie inspirowane przez miejskich „działaczy” – urzędników. Czasem to inicjatywy oddolne, którym władze pomagają. Tak było w ubiegłym roku z happeningiem „Odbicie węzła Jeleńskie-



go”, którego celem było zwrócenie uwagi na problemy z dostępem do autostrady A-4. Miasto włączyło się wówczas i finansowo, i osobiście – prezydent P. Silbert walczył nawet, choć w mundurze niekoniecznie najbardziej ulubionych przez Polaków wojsk.

Tym razem Marian Lewek postanowił zaprosić mieszkańców Jaworzna na „Wojnę futbolową”, której celem było przeniesienie klimatu Euro 2012 na teren miasta. Impreza trwała całe trzy dni: od piątku do niedzieli – kończącej europejski turniej piłkarski. Jaworznianie mieli okazję oglądać pojazdy militarne w bazie i w trakcie przejazdu przez miasto, podziwiać umiejętności Grupy Rekonstrukcji Historycznej, która zapalała i entuzjazmem, mimo upału, w pełnym umundurowaniu z różnych okresów czasu i różnych armii – walczyła do upadłego. Do tego: strzelnica paintball, wystawa broni strzeleckiej, dynamiczne pokazy sprzętu militarnego, możliwość przejażdżek samochodami terenowymi, kolejka tyrolską, pojazdem gąsienicowym...

Do akcji włączyła się także młodzież z klasy wojskowej IV Liceum Profilowanego, której paradna musztra zrobiła na widzach ogromne wrażenie. Kulminacja nastąpiła w niedzielę, gdy zaczęły w samo południe walczyć ofiarnie drużyny piłkarskie. Czterdziestostopniowy upał nie przeraził młodzików ze „Szcakowianki”, których remis 10:10 wywołał prośbę o dogrywkę. Stanowczy opór sędziego, obawiającego się o zdrowie chłopców sprawił, że mecz wygrała drużyna „Włochów” rzutami karnymi.

Starszych nie wystraszył ani upał, ani Wielki Mistrz Ponadnarodowego Zakonu Piłki Nożnej, który postanowił przerwać mecz strażaków z policjantami. Powód miał najistotniejszy: nie wpłacili do kasy Zakonu należnego haraczku.

Inscenizacja, w której wzięły udział różnorodne armie – radziecka, niemiecka, polska, krzyżacka i pojawił się nawet talib – przebiegała z różnorodnymi perypetiami – to Wielkiego Mistrza przepędziły miotłami sprzątaczkę, to znów nasza armia zaareztowała go i musiał mecz oglądać przez kraty, wreszcie odbity przez rycerzy krzyżowych, wspomaganych przez faszystów i kozaków – został uwolniony i odjechał efektownym pojazdem wojskowym z czasów II wojny światowej. Nic dziwnego: Naszemu mistrzowi musimy pomóc! – krzyczeli działacze. Gruby on i łysy, a przy tym chciwy okrutnie, lecz przecież nasz pan. Kto nam wypłaci diety i honoraria?



Bez niego nasz Święty Zakon Futbolowy legnie w gruzach!

Abym nie było żadnych wątpliwości, Wódz Wojny Futbolowej zastrzegł: Szanowni państwo. Wszystkie postacie i zdarzenia były tylko i wyłącznie wytworem wyobraźni autorów wojny. Wszelkie podobieństwo do rzeczy dobrze państwu znanych było absolutnie przypadkowe.

Wygrali nasi – bo w jednej i drugiej drużynie biegali i w piłkę kopali jaworznianie. A potem już tylko wspólna zabawa przy grillu, piwie i innych osiągnięciach gastronomicznych. I tak aż do rozpoczęcia finałowego meczu EURO 2011 w TV. Chociaż byli i tacy, którym zabawa pod chmurką bardziej odpowiadała, więc do domów wrócili dopiero przegonieni ulewą, która spłukała kurz i pył bitewny.

Tekst i zdj. Zbigniew Adamczyk

II Rodzinny Festyn Ekologiczny

Powrót Bobra nad Brynicę i Przemszę



Sami malujemy zielony obraz Ziemi

Przynieś surowce wtórne – dostaniesz sadzonkę

Ekologia w Twoich rękach – pozytywne działanie – odpadów segregowanie

Weź udział w konkursie – otrzymasz nagrodę

Organizatorzy:
Odcyna Wydawnicza **RESONANS**
Związek Zagłębiowski

Partner:
REMONDIS®

Program festynu:
10–18 – wymiana surowców wtórnych (butelki PET, szkło, puszki, ZSEiE) na sadzonki
12:30–15 – konkursy i quizy ekologiczne z nagrodami
15–18 – część artystyczna, występy zespołu romskiego z Zawiercia i Kasi Tyłmanowskiej.

23 czerwca 2012 – Zawiercie, OSiR
30 czerwca 2012 – Poręba, MOSiR

Patronat medialny:
TVP KATOWICE
Nowe Zagłębie

Patronat honorowy - sponsorzy: Nadleśnictwo Śiewierz,
Prezydent Miasta Zawiercie,
Starosta Powiatu Zawierciańskiego,
Zakład Gospodarki Komunalnej w Zawierciu



Bóbr – największy gryzoń Europy. Jedni cenią go za pozytywne oddziaływanie na ekosystem i znaczny udział w tworzeniu bioróżnorodności, czyli całości biologicznego dziedzictwa Ziemi. Inni zaś widzą w nim złośliwego szkodnika podtapiającego uprawy rolne, czyniącego szkody leśne oraz niejednokrotnie niszczącego wały przeciwpowodziowe.

Mimo tych kontrowersji bóbr od ubiegłego roku stał się symbolem kampanii ekologicznej, która odbyła się 23 czerwca na terenie Ośrodka Sportu i Rekreacji w Zawierciu oraz 30 czerwca na terenie Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Porębie.

W trakcie festynu odbyła się zbiórka surowców wtórnych w postaci makułatury, butelek PET, puszek aluminiowych, opakowań szklanych oraz sprzętu elektronicznego, za które uczestnicy otrzymali sadzonki iglaków oraz inne upominki. Podczas imprezy organizowano konkursy i quizy dla dzieci z wiedzy ekologicznej, a najlepsi otrzymali nagrody

Tour de Pologne

lotna premia IV etapu w centrum Dąbrowy Górniczej. Fotorelacja.

Fot. D. Nowak



PUMA 2012

Już po raz osiemnasty w Dąbrowie Górniczej odbył się Przegląd Umiejętności Artystycznych Domów Pomocy Społecznej PUMA, który od trzech lat ma również charakter międzynarodowy. W trakcie trzydniowej imprezy w Hali Widowiskowo-Sportowej „Centrum” wystąpiło 75 zespołów, prezentujących różne formy artystycznego przekazu. Imprezie towarzyszyły również warsztaty i panele dyskusyjne adresowane do terapeutów i opiekunów osób niepełnosprawnych i starszych.

R. Garstka



KURIER ZAWIERCIAŃSKI

TYGODNIK POWIATOWY UKAZUJE SIĘ W ZAWIERCIU, ŁAZACH, PORĘBIE, KROCZYCACH, WŁODOWICACH, IRZĄDZACH, PRADŁACH, SZCZĘKOCINACH

„Kurier Zawierciański” ukazuje się od 26 czerwca 2009 roku na terenie wszystkich gmin powiatu zawierciańskiego. Wydawcą tygodnika jest MyszPress s.c., a redaktorem naczelnym Jarosław Mazanek. Skład redakcji nie zmienił się od chwili powstania tygodnika, a tworzą go: Monika Polak-Pałęga, Justyna Banach, Monika Polak-Pałęga, Robert Bączyński oraz Sebastian Ruciński. Redakcja „Kuriera Zawierciańskiego” uczestniczy w licznych akcjach, które wspierają środowisko lokalne. Sponsoring wiele imprez kulturalnych i sportowych oraz klubów sportowych: wspiera między innymi klub siatkarski MTS AS oraz klub piłkarski Źródło Kromolów. Redakcja często inicjuje i współorganizuje akcje społeczne. Co roku „Kurier Zawierciański” sponsoruje lub patronuje kilkudziesięciu imprezom różnej rangi. Należy do nich choćby Plebiscyt „Sportowiec Roku”. Gala Sportu, organizowana na zakończenie plebiscytu to zawsze duże wydarzenie sportowe i kulturalne dla powiatów zawierciańskiego i myszkowskiego, które przyciąga około dwustu gości oficjalnych, w tym polityków, przedsiębiorców oraz oczywiście sportowców. Nadawany przez redakcję „Kuriera Zawierciańskiego” tytuł Sportowiec Roku to nie tylko prestiż,

ale również atrakcyjne nagrody. W edycji Sportowiec Roku 2011 wartość nagród wyniosła 35 000 zł.; o zwycięstwie decydują głosy Czytelników. Inne wspierane przez „Kuriera” imprezy to Dni Zawiercia, Dni Łaz, Rodzinny Bieg Uliczny o Puchar Prezydenta Miasta Zawiercia i Ogólnopolska Olimpiada Sportowa Uniwersytetów Trzeciego Wieku. Tygodnik bierze również udział w akcjach charytatywnych, pod jego patronatem odbywał się między innymi majowy koncert dla podopiecznych Stowarzyszenia Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym oraz Ich Rodzinom „Z dobrego serca”. Charytatywnie zagrali wtedy m.in.: Krzysztof „Jary” Jarczyński – były wokalista „Oddziału Zamkniętego”, zespół Universe i Katarzyna Sochacka. Brał też udział w akcji „Zbierając nakrętki pomagasz Ewie”, nagłaśniając zaś historię ciężko zatrutego chłopca z Łaz, „Kurier” przyczynił się do znalezienia środków na jego leczenie. Od początku swego istnienia „Kurier Zawierciański” współpracuje z takimi organizacjami, jak: Centrum Inicjatyw Lokalnych, Stowarzyszenie Pomocy Dzieciom i Osobom Kalekim-Niepełnosprawnym „Daj Szansę”, Polskie Towarzystwo Stwardnienia Rozsianego Oddział w Zawierciu, Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, Stowarzyszenie Obroń-

ców Zwierząt „Koala”. Tygodnik promuje także zachowania proekologiczne.

Dzięki swej samodzielności ekonomicznej „Kurier Zawierciański” jest tygodnikiem niezależnym od samorządów, stąd nie boi się podejmować trudnych tematów. W sposób przystępny porusza najważniejsze dla lokalnej społeczności kwestie, w tym sprawy najbardziej bulwersujące. Nie brakuje ponadto nowinek ze świata lokalnej polityki, gospodarki i życia kulturalnego. Stałą rubrykę stanowi Kronika Policyjna i Straży, która jest efektem stałej współpracy z Komendą Powiatową Policji w Zawierciu i Komendą Powiatową Państwowej Straży Pożarnej w Zawierciu. Jest też stały dział sportowy, dział ogłoszeń, prognoza pogody na weekend oraz dział kulturalny „Co? Gdzie? Kiedy?”, gdzie odnaleźć można zapowiedzi wydarzeń kulturalnych na najbliższe tygodnie. Z działem tym sąsiaduje także rubryka literacka, zawierająca interesujące propozycje książkowe. Ponadto, „Kurier Zawierciański” zawiera dodatek telewizyjny w formie wkładki.

Tygodnik jest także dostępny w formie elektronicznej na stronie: www.kurierzawierciański.pl

Michał Kubara



Historia klubu LKS „Skalniak” Kroczyce sięga 1968 roku, kiedy to został założony i funkcjonował pod nazwą Ludowy Zespół Sportowy „Kroczyce”. W latach 1986–1989 klub uczestniczył w rozgrywkach ligi okręgowej podokręgu Częstochowa. Od 1989 roku drużyna przynależy do podokręgu Sosnowiec, gdzie prowadziła rozgrywki w klasie B,

aby w roku 2011 awansować do klasy A. Obecne władze LKS „Skalniak” Kroczyce w składzie Prezesa Jerzego Czapli, Łukasza Kruszyńskiego oraz Juliana Gajckiego doprowadziły do remontu stadionu klubu. Środki zostały pozyskane z Unii Europejskiej oraz Urzędu Gminy Kroczyce. Obecnie z nowego stadionu korzysta 32 seniorów oraz 25 junio-

rów. Cele zarządu klubu na lata 2012–2013 to kontynuacja rozgrywek w klasie A oraz wznowienie pracy z drużyną juniorów. W lipcu 2012 roku zorganizowano 2 mecze towarzyskie z drużyną kibiców przy współudziale lokalnego sponsora.

(red.)



XIII Sympozjum Zagłębiowskie im. Jana Przemszy-Zielińskiego

14 czerwca 2012 roku w Muzeum w Sosnowcu, mieszczącym się w Pałacu Schöena odbyło się XIII Sympozjum Zagłębiowskie im. Jana Przemszy-Zielińskiego. Spotkanie otworzyli Bolesław Ciepiela, wiceprezes Klubu Kronikarzy Zagłębia Dąbrowskiego i Zbigniew Studencki, dyrektor Muzeum. Zaprezentowano i przekazano sponsorom publikację *Zagłębiowskie szkice monograficzne* zawierającą referaty przedstawione na dwóch poprzednich edycjach sympozjum.

Pierwszy referat pt. „Uwarunkowania tożsamości Zagłębia Dąbrowskiego” wygłosił prof. dr hab. Zygmunt Woźniczka, po nim na temat udziału sosnowiczian w powstaniach śląskich mówił Zbigniew Studencki. Jerzy Talkowski, były prezydent Dąbrowy Górniczej, w wykładzie pt. „Wkład elit kulturalnych Zagłębia Dąbrowskiego w rozwój nauki i kultury Polski oraz świata” przedstawił na tle historycznym sylwetki naukowców, twórców i publicystów, wywodzących się z terenów Zagłębia. Dr n.med. Andrzej Kopliński w swojej prelekcji „Twórcy kultury duchowej i materialnej Zagłębia Dąbrowskiego oraz przykłady starań o zacho-

wanie ich spuścizny” przedstawił między innymi swoje osobiste starania nad utrzymaniem bezcennych pamiątek przeszłości Zagłębia. Wykładom towarzyszyły gorące dyskusje z udziałem prelegentów i publiczności: głos zabrali między innymi prof. dr.

hab. Anna Glimos-Nadgórska i mgr. inż. Jan Kmiotek, prezes Klubu Kronikarzy Zagłębia Dąbrowskiego, który dokonał podsumowania sympozjum.

Michał Kubara



Dni Poręby

W dniach 16-17 czerwca 2012 roku miasto Poręba (powiat zawierciański) po raz trzydziesty dziewiąty obchodziło swoje święto. Dni Poręby otworzył burmistrz Marek Śliwa, wręczając młodzieży szkolnej klucze do bram miasta, po czym młodzież i mieszkańcy barwnym korowodem przemaszerowali do miejscowego Amfiteatru w asyście Jurajskiego Szwadronu Kawalerii im. króla Jana III Sobieskiego. Wy-



stępy estradowe pierwszego dnia imprezy zainaugurowali laureaci Przeglądu Artystycznego Młodzieży Szkolnej oraz wykonawcy związani z porębskim Miejskim Ośrodkiem Kultury. Odbył się też pokaz tańca towarzyskiego. Wieczór wypełniły koncerty zespołów Slang, The Postman, Power Play oraz Tomasa Niecika, zakończone zabawą taneczną. Już od rana odbywały się także zawody wędkarskie, a po południu zawody strzeleckie. Można też było wziąć udział w losowaniach nagród lub spróbować swych sił za kierownicą w ra-



mach szkółki jazdy. Jednak obok koncertów, największą atrakcją wieczoru było niewątpliwie wspólne kibicowanie podczas meczu Polska-Czechy w ramach Euro 2012, dzięki dużemu telebimowi ustawionemu na boisku do siatkówki plażowej. Drugi dzień święta Poręby rozpoczął rajd rowerowy na trasie Poręba-Zazdrość-Siewierz-Poręba. Po południu natomiast estradę wypełniły występy zespołów związanych z MOK: Złota Jesień, KGW, „Niwczanki”, Fantazja, Cantio oraz soliści: Oskar Kozłowski i Karol Hadrych. Wystąpili też zaproszeni goście: zespoły taneczne Trio Vega i Sonet oraz kabaret Szarpanina. Najbardziej

wyczekiwaną gwiazdą tego wieczoru był jednak Stachursky, którego energetyczny występ zakończył tegoroczne Dni Poręby.

*Michał Kubara
Fot.arch.*

Festiwal „RAS” – zaproszenie

Miejski Dom Kultury „Kazimierz” w Sosnowcu oraz Stowarzyszenie Fala Inicjatyw zapraszają na VI Festiwal Reggae Muzyki, Art Działań i Sportu Niecodziennego, który odbędzie się 1 września 2012 roku w Parku im. Jacka Kuronia w Kazimierzu Górniczym. Gwiazdą wieczoru będzie Gerbert Morales & Dubska. Festiwal składać się będzie z części sportowo-artystycznej, która rozpocznie się o godz. 9:00, oraz części koncertowej - rozpoczęcie o godz. 15:00. Dwumiesięcznik społeczno-kulturalny "Nowe Zagłębie" objął imprezę patronatem medialnym.



Muzeum w Sosnowcu. Pałac Schona:

13.09–25.11 – wystawa „Pola Negri. Legenda kina” – „Jest to wystawa biograficzna, retrospektywna, ukazująca drogę życiową i artystyczną wielkiej gwiazdy światowego kina. Na wystawie można obejrzeć unikatowy zbiór pocztówek, zdjęć, wereków, fotosów, programów filmowych, płyt z jej nagraniami. Imponująco przedstawia się zbiór plakatów i afiszów wydanych na świecie do filmów z jej udziałem”.

Sosnowieckie Centrum Sztuki – Zamek Sielecki:

do 26.08 – wystawa: Jadwiga Sawicka „CZYTANIE & OGLĄDANIE” – „Tematem mojej wystawy jest doświadczenie czytania i jego materialność. Tak jak istnieje materia malarska, w dużej mierze niezależna od treści i formy obrazu, tak samo istnieje materialny, zmysłowy odbiór literatury. Chodzi o styl, język, ale także o gęstość, zawiesistość prozy”.

26.08 – koncert „REGAN QUARTET – Return to Myself”, zespołu jazzowo-bluesowego. Wystąpią: Jacek Raganowicz „Regan” – gitary, Robert Czech – instrumenty klawiszowe, Piotr Wojacek – kontrabas, gitara basowa, Radosław Wośko – perkusja.

Lipiec/sierpień, środy, godz. 12.00 – twórcze warsztaty plastyczne dla dzieci:

8 sierpnia – OGRODOWY DZIEDZINIEC: działanie malarsko-rzeźbiarskie w dużej przestrzeni.

22 sierpnia – WAKACYJNY COLLAGE: kolorowa kompozycja z wakacyjnych pamiątek.

29 sierpnia – ZAJĘCIA PRZY SZTALUDZE (dla młodzieży i dorosłych) pt.: „Ukryte kształty”.

09.09 – wystawa „POLSKIE BAŚNIE I LEGENDY” – wystawa skierowana jest do młodych odbiorców, których wprowadza w baśniowy świat oryginalną i fantastyczną aranżacją. Na wystawie prezentowane są baśnie i legendy nie tylko związane z naszym regionem, ale i krajem. Wśród postaci nie zabraknie Smoka Wawelskiego, Pana Twardowskiego, Złotej Kaczki i licznych diabłów.

Biblioteka im. G. Daniłowskiego w Sosnowcu:

Lipiec/sierpień – spotkania dla dzieci pod hasłem „Zaczarowane wakacje”:

– **Aula Biblioteki Głównej, ul. Kościelna 11**, „Zaczarowane filmowe lato” – projekcje, wstęp wolny, bez ograniczeń wiekowych, seanse: **środy lipca i sierpnia, godz. 11.00**.

– **Oddział dla Dzieci i Młodzieży, ul. Parkowa 1a, spotkania: wtorki, czwartki w godz. 10.00 – 12.00**: W krainie magii – magiczny świat Harry’ego Pottera, śladami Alicji z Krainy Czarów, podróż do Krainy Elfów, czarownice z krainy baśni, tajemnice zamkowych lochów. Po drugiej stronie lustra – hobbisci kontra kosmici, turniej czarodziei, loteria szczęścia Harry’ego Pottera, poszukiwacze czarodziejskich skarbów.

– **Biblioteka Dziecięca, ul. Grota Roweckiego 23, spotkania: czwartki w godz. 10.00 – 12.00**: W magicznym wszechświecie – magiczny pojazd kosmiczny, planeta gier zręcznościowych i logicznych, plane-

ta małych twórców, planeta bańki mydlanej, planeta dotyku i pamięci.

– **Filia nr 1, Śróduła, ul. Kossaka 23, spotkania: wtorki, czwartki w godz. 11.00 – 13.00, wtorki** z grami wszelakimi oraz wielkie czary mary – puzzlomani, zagadki Sfinksa Tebańskiego, czarodziejskie zaklęcia, lekcja czytania z dłoni, tajemnica guzika. Hokus-pokus, czary – mary niech z tej szmaty będą czary – zajęcia plastyczne, m.in.: czarodziejskie różdżki, szycie i ozdabianie magicznych strojów.

Będziński Ośrodek Kultury:

24.08 – Festiwal Muzyki Celtyckiej 2012 – „Popularny festiwal obchodzi w tym roku swój jubileusz – jest organizowany już po raz X. Dla fanów muzyki celtyckiej organizatorzy przygotowali mnóstwo atrakcji. Będzie można posłuchać koncertu w wykonaniu kapel z całej Europy. Wśród zespołów między innymi: Beltaine, Flook, Bran, Lia Fail. Będzie również okazja, by samemu spróbować gry na różnych instrumentach. Taka możliwość pojawi się dzięki muzycznym warsztatom”.

Muzeum Zagłębia w Będzinie:

do końca października – wystawa „TRZY OB- LICZA TEATRU – DORMAN, GROTOWSKI, KANTOR”, wystawa to jeden z akcentów obchodzonego w mieście w 2012 roku Będzińskiego Roku Kultury pod patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Przyjazna Pożyczka



- ✓ Proste i uczciwe zasady
- ✓ Stała rata – nic Cię nie zaskoczy
- ✓ Indywidualna opieka Przedstawiciela
- ✓ Pieniądze od ręki



Sprawdź nas!

Zadzwoń lub wyślij SMS o treści M
600 400 288
Koszt połączenia z tel. komórkowego wg taryfy operatora

PROVIDENT

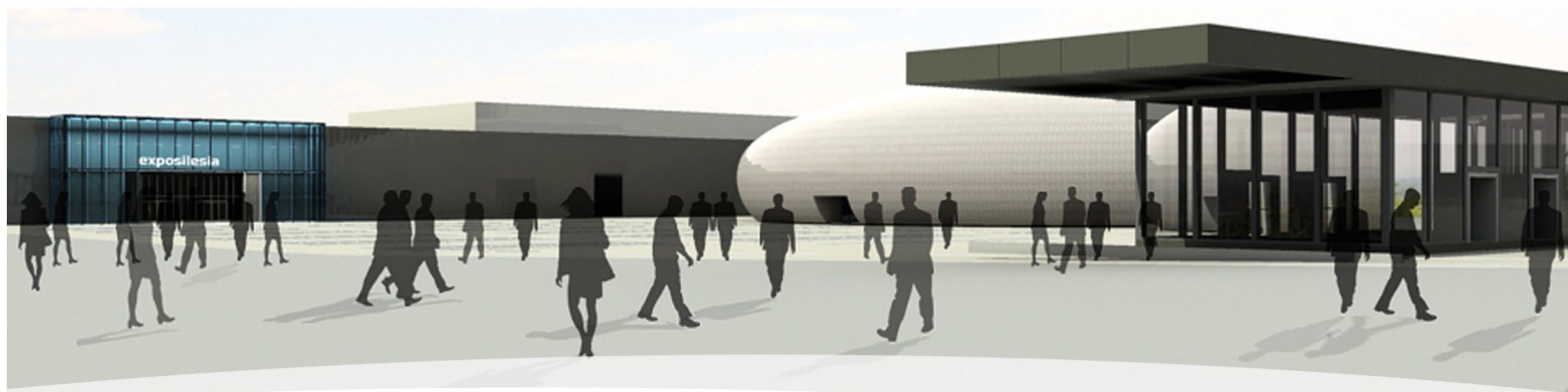
www.provident.pl



Targi godne Śląska

exposilesia

Nowoczesny obiekt wystawienniczy
w największej polskiej aglomeracji



JESIEŃ W EXPO SILESIA

7 – 9 września 2012

Targi Książki w Katowicach - www.targikszazki.eu

15 – 16 września 2012

SIBEX Jesień - www.sibexjesien.pl

Targi Budownictwa i Wyposażenia Wnętrz

RENOVATIO - www.renovatio.pl

Salon Renowacji Obiektów Zabytkowych i Sakralnych

19 – 20 września 2012

Ogólnopolskie Targi Edukacyjne - www.cyfrowaszkola.net.pl

Cyfrowa Szkoła

2 – 4 października 2012

TOOLEX - www.toolex.pl

5. Międzynarodowe Targi Obrabiarek, Narzędzi i Technologii Obróbki

WIRTOTECHNOLOGIA - www.wirtotechnologia.pl

5. Międzynarodowe Targi Metod i Narzędzi
do Wirtualizacji Procesów

16 – 18 października 2012

ExpoWELDING - www.expowelding.pl

Międzynarodowe Targi Spawalnicze

24 - 25 października 2012

ExpoLAB - www.expolab.pl

4. Targi Analityki, Techniki i Wyposażenia Laboratorium

HydroSilesia - www.hydrosilesia.pl

Targi Urządzeń i Technologii Branży Wodociągowo - Kanalizacyjnej

EkoWaste - www.ekowaste.pl

Targi Gospodarki Odpadami, Recyklingu i Techniki Komunalnych

MELIORACJE - www.melioracje.com.pl

Targi Melioracji i Urządzeń Wodnych, Infrastruktury i Urządzeń
Przeciwpowodziowych

6 – 7 listopada 2012

SteelMET - www.steelmet.pl

5. Międzynarodowe Targi Stali, Metali Nieżelaznych,
Technologii i Produktów

SURFPROTECT - www.surfprotect.pl

6. Międzynarodowe Targi Zabezpieczeń Powierzchni

TEZ Expo - www.tezexpo.pl

Targi Produkcji i Zastosowania Elementów Złącznych

Scrap EXPO - www.scrapexpo.pl

Salon Recyklingu Metali

Foundry EXPO - www.foundryexpo.pl

Salon Odlewnictwa Metali

13 – 15 listopada 2012

HAPexpo - www.hapexpo.pl

4. Targi Hydrauliki, Automatyki i Pneumatyki

ROBOTshow - www.robotshow.pl

Targi Robotyzacji i Automatyzacji w Przemśle

RubPlast EXPO - www.rubplast.pl

5. Targi Przemysłu Tworzyw Sztucznych i Gumy

OILexpo - www.oilexpo.pl

Targi Olejów, Smarów i Płynów Technologicznych dla Przemysłu

5 - 6 grudnia 2012

Expo KRUSZYWA - www.expokruszywa.pl

Targi Kruszyw Naturalnych i Wtórnych

Sosnowiec

Expo Silesia Sp. z o.o., ul. Braci Mieroszewskich 124, 41-219 Sosnowiec, tel. 32 78 87 500, fax 32 78 87 502, e-mail: exposilesia@exposilesia.pl

www.exposilesia.pl